



WILLIAM SHAKESPEARE
DZIEŁA DRAMATYCZNE

WILLIAM SHAKESPEARE
DZIEŁA DRAMATYCZNE

WILLIAM SHAKESPEARE DZIEŁA DRAMATYCZNE

W DWUNASTU TOMACH

Z PORTRETEM AUTORA

ŻYCIORYS SHAKESPEARA I PRZEDMOWY DO
POSZCZEGÓLNYCH UTWORÓW OPRACOWAŁ
PROF. DR. ROMAN DYBOSKI. — STU-
DYUM »SHAKESPEARE W POLSCE« NAPISAŁ
DR. LUDWIK BERNACKI. — WYBORU
PRZEKŁADÓW DOKONAŁ STANISŁAW
— — — KRZEMIŃSKI. — — —



WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

WILLIAM SHAKESPEARE DZIEŁA DRAMATYCZNE

TOM III.

STRACONE ZACHODY MIŁOSNE
W PRZEKŁADZIE E. PORĘBOWICZA.

SEN NOCY LETNIEJ
W PRZEKŁADZIE ST. KOŹMIANA.

KUPIEC WENECKI
W PRZEKŁADZIE L. ULRICHA.



WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 57269



BGZs 57269



57269

820(091) + 929(41)] A/2 + 820-2

6/89/141

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI



STRACONE
ZACHODY MIŁOŚCI.

TŁÓMACZENIE EDWARDA PORĘBOWICZA.

Komedję *Love's Labour's Lost*, którą wśród dzieł Shakespearu wymienia Meres w roku 1598, posiadamy w tekście *in quarto*, drukowanym tegoż roku i użytym prawdopodobnie potem jako źródło tekstu w zbiorowym wydaniu *in folio*¹⁾; w tym samym roku wyszedł także tom poezji lirycznych nieznanego nam autora (»R. T.«), który w jednym ze swych sonetów miłosnych powiada, że raz widział tę komedję na scenie. Wcześniejszej znacznie daty, niż ta ostateczna granica, wytknięta przez dane faktyczne, domagają się stylistyczne cechy utworu: akcja luźna, charakterystyka błada, upodobanie w pustym dyalogu, mnogość dowcipów słownych, obfitość ekstrawagancji w wierszowaniu — wszystko to skłaniało wielu krytyków do wyznaczania dla tego nowicyuszowskiego eksperymentu pierwszego chronologicznie miejsca wśród wszystkich dzieł komicznych Shakespearu, nawet przed »Komedją omyłek«. Z drugiej strony pewność siebie we władaniu tym żargonem dworskiej konwersacji, jakim się tu Shakespeare bawi, zdawałaby się świadczyć o pozyskanych stosunkach w Londynie, o bezpośrednim już zetknięciu ze sferami arystokratycznymi; to zbliżałoby komedję do opowieści wierszowanych »Wenus i Adonis« i »Lukrecya«: w ich drukowanych wydaniach (1593/4) dedykacje na cześć hr. Southampton dowodzą szukania czy znalezienia

¹⁾ W tekście ostatniej sceny dwa razy się pojawia ostateczne zapytanie Birona i wyrok Rozalindy, skazujący go na rok praktyki szpitalnej; raz w formie krótkiej (»A mnie co droga zapowie kochanka?« — odpowiedź w pięciu wierszach), potem, po odprawach innych kawalerów, ponownie i obszerniej (»O czem, ma piękna, głęboko tak дума?« etc.). Może być, że tu przedostał się do druku pierwszy szkic dialogu obok późniejszej formy ostatecznej.

takich właśnie konneksyi. Sąsiedztwo tych utworów epicznych byłoby także w zgodzie z niedramatycznym charakterem komedyi, której akcja prawie znika za dyalogiem: dzieło mogło powstać podczas przerwy w twórczości specyficznie teatralnej, może w czasie bezrobocia scen londyńskich z powodu zarazy. W takiej pauzie prawdopodobnie przeważnie powstały sonety Shakespeara: z nimi komedya dużo ma pokrewieństwa w stylu, pewne nawet w treści. Analogie w niej znaleziono także do wyrażeni w ostatniej z młodocianych tragedyi, »Królu Ryszardzie III«; ogółem, data 1593 nie może być zbyt oddalona od prawdy.

Źródła literackiego tej komedyi dotychczas nie udało się wykryć. Geografia Shakespeara, tu wyjątkowo ścisła, jako miejsce akcji wskazuje Navarrę: kraj ten żywo zajmował ogół angielski około roku 1590, gdy król Navarry, Henryk (IV), zdobywał sobie koronę francuską. Już w »Komedyi omyłek« (III, 2) znaleziono aluzję do wypadków wojennych we Francyi; w »Straconych zachodach miłosnych« jeden z dworzan króla, Biron, nosi nazwisko jenerała wojsk francuskich, wtedy właśnie bardzo popularnego w Anglii. Do transakcyi dyplomatycznych między królem a księżniczką u Shakespeara szukano analogii w historii współczesnej i dawniejszej: było spotkanie i układy między królem Navarry a niewiastą francuskiego domu królewskiego w roku 1586: ale tą niewiastą była stara Katarzyna de Medicis, zastępująca nie ojca, lecz syna. Młoda, urocza i wymowna księżniczka shakespearewska przypomina postać sławnej królowej navarskiej, Małgorzaty, siostry Franciszka I, autorki nowel »Heptameronu«; za istotnie kiedyś w interesie swego brata bardzo zrzęcznie prowadziła układy z cesarzem Karolem V. Co do samej sprawy państwowej, o którą u Shakespeara układy się toczą — długi króla Francyi u króla Navarry, dzierżącego Akwitanię jako zastaw (II, 1) — zwrócono uwagę już w XVIII wieku na ustęp w kronice Monstreleta (rozdział XVII), gdzie pod datą 1427 opowiedziane są podobne nieco wypadki: król Navarry otrzymuje 200.000 koron i księstwo Nemours w zamian za wyrzeczenie się wszelkich swych posiadłości we Francyi.

Najmniejszego jednak światła wszystkie takie ilustracje historyczne nie rzucają na właściwą, nowelistyczną fabułę komedyi: przysięgę kawalerów, że trzy lata spędzą

w samotności na poważnych studiach (I, 1), i jej złamanie wobec najazdu niewieściego (IV, 3). Ten pomysł narazie uważać musimy za pochodzący od samego poety. Że sobie młody Shakespeare osnowę komedyi samodzielnie skomponował, o tem zdawałyby się świadczyć pewne oczywiste niezręczności w budowie dramatycznej: nieskładne jest połączenie tego tematu ze sprawą polityczną — dokumenty, na których opierają się pretensye króla francuskiego, nieprawdopodobnym sposobem muszą być nie w rękach księżniczki, lecz dopiero w drodze i o dzień spóźnione (II, 1), ażeby akcja miłosna mogła się rozwinąć; sposób zawiązania i rozwiązania intrygi wygląda, jakby był albo dość niefortunnie zmyślony albo wzięty z innego źródła, niż właściwa treść komedyi, ze źródła nie-literackiego, i niezbyt udanie do beletrystycznego motywu doczepiony. Jakby ironię autora wobec sztuczności własnego pomysłu wyraża Biron, który sam jeden wśród towarzyszków króla od pierwszej sceny względem jego planu zajmuje stanowisko krytyczne, a w punkcie zwrotnym dramatu (IV, 3) zwycięskie argumenty natury i młodości roztacza w pięknej deklamacyi, potoczyłością białego wiersza przypominającej potężne tyrady Marlowa; sam autor »Doktora Fausta« byłby mógł napisać śmiało a brzmiące słowa:

It is religion to be thus forsworn!

W całym układzie dramatu, a w szczególności w ekspozycyi, wszechwładnie panuje zamiłowanie młodego Shakespeara do architektonicznej symetrii w przeciwstawianiu sobie osób: z królem i trzema jego dworzanami (I, 1) skontrastowana jest królowa i trzy damy (II, 1); z bogatą w komiczne rysy postacią Armada aż trzy figury, służące do wydobycia zeń rozmaitych efektów: dowcipny paź, bystra dziewczyna wiejska i rozumny chłop-krytyk (I, 2). Do postawienia charakterów w pełnym świetle w skuteczny a mechanicznie prosty sposób służy postać Boyeta (II, 1): jak »ekspozytor« w staroświeckich widowiskach scenicznych, on uzupełnia akcję sprawozdaniami: on księżniczce opowiada o królu, a potem pierwszy zwraca jej uwagę na to, jak głębokie na nim zrobiła wrażenie; Boyet także żartobliwie informuje kawalerów o damach. Same damy znowuż wypowiadają charakterystyki panów —

każda swojego; a Biron jeszcze w ostatniej scenie utworu szczegółowo opisuje Boyeta. Tym sposobem charakteryzowania osób przez wzmianki drugich nie pogardził Shakespeare i później; ale w okresie dojrzałszym już się nim nie posługuje w tej pierwotnej, surowej formie obszernych relacji, jak w tem dziele młodocianem. Więcej rzeczą natchnienia, niż techniki natomiast jest wytworzenie zasadniczego nastroju w utworze; to też już młodemu Shakespeareowi równie doskonale się udaje, jak późniejszemu: przez słowa Birona pięknie i wdzięcznie zapowiada przemożną w komedyi władzę Kupidyna.

Słowa te znajdujemy w pierwszej scenie trzeciego aktu; jeszcze tu nie zapóźno na nie, bo ciężar akcyi utworu — niezbyt przygniatający — dźwigają prawie wyłącznie akt czwarty i piąty. I tutaj zresztą niezbyt się autor śpieszy: wprowadza jeszcze trzy nowe karykaturalne figury, które wypełniają sobą całą scenę (IV, 2); główne osoby bawią się polowaniem; nawet tak doraźny motyw, jak pomieszanie listów miłosnych (IV, 1, 2), nie porusza właściwie akcyi z miejsca; prócz zabawnej sytuacji daje poecie głównie sposobność do popisów lirycznych: jeden z listów jest sonetem. Tak samo i w scenie perypetyi (IV, 3) jest obfitość najmelodijniejszej liryki shakespeareowskiej: dwa sonety miłosne i czarowna w swej muzyce bajeczka alegoryczna, streszczająca sytuację.

Akt piąty znowu za treść główną ma ornamenty raczej, niż akcyę: wypełniają go maskarada i przedstawienie amatorskie. Parodystycznym przedstawieniem zakończył Shakespeare później inne jeszcze dzieło młodości: »Sen nocy letniej«; i tam i tutaj, geometrycznym sposobem jego wczesnej dramaturgii, przeciwstawione sobie są grupa osób heroiczna, jako audytoryum, i komiczna, jako aktorzy; tylko że tutaj widzowie daleko więcej się do widowiska wtrącają, zasypując i konfundując artystów dowcipami. Program przedstawienia i tu i tam przypomina przed-shakespeareowskie okresy dramatu angielskiego; w »Straconych zachodach miłosnych« odegrane być mają deklamacye dziewięciu wielkich bohaterów świata (*The Nine Worthies*): takie monologiczno-procesyonalne utwory stanowiły osobną kategorię w dramacie średniowiecznym; w duchownej sferze przedmiotów reprezentowana ona bywa przez mesyaniczne recytacye wszystkich z kolei proroków; o przedstawieniu dzieła z tym samym tematem, co w komedyi Sha-

kespeara, mamy wiadomość z czasów królowej Maryi Tudor, gdy wraz z religią rzymską wskrzeszono i tradycyjne widowiska epoki katolickiej.

W drugim głównym epizodzie piątego aktu zamaskowani kawalerowie występują w kostyumach Rosyan (*Muscovites*): w epoce rozwijających się stosunków handlowych Rosya była przedmiotem aktualnego zainteresowania dla Anglików; przytem wkrótce przed śmiercią Iwana Groźnego było w Londynie poselstwo rosyjskie prosić o krewną Elżbiety na małżonkę dla cara; dziwne stroje i maniery tych ludzi długo zapewne pozostały Londyńczykom w pamięci. Ulubiony w młodocianych komedjach Shakespeara motyw *qui pro quo* pojawia się tu w formie, powtórzonej potem na balu maskowym u Leonata w komedyi »Wiele hałasu o nic« (II, 1); i tu i tam panowie wzamian za wyznania pod mylnym adresem słuchać muszą drwiących słów o sobie samych; tylko że tu niewiele z tych konwersacyi nas rzeczywiście dolatuje.

Już w związku z tą maskaradą niemiłe nas razi upokorzenie amantów przez drugie w dramacie złamanie przysięgi, gdy odwoływać muszą czynione przed chwilą ślubowania miłosne. Jeszcze przykrzejszym dysonansem jest wiadomość o śmierci króla francuskiego i poważne w skutek tego zakończenie komedyi. Czy tak istotnie chciał Shakespeare rzecz zamknąć? Czy nie było drugiej części utworu, prowadzącej losy osób do kresu w małżeństwie; czy może tą drugą częścią był dramat *Love's Labour's Won* (»Skuteczne zachody miłosne«), który w roku 1598 między dziełami Shakespeara wymienia Meres? A może ta nazwa odnosi się do jednej z najbliższych datą fars, nam znanej pod nazwą »Poskromienie złościny«? Może w niej należy szukać uzupełnienia moralnej równowagi: tak jak tu mężczyźni wyleczeni są z zuchwałej ufnosci w siebie, tak tam kobieta dochodzi do należytego wyobrażenia o swym właściwym stosunku do mężczyzny w społeczeństwie. Bez wątpienia cała myśl poety pod koniec utworu z dziedziny pustoty przenosi się w sferę powagi; w poważny ton już z początkiem V aktu uderza jedna z dam, wspominając o siostrze, co umarła, jako ofiara nieszczęśliwej miłości. Ale niewiadomo, czy to końcowe skonstrastowanie powagi życia z pustymi żartami ma świadomie moralizującą tendencyę; siła przekonywająca objaśnień tego rodzaju zależy od zachowania miary, czyli

taktu krytycznego. Bez trudności więc przyjmujemy prostsze tłumaczenia krytyków angielskich, jak Furnivalla, że dzieło, podobnie jak inne komedye Shakespeara (np. »Wieczór Trzech Króli«) skierowane jest przeciw próżności mężczyzny, uważających się za samowładnych i samodzielnych »panów stworzenia«; albo nawet, jak dowodzi Dowden, że utwór jest protestem przeciwko młodocianemu idealizmowi, zaprzeczającemu faktom i koniecznościom życia, że jest manifestem młodego Shakespeara na korzyść realizmu, który istotnie stał się programem jego postępowania. Naciągniętymi natomiast wydać się muszą pomysły dawniejszych historyzoficznych shakespeareologów niemieckich, którzy w komedyi widzieli usprawiedliwienie protestantyzmu przeciw rzymskiemu celibatowi.

Wszystkie takie interpretacje zresztą już podkładają zamiar dydaktyczny całej treści utworu, nie tylko fazy końcowej; wobec samego zakończenia trudno oprzeć się jednej jeszcze kategorii domysłów, mianowicie przypuszczeniom biograficznym. Czy ten nagły zwrot na końcu akcyi — podobnie jak równie niespodziany obrót rzeczy w innej komedyi tych samych lat, »Dwaj panowie z Weroni« — nie jest obrazem jakich osobistych przeżyć poety? Biron, od początku widocznie najmlodsza poecie postać męska w utworze, najplastyczniej scharakteryzowany, trafnie krytykujący innych, może być portretem własnym autora: i on w tym czasie, jak ten bohater, dobiegając trzydziestki, cieszy się z powodzenia w świecie, pełen jest jeszcze młodzieńczej ciekawości życia, zarazem jednak już posiadał pewne doświadczenie, zbrojące go w ironię i sceptycyzm wobec ludzi. Partnerka jego, Rozalinda, wyglądem i usposobieniem stanowczo przypomina demoniczną »czarną kochankę« w sonetach Shakespeara: »pusta dziewczyna, o brwiach z aksamitu, co zamiast oczu ma dwie kule smoły« (III, 1), lubuje się w dręczeniu mężczyzny, mocno sobie postanawia »przed odjazdem Birona zamęczyć«; »przed tygodnia końcem« chce go zrobić »igraszką swoją«, siebie »jego słońcem« (V, 2). Tamę jednak bardziej szczegółowym wnioskiem o sprawach miłosnych poety stawia brak źródła literackiego, które dawałoby pewność, co wśród wypadków komedyi wolno uważać za własność autora.

Próby utożsamienia Birona i Rozalindy z poetą i jego ukochaną przenoszą nas do spraw, dla samego twórcy

komedyi z pewnością daleko ważniejszych, niż budowa akcyi, kolej wypadków, zawiązanie i rozwiązanie intrygi. Wszak to wszystko w tem dziele widocznie rzeczy podrzędne; nader ubogie ono w fakty dramatyczne, i z tego powodu nawet obok »Komedyi omyłek« najkrótsze ze wszystkich. Pełną siłę natomiast autor w to włożył, by formalnie natłoczyć scenę dziwaczniemi, osobliwemi figurami. »Bakałarz, paliwoda, klecha, pajac i paż« (*the pedant, the braggart, the hedge-priest, the fool, and the boy*, V, 2): skąd młody, niebardzo jeszcze obyty w świecie poeta wziął tę całą galeryę typów, kreślonych *con amore* i wcale niekoniecznie potrzebnych do akcyi? Że są poczęści karykaturami oryginałów, podpatrzonych w świecie londyńskim, o tem pewne rysy zdają się wymownie świadczyć; charakterystyka Boyeta przez Birona (V, 2) robi wrażenie portretu rzeczywistej osoby na dworze. Obok tego jednak szczególnie niższe typy komiczne objawiają pokrewieństwo ze stałymi szablonami literackimi. Tradycyjną figurę pedanta w komedyi włoskiej odtwarza Holofernes; imię jego znalazł poeta u Rabelaisa, którego dzieło mógł poznać w jakiej popularyzacyi — tłumaczenia angielskiego z tych czasów nie posiadamy; na gruncie angielskim typ pedanta spotykamy w nazwanej według niego łacińskiej komedyi uniwersyteckiej *Paedantius*, granej w Cambridge; może Shakespeare słyszał o tem dziele od którego z kolegów-pisarzy, posiadających wykształcenie akademickie. Figurę w swojej komedyi przyozdobił w rysy, kopiowane z licznych wtedy w stolicy teoretycznych reformatorów ortografii, poetyki, stylu; u niejednego z nich spotykamy to dziecinne upodobanie w aliteracyi, co u Holofernesa w jego epitafile wierszowanym na ustrzelonego przez królową rogacza (IV, 2); obfitość okrucichów łacińskich w jego rozmowie to może świeże jeszcze reminiscencye ze szkolnej ławy w Stratfordzie. Nieprawdopodobnem jest pochodzące z XVIII wieku twierdzenie, że prototypem Holofernesa był popularny wtedy w Londynie nauczyciel języka włoskiego, Giovanni Florio.

Don Adriano de Armado, w tekście *in folio* poprostu zwany *braggart* (»samochwał«), to istotnie nic innego, jak stary plautyński *miles gloriosus* w nowym i bogatym kostyumie; dowcipny paż, towarzyszący jemu i Falstaffowi (w drugiej części »Henryka IV«), ma pierwowzór w parazyście u Plauta; malcem zrobił go Anglik Jan Lyly w ko-

medyi »Endymion« (druk. 1591), gdzie żołnierz-samochwał Sir Tophas jest przedmiotem drwin ze strony drobnych paziów. Już we włoskiej komedii renesansowej typ samochwała przybrał postać biedaka, który jednak zachowuje się, jak dumny szlachcic: dostojny rycerz u Shakespearze, jak się dowiadujemy, niema nawet koszuli (V, 2). Już we Włoszech także przedstawiano takich bohaterów, jako Hiszpanów: Shakespeare idzie za tym przykładem prawdopodobnie nie bez myśli o niedawnej klęsce Armady, stąd może nazwisko jego figury; choć przypuszczenie, że wzorował postać na hiszpańskich jeńcach wojennych, nie jest potrzebne. Bez uzasadnienia pozostaje także domysł, który wypowiedział Jakób Caro, że oryginałem Armada był magnat polski Albert Łaski, przez kilka miesięcy gość na dworze Elżbiety. Jeżeli Armado miał wzór konkretny, dostarczył go prawdopodobnie Anglik; w dobie odkryć i wypraw roito się po karczmach od żołnierzy i podróżników samochwałów; zaś język i styl Armada, bombastycznie afektowany, a pełen pedantycznych omówień, może — podobnie jak dykcya Holofernesa — podaje w pośmiewisko styl jakiegoś współczesnego retora¹⁾. Jego romans z dziewczyną wiejską powtarza dworak Probierczyk w sielance »Jak się wam podoba«; nie brak, jak widzimy, w tej komedii przygrywek i szkiców do pomysłów, potem w dojrzałym okresie przez poetę podjętych na nowo.

Najmniej ośmieszonym ze wszystkich przepraw komicznych wychodzi Łepak (*Costard*); ma on wprowadzić rysy włoskiego harlekina; z harlekińskiego repertuaru pochodzą efekty, jak wymiana listów (IV, 1, 2), lub odchodzenie przed wysłuchaniem treści polecenia (III, 1); ale w swym oschłym, krytycznym dowcipie i zdrowym rozumie jest najrdzenniejszy i najcharakterystyczniejszy angielską ze wszystkich figur komedyi; najsilniej też ze sceny jeszcze do dzisiejszego Anglika przemawia.

Mówiąc o pochodzeniu typów komicznych utworu,

¹⁾ Za inicjatywą W. Scotta długi czas dykcję Armada niesłusznie uważano za karykaturę stylu poczytnej wtedy powieści Jana Lyly »Euphuës«. W rzeczywistości niema tu zupełnie najwidoczniejszej cechy stylu »Euphuës«, mianowicie porównań z fantastycznej historii naturalnej.

wspomnieć przynajmniej wypada obejmującą je wszystkie hipotezę, z jaką wystąpił G. C. Fleay, równie pomysłową, jak nieprawdopodobną: według niego reprezentują one grupę »Anty-Martynistów«, czyli obrońców biskupiego Kościoła anglikańskiego w gwałtownej polemice teologicznej, którą w r. 1588 rozpoczął anonimowy »Marcin Antyprafat« (*Martin Mar-prelate*) i która przez kilka lat napędliała swą wrzawą całe literackie życie kraju.

Że wreszcie w osobie królowej, w jej dowcipie — szczególnie gdy się wtrąca do przedstawienia amatorskiego (V, 2) — są pewne rysy królowej Elżbiety, to prawdopodobne; i ona podobno nieraz konfundowała mowców i aktorów podczas uroczystych przyjęć na zamkach prowincjonalnych; czy bezowocne narazie starania króla Navarry są aluzją do »straconych zachodów miłosnych« którego z licznych, szczególnie zamorskich konkurentów o rękę Elżbiety, to wątpliwe: systematycznie wyzyskał ten rozległy teren do spekulacji François-Victor Hugo.

Drugą rzeczą, na której poecie równie wiele zależy, co na mnożeniu dziwacznych figur, i o którą tak samo bardziej znacznie dba niż o akcję, jest dialog. Ambicyą młodego poety było spalenie w rozmowach między osobami utworu jak najobfitszych fajerwerków dowcipu. Cała akcja w żartobliwych epigramach się rozgrywa; gdzie nie dowcipkują między sobą główne grupy figur, tam po stronie dam Boyet — pożyteczny surogat innych mężczyzn — jest partnerem w tej szermierce (np. IV, 1). W tym charakterze utworu objawia się przemożny na młodego poetę wpływ bezpośredniego poprzednika w twórczości komicznej, Jana Lyly; w jego działach znajdujemy już wszystkie prawie główne motywy fabuły shakespeareowskiej: prócz wspomnianego żołnierza-samochwała, jego pazia i przygód miłosnych, są tam księżniczki, rozprawiające z damami dworu o miłości (w komedjach »Sappho« i »Midas«); są oświadczyzny kilku pasterzy, dowcipnie po kolei odrzucone; z reguły też w komedjach Jana Lyly grupa osób dostojnych przeciwstawiona bywa grupie niższych rodem. Te komedye wreszcie, notorycznie samodzielne przeważnie w pomysle, mogłyby natchnąć młodego poetę ambicyą zmyślenia wypadków utworu zamiast zwykłego czerpania ze źródła literackiego.

Biorąc sobie także za wzór stylu komedye Jana Lyly, Shakespeare hołdował modzie, panującej w salonach londyńskich, do których świeży przybysz z prowincyi z pewnością wzdychał, a może istotnie już wszedł. Z całą przesadą młodzieńczego imitatora naśladuje wykształconą w owych komedyach dykcję salonowej konwersacyi; główną jej cechą mnogość krótkich, epigramatycznych pytań i odpowiedzi, oraz obfitość igraszek, polegających na dwuznaczności słów (*puns*); do tego rodzaju żartów język nowo-angielski, jako posiadający wielką liczbę homonimów, już wtedy szczególnie był podatny; nie mniej jak 246 przykładów tej ulubionej zabawki młodego Shakespeara naliczono w »Straconych zachodach miłosnych«. Główną cechą, jaka się kojarzy we wspomnieniach widza i czytelnika z tą komedią, jest właśnie ten najskrzypniejszy i przeładowany dowcipami styl: często nam się wydaje, jakoby wszystkie te osoby nie miały innego powołania i celu w życiu, jak walczyć o pierwszeństwo w dowcipie, i przypomina się nam, co o turniejach słownych na zebraniach Bohemii literackiej Londynu w gospodzie »pod nimfą« opowiada młodszy poeta Beaumont: nieraz mu się zdało, że ten, co mówi, całym swym dowcipem w jednym chce wystrzelić żarcie i gotów jest spędzić resztę nudnego żywota w tępem ogłupieniu¹⁾.

Obok błysków słownego dowcipu główne znamię utworu dla nowożytnego czytelnika i główny urok stanowi *plein-air*. Przez cały dramat wokoło nas szumią drzewa parku królewskiego, jak później w sielance »Jak się wam podoba« szumi las ardeński; i w tej navarreńskiej sceneryi pełno szczegółów angielskich; rosną tu potężne sykomory, jak po dziś dzień w ogrodach, otaczających dwory wiejskie południowej Anglii; zaś całym swym czarem na pożegnanie nas owiewa atmosfera wsi angielskiej w allegorycznych piosenkach kukułki i sowy; treścią tych śpiewek poprostu idylliczne obrazki życia i codzien-

¹⁾ *What things have we seen
Done at the Mermaid! heard words that have been
So nimble, and so full of subtle flame,
As if that every one from whence they came
Had meant to put his whole wit in a jest
And had resolved to live a fool the rest
Of his dull life!*

(Fr. Beaumont w epistole poetyckiej do Ben Jonsona).

nych zajęć na wsi wiosną i zimą; tu, w przeciwieństwie do fascynacyi salonów, panującej nad umysłem poety w całym utworze, wolno się domyślać tęsknych wspomnień o powszednich a swojskich pięknościach prowincjonalnego świata wokoło rodzinnego Stratfordu.

OSOBY:

Ferdynand, król Nawarry.

Biron
Longaville } panowie z dworu Ferdynanda.
Dumain }

Boyet } panowie z dworu księżniczki.
Mercade }

Don Adriano de Armado, dworak hiszpański.

Nataniel, paroch.

Holofernes, bakałarz.

Tuman, konstabl.

Łepak, chłop.

Ćma, paź Don Armada.

Leśniczy.

Księżniczka francuska.

Rozalina } damy dworu księżniczki.
Marya }
Katarzyna }
Żakeneta, wieśniaczka.

Dworzanie, orszak króla i księżniczki.

Scena w Nawarze.

STRACONE ZACHODY MIŁOSNE.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Nawarra. Park przed pałacem.

(Wchodzą Król, Biron, Longaville i Dumain).

Król. Niech sława, szczytny cel człowieczych myśli,
Na trumnach z bronzu swe znamię nam kreśli
I ułaskawi nas w niełasce śmierci,
Jeśli naprzekór czasu chuci sępiej
Nasz plan dzisiejszy dojdzie dojrzałości
I kosy jego ostrze wraz przytępi
I dziedzicami uczyni wieczności.
Dzielni zdobywcy — bo was zdobywcami
Zwać, co popędy swe tłumicie sami
I świeckich pragnień zwalczacie potęgę —
Niezlomną naszą pomnijcie przysięgę.
Niechaj Nawarrę cudem świata zowią,
A dwór nasz niechaj będzie akademią
Kunsztu żywota, cichą i wzorową.
Wy, Longawilu, Dumainie, Bironie,
Trzy lata ze mną trwać w jednym zakonie,
Jak się w tej karcie jego statut pisze,
Zaprzysięgliście, wierni towarzysze.
Tu każdy swoje położcie nazwisko:
A kto w najmniejszym punkcie go przekroczy,
Niech mu cześć zejdzie na urągowisko.

Jeśli chęć wasza jest, jak to zakłęcie,
Podpiszcie kontrakt i dotrwajcie święcie.

Longaville. Mnie post trzyletni podpisać nietrudno:

Duch będzie syty, chociaż boki schudną.

Pełny brzuch, mózg czczy, a z łaski kucyka

• Pęcznią żebra, ale dowiec zmyka.

Dumain. Patrz, książę, Dumain już jest umartwiony:

Zostawiam światła podłym niewolnikom

Nizkie rozkosze, grubych uciech gony;

Konam dla pychy, miłości i złości,

W mądrości nowy bieg mego żywota.

Biron. Ja mogę tylko zaprzysiądz powtórnie,

Com już zaprzysiągł: że żyć będę górnice

Trzy lata, w wiedzy poszukując chluby.

Ale jak wieść mię dochodzi, niestety!

Surowsze jakieś ogłaszacie próby:

Przez te trzy lata nie widzieć kobiety

I jeden dzionek suszyć co tygodnia...

— Czego, spodziewam się, niema w cedule:

I pokarm tylko raz na dzień pożywać,

— Czego, spodziewam się, niema w cedule.

Spać trzy godziny, potem wstawać do dnia

I być dzień cały rzeźki i nie kiwać,

A, dotąd tego nie bywało ze mną:

Z południa sobie robiłem noc ciemną.

O, płochy zamiar! Któż zdoła wytrzymać?

Zrzec się dam, uczyć, pościć i nie drzemać?

Król. Przysięgłeś wszystko i słowo cię wiąże.

Biron. Racz mi pozwolić, iż zaprzeczę, książę;

Przysięgłem uczyć się z waszą miłością,

A przez trzy lata na dworze być gością.

Longaville. Ogół warunków był w ślubie zawarty.

Biron. Zatem, mój władco, przysięgłem na żarty;

Jaki jest wiedzy cel? Kto mi rozumie?

Król. No, nauczyć się, czego się nie umie.

Biron. Rzeczy, zwyktemu rozumowi tajnej?

Król. Tak, to jest wiedzy owoc życiodajny.

Biron. Zgoda i na to. A zatem przysięgnę,

Że po nieznanach rzeczy wiedzę sięgnę

I zacznę szukać, gdzie się smaczno żyje,

Gdy mię uczt jawnych jawny zakaz pęta,

I badać, gdzie się ładny buziak kryje,

Gdy mi wzbronione są ładne dziewczęta,

I kręcić głową, jakby ślubom skłamać

I tak je łamać, by rzkomo nie łamać.

Gdy chcecie, aby nauką się zwało

Poznawać, czego wprzódę się nie znało.

To się nie cofam i przysięgam śmiało.

Król. Ależ to sposób badania niezadany

Wodzić swój rozum ku uciezce marnej.

Biron. Ba, każda rozkosz jest marna, ta zwłaszcza,

Co, mękę sięjąc, bólem się zachwaszcza,

Jako to: w pocie nad księgami ślezczać,

Szukając światła prawdy, gdy w tej chwili

Miał badaczowi jasnością odwdzięczyć

Światło wzrok jego złudnym blaskiem myli,

Tak, że nim jego istotę odgadnie,

Noc mu wieczysta na źrenice padnie.

Uczcie mię raczej, jak mam oczy zbawiać,

Posyłając je w oczy bardziej lubę,

I cudzym wzrokiem własny wzrok uzdrawiać,

Grzejąc go w świetle, co mu niosło zgubę.

Wiedza, jak słońce to świetne na niebie,

Zuchwałym wzrokom obliczności broni,

A mędrzec, który w księgach się zagrzebie,

Jedynie prawdę cudzą w nich odstoni.

A owy chrestny gwiazd niebieskich ociec,

Co umiał wszystkich w nieba sklepie dociec,

Nie więcej zyska z tego wynalazku,

Niż prostak, który wędruje w ich blasku.

Kto wie zbyt wiele, gruntu nie doszuka,

A dać nazwisko toć nie wielka sztuka.

Król. Aj! jak uczenie naukę przegania!

Dumain. Żle postępuje, kto postępu wzbrania.

Longaville. Posiał pszenicę, pokrzywa mu wzrosła.

Biron. Coś blizka wiosna: gąska jajko zniosła.

Dumain. Gdzież tu sens?

Biron.

W czasie, miejscu i osobie.

Dumain. Lecz nie w logice... Rymem ją wyrobię.

Longaville. Biron jest jak szron ostry i zardrosny,

Szczypie w zarodku pierwsze dzieci wiosny.

Biron. Dlaczegoż lato staje z taką pychą,

Gdy w gajach między ptactwem jeszcze cicho?

Czemu się cieszyć poronionym płodem?

Nie pragnę róży w Narodzenie Boże,

Ani chęć majów, powleczonych lodem;

Ja lubię każdą rzecz o swojej porze.
Ryc się dziś w księgi to taka robota,
Jak włązić przez dach, by otworzyć wrota.

Król. Ha, zatem, Biron, tu nasze rozstanie.

Biron. Nie, wytrwam z wami, Najjaśniejszy panie.

I chociaż bardziej na głupstwo się skłaniam,
Niż wy na waszą tę anielską wiedzę,
Jednak się przysiąg wypełnić nie wzbraniam
I te trzy lata pokutne przebiedę.

Podajcie statut, odczytam go jeszcze,
Nim ostatecznie podpis mój umieszczę.

Król. To cię ustępstwo zbawia od sromoty.

Biron (*czyta*). Item: »Żadnej kobiecie nie wolno na miłą
zbliżyć się do mego dworu«.

Już otrąbiono?

Longaville. Przed czterema dniami.

Biron. Obaczmy karę: »pod grozą ucięcia języka«. Któż
to znów wymyślił?

Longaville. Ja sam.

Biron. Czemuż to, młodzieńcze cukrowy?

Longaville. To najpewniejszy strach na białogłowy.

Biron. Zbyt hazardowne prawo dla dworności.

Item: »Mężczyzna w przeciągu tych lat trzech, schwy-
tany na rozmowie z kobietą, zostanie skazany na takie
publiczne pohańbienie, jakie mu reszta dworu naznaczy«.

Ten punkt, mój królu, pierwszemu na zdradzie
Stanie, wszak ma tu przybyć w ambasadzie
Francyi królowna, dostojna i młoda:

Majestatyczna ma być jej uroda.

W imieniu króla, który ciężko chory,
Przybywa skończyć akwitańskie spory.

Więc ten paragraf będzie bezużytkiem,

Lub piękna księżna musi odejść z kwitkiem.

Król. I cóż, panowie? O tem zapomniano.

Biron. Tak to, gdy dowcip wstaje nazbyt rano,

Dzikim marzeniom w głowie drogę mości,

A zapomina zwykłej powinności;

Aż gdy się wreszcie tryumfem wzbogacił,

Jak ogniem wzięty gród: tuś wzięty, tuś stracił.

Król. Zatem skreślmy ten paragraf płonny,

Przyjazd księżniczki widząc nieuchronny.

Biron. Ta nieuchronność wciąż wisi nad nami,

Tysiackroć zrobi krzywoprzysięzcami

W przeciągu lat trzech; bo człowiek powolny,
Przed pokusami swemi jest niewolny,
Chyba szczególną obdarzony łaską.

Gdy więc ślub złamię, niech się nikt nie złości,
Będę się bronił, że to z konieczności.

Tu się, jak długi, podpiszę pod wami,

A komu podpis wiarołomstwem zblaknie,

Niech wie, że wieczna sromota go splami.

Pokus w tym czasie mnie i wam nie braknie,

Choć ja, co zdam się tak nieustalony,

Pewnie ostatni przełamie zakony.

Będzież pokuta czem wynagrodzona?

Król. Właśnie: mamy tu z Hiszpanii szlachcica,

Którego głowa — wcielona mennica,

Mistrz dwornej sztuki, osoba uczona,

Znawca przepisów mody pierwszy w świecie,

Który frazesy na girlandy plecie,

Rozmiłowany cały w swej osobie,

W harmoniach pustych własnego języka:

Komplementy taki, że zeń sobie

Prawda i kłamstwo robią pośrednika.

Ten syn kaprysu zowie się Armado;

On dla wytchnienia będzie nam z przesadą

Opiewał smagłej rycerzy Hiszpanii,

Którzy w wir czasu wpadli zapomniani.

Jak się wam wyda, poznacie po próbie;

Co do mnie, kiedy łże, słuchać go lubię,

Minstrele sobie z niego wyhołubię.

Biron. Już wiem: Armado, rycerz pierwszej wody,

Arcymistrz słowa i hidalgo mody.

Longaville. Będzie nas bawił trzy lata z Łepakiem:

Nie znudzimy się w towarzystwie takim.

(*Wchodzą Tuman z listem i Łepak*).

Tuman. Gdzie jest księcia własna osoba?

Biron. Tu, mój chłopcze; czego to żądasz?

Tuman. Ja wyzywam jego osobę, bo jestem jego wyso-
kości konstabllem; ale chciałbym oglądać jego osobę
w kości i ciele.

Biron. Otóż on.

Tuman. Signior Arme... signior Arme... poleca się wam.

Szpetne dzieją się rzeczy; ten list więcej powie.

Łepak. Cała okoliczność, że tak rzekę, mnie się tyczy.

Król. List od wspaniałego Armada.

Biron. Przedmiot może niski, ale z łaski Bożej oczekuję wzniosłych słów.

Longaville. Wzniosłe nadzieje, a niskie fakty. Boże, cierpliwości!

Biron. Żeby słuchać, czy żeby obejść słuchanie?

Longaville. Słuchać miernie i nie śmiać się niepomiernie, lub unikać obojga.

Biron. Zależać będzie od tego, jak wysoko styl podniesie nas do wesołości.

Łepak. Okoliczność mnie dotyczy, a okoliczności Żakenety. Uczynek mój był ten, że mię z nią złapano na uczynku.

Biron. W jakim sposobie?

Łepak. W sposobie i formie, jak następują; razem jest ich troje. Widziano, jakem z nią siedział na folwarku w pewnej formie i schwytano, kiedym za nią poszedł do parku, wszystko w sposobie i formie następującej. Teraz panie co do sposobu, był to sposób, w jaki chłop ma sprawę z kobietą; co do formy, była to swoja forma.

Biron. A co do tego: jak następuje?

Łepak. To nastąpi w mojem ukaraniu, i niech Bóg może sprawiedliwemu!

Król. Chcecie posłuchać tego listu z uwagą?

Biron. Jak wyroczeni.

Łepak. Taka to już głupota człowieka, że lezie, gdzie go cielsko wodzi.

Król (czyta). »Wielki Boży pośle, firmamentu wice-władco i samodziernco Nawarry, duszy mojej ziemskie bóstwo i ciała mego żywicielu...«

Łepak. Jeszcze ani słowa o Łepaku.

Król. »Oto co się stało...«

Łepak. Może się i stało; jeżeli mówi, że się stało, to jużci, prawda.

Król. Spokój.

Łepak. Ze mną i z każdym, co się drzeć nie lubi.

Król. Milczenie.

Łepak. O cudzych sekretach, jeśli łaska.

Król. »Oto co się stało. Oblężony od szarobarwnej melancholii, poleciłem swój kirobrzmienny humor zbawiennym wpływom twego życiodajnego powietrza i, jakem szlachcic, wyszedłem na przechadzkę. Czas, kiedy? Około godziny szóstej, kiedy bydełko najlepiej pasie

trawę, ptactwo najlepiej dziubie ziarno, a człowiek zasiada do tego odżywiania się, które nazywają obiadem. Tyle co do czasu; teraz co do gruntu, gdzie. Na gruncie, po którym się przechadzałem i który nosi miano Waszego parku. Wreszcie co do miejsca, na którym; na tem, powiadam, gdzie się zderzyłem z owem nieobyčajnym i nieprzystojnym widowiskiem, które z mego śnieżnobiałego pióra wywabia hebanocząrną inkaust, niniejszem oczom waszym widoczny, spostrzegalny i jawny. Co do miejsca, raz jeszcze, leży ono na północno-północny wschód od zachodniego rogu waszego dziwnie zlabiryntowanego ogrodu. Tam to dostrzegłem tego poziomolotnego pacholka, tego nizkonurtującego śliza Waszej rozrywki...«

Łepak. Mnie!

Król. »...tę niepiśmienną, tępoumną duszę...«

Łepak. Mnie!

Król. »...tego płytkiego wasala...«

Łepak. Precz, mnie!

Król. »...któremu, ile pomnę, na imię Łepak...«

Łepak. Aha, mnie!

Król. »...spowinowaconego w winie, wbrew Waszym ogłoszonym i utwierdzonym edyktom i nienaruszalnym statutom, z tą... z tą... o, co za ból dla głębi mego jeststwa wymówić...«

Łepak. Z dziewczyną.

Król. »...córka prababki naszej Ewy, z istotą płci żeńskiej lub dla gładszego zrozumienia, z kobietą. Jego to, party wiernopoddawicem obowiązku poczuciem, aby otrzymał należne honorarium kary, ślę za pośrednictwem urzędnika Waszej Miłości, Antoniego Tumana, męża dobrego rozgłosu, prowadzenia się, postępowania i zachowania...«

Tuman. Mnie, z przeproszeniem Waszej Miłości; ja jestem Antoni Tuman.

Król. »Co do Żakenety — takie jest miano słabszego naczynia, które pochwyciłem z wyż wymienionym pacholkiem — zatrzymałem ją jako naczynie na wypełnienie surowością Waszych praw i jestem gotów, na najłżejsze skinienie Waszej słodkiej woli, przystawić ją do sądu. Wasz z całym kultem najpoddawniejszych i najżarliwszych popędów obowiązkowości

Don Adriano de Armado.

Biron. Mniej to dobre, niż się spodziewałem, ale najlepsze z wszystkiego, co mi się słyszeć zdarzyło.

Król. Istotnie, najlepsze z najgorszych. He, zuchu, cóż ty na to?

Łepak. Panie, zeznaję, dziewczkę.

Król. Słyszałeś obwieszczenie?

Łepak. Wyznaję, żem słyszał, ale żem mało baczył na to, co orzekało.

Król. Orzekało rok więzienia za pochwylenie z dziewczyną.

Łepak. Ja też nie byłem schwytyany z dziewczyną, tylko z marmuzelą.

Król. Statut mówi też o marmuzelach.

Łepak. Zatem to nie była marmuzela; to była dziewczka.

Król. I to statut przewidział; brzmi wyraźnie: lub z dziewczką.

Łepak. To ja zaprzeczę jej dziewiczeństwa; ona była niewiastka.

Król. Niewiastka nie na wiele ci się przyda.

Łepak. Owszem, niewiastka na dużo mi się przyda.

Król. Basta, ogłaszam wyrok. Będziesz pościł tydzień o chlebie i wodzie.

Łepak. Wolałbym modlić się przez miesiąc o baranie i barszczu.

Król. A Don Armado będzie twym strażnikiem.

Biron, racz mu waść dostawić przestępcę.

My zaś odejdzmy, moi przyjaciele:

Cośmy przysięgli, idźmy spełnić w dziele.

(Wychodzą Król, Longaville i Dumain).

Biron. Ja moją głowę za kapelusza stawię,

Że pohańbimy statuta w tej sprawie.

Chodź ze mną, zuchu.

Łepak. Cierpię za prawdę, panie, jako prawda, że mię złapano z Żakenetą, a Żakeneta jest prawdziwą dziewczką.

I dlatego witaj, gorzka czaro pomyślności. Strapienie znów się kiedyś rozigra, a tymczasem siadaj zdrów, smutku!

(Wychodzą).

SCENA II.

Inna strona pałacu.

(Wchodzą Armado i Ćma).

Armado. Chłopcze, co ma za znaczenie, kiedy się umysł wielkodusznego męża zmelancholizuje?

Ćma. Widoczne znaczenie, panie, że będzie wyglądał smutno.

Armado. Smutek i melancholia to jedno, droga latorośli.

Ćma. Wcale nie, wcale nie, mój władco.

Armado. Jak zdołasz rozróżnić smutek od melancholii, wiotki młodzieniaszku?

Ćma. Popularnem objaśnieniem ich przebiegu, trwały staruszkę.

Armado. Dlaczego: trwały staruszkę? Dlaczego: trwały staruszkę?

Ćma. Dlaczego: wiotki młodzieniaszku? Dlaczego: wiotki młodzieniaszku?

Armado. Powiedziałem: »wiotki młodzieniaszku«, jako epitet znamienny, przynależny twym młodym latom, które słusznie nazwać wiotkami.

Ćma. A ja: »trwały staruszkę«, jako cechę waszego wieku, który można nazwać trwałym.

Armado. Ładny i zręczny.

Ćma. Jak to pan rozumiesz? Czy ja ładny, a moja mowa zręczna, czy ja zręczny, a moja mowa ładna?

Armado. Ty ładny, bo mały.

Ćma. Mało ładny, kiedy mały; a dlaczego zręczny?

Armado. Dlatego zręczny, że żywy.

Ćma. Czy to na moją pochwałę, panie?

Armado. Na twoją należną pochwałę.

Ćma. W taką samą pochwałę mógłbym ubrać węgorza.

Armado. Jakto? pochwalisz węgorza, że dowcipny?

Ćma. Nie, że żywy.

Armado. Powiedziałem, że jesteś żywy w paleniu odpowiedzi. Grzejesz mi krew.

Ćma. Odpowiedź za odpowiedź, panie.

Armado. Przekorność u mnie nie płaci.

Ćma *(na str.)*. A ty niby komu płacisz?

Armado. Przyrzekłem trzy lata z księciem poświęcić nauce.

Ćma. Godzina wystarczy, panie.

Armado. Niepodobna.

Ćma. Ile czyni: trzy razy jeden?

Armado. Nie jestem biegły w rachunkach, to dobre dla szynkarza.

Ćma. Wyrok: jesteś pan szlachcicem i graczem!

Armado. Jednym i drugim, wyznaję; to daje polor doskonalszemu dworakowi.

Ćma. Zatem wiesz zapewne, ile wynosi suma dwójki z asem?

Armado. Wynosi sumę o jeden wyższą od dwóch.

Ćma. Co poziomy tłum zowie: trzy.

Armado. Właśnie.

Ćma. No, i gdzie tu taka wielka nauka? Nimesz do trzech doliczył, jużes się wyuczył trójki, a jak jest łatwo dorzucić wyraz lata do trójki i nauczyć się trzy lata w dwu wyrazach, to ci powie lada koń uczony.

Armado. Wdzięczna figura rachunkowa.

Ćma (*na str.*). Dowodząca, że jesteś zerem.

Armado. Nadto wyznam ci, że się zakochałem, a że miłość jest dla żołnierza fundamentem, zakochałem się w fundamentalnej dziewczynie. Gdyby wydobyć szpady przeciw kaprysowi tego uczucia mogło wybawić mi od nagannych rojeń, wziąłbym żądę do niewoli i sprzedał ją francuskiemu dworakowi za ostatniomodny komplement. Mam we wzgardzie westchnienie; myślę, że wypadałoby mi odprzysiądz się Kupidyna. Pociesz mnie, moje chłopię: jacy wielcy ludzie byli zakochani?

Ćma. Herkules, panie.

Armado. O, słodki Herkulesie! Więcej powag, luby chłopcze, więcej nazwisk; a niech to, moja pieszczoto, będą ludzie głośniejszy i wielkiego wzięcia.

Ćma. Samson, panie; to był człowiek dużego wzięcia, dzielnego wzięcia, bo wziął sobie bramę miejską na plecy, jak tragarz, a był zakochany.

Armado. O, krępy Samsonie, o, żyłasty Samsonie! Przewyższam cię na rapiery, jak ty mię przewyższasz na noszenie bram miejskich. I ja jestem zakochany. Kto była kochanką Samsona, drogi Ciemko?

Ćma. Niewiasta, panie.

Armado. Jakiej cery?

Ćma. Czterech albo trzech, albo dwóch, albo jednej z czterech.

Armado. Mów mi wyraźnie, jakiej cery?

Ćma. Zielono-morskiej, panie.

Armado. Czy to jest jedna z czterech cer?

Ćma. Tak czytałem, panie, i do tego jedna z najlepszych.

Armado. Zaisze, zieleń jest barwą kochanków, ale brać kochankę tej barwy, zdaje mi się, że Samson nie miał racji. Zapewne czuł do niej afekt dla dowcipu.

Ćma. Tak jest, panie, bo miała jary dowcip.

Armado. Moja kochanka jest niepokalanej bieli i rumianości.

Ćma. Bardzo pokalane myśli kryją się często pod takimi barwami.

Armado. Określaj, określaj, mój biegły w piśmie król-wiczu.

Ćma. Dowcipie ojca i języku matki, wspomóżcie mię!

Armado. Czują inwokacya dziecięcia; wdzięczna, patetyczna!

Ćma. Jeśli w jej twarzy biel i karminy,
Któż kiedy znajdzie w niej wadę,
Skoro rumieniec jest znakiem winy,
A strachu policzki blade:
Kiedy poblednie lub się zrumieni
Któż tych barw pozna powody,
Skoro się w twarzy niczem nie zmieni
Dar naturalny przyrody?...

Niebezpieczny rym panie dla białości i czerwoności.

Armado. Nie znasz, chłopczyno, ballady »O królu i żebracze?«

Ćma. Popełnił świat podobną balladę coś przed trzema wieki, ale dziś, jak mniemam, trudno ją wykryć, a choćby się nawet wykryło, nie zda się ani pisarzowi, ani rymarzowi.

Armado. Postaram się, aby ten temat na nowo opracowano, będę mógł usprawiedliwić swój wybryk wspomniałym precedensem... Chłopcze, miłuję wieśniaczkę pochwyconą w parku z tym racjonalnym pacholkiem Łepakiem; ona zasłużyła...

Ćma (*na str.*). Chłostę, a w każdym razie porządniejszego kochanka, niż mój pan.

Armado. Zanuć mi, chłopczyno; duch mój posępnieje z miłości...

Ćma. To dziwne, skoroś pan zakochany w wesolej dziewczynie.

Armado. Zanuć, powtarzam.

Ćma. Poczekaj pan, aż przejdzie to towarzystwo.

(*Wchodzą Tuman, Łepak i Żakeneta*).

Tuman. Mości panie, podobało się księciu panu, żebyś wzięła pod straż tego tu mianem Łepaka: żebyś nie zadawał mu ani uciechy, ani pokuty, ale trzy razy na tydzień post. Tę pannę zaś mam trzymać razem z innymi w parku za mleczarkę. Bywajcie mi zdrowi.

Armado. Zdradzam się rumieńcem. Dziewczę!

Żakeneta. Jegomość.

Armado. Odwiedzę cię w twojej chatce.

Żakeneta. To tu w podł.

Armado. Wiem, gdzie stoi.

Żakeneta. Jezu, jaki mądrała!

Armado. Opowiem ci coś cudownego.

Żakeneta. Wy, z taką gębą?

Armado. Kocham cię!

Żakeneta. Jużem to od was słyszała.

Armado. Zatem żegnaj mi!

Żakeneta. W dobry czas.

Tuman. Dalej, Żakeneto, pójdźmy.

(*Tuman i Żakeneta wychodzą*).

Armado. Będziesz pościł za swe przestępstwo, niecnoto, zanim ci będzie przebaczone.

Łepak. Dobrze, panie: spodziewam się, że jeśli mam pościć, to przynajmniej o pełnym żołądku.

Armado. Zostaniesz skazany na ciężką pokutę.

Łepak. Za to wam dziękuję lepiej, niż wasza służba, która bierze lekką zapłatę.

Armado. Weźcie tego hultaja: do więzienia z nim.

Ćma. Pójdź tu, ty przystępny niewolniku.

Łepak. Nie zamykajcie mię, panie; będę pościł na swobodzie.

Ćma. Nie, duszko, toby znaczyło związać cię i rozluźnić; do więzienia.

Łepak. Dobrze, jeżeli zaś będę oglądał wesołe dni utrapienia, jak już widziałem, to niektórzy ludzie zobaczą...

Ćma. Cóż niektórzy ludzie zobaczą?

Łepak. Nic, panie Ćma, prócz tego, na co będą patrzeć. Nie jest to aresztancka rzecz być niemym w gadaniu, dlatego nic nie powiem: Bogu dzięki, mam tyle mało cierpliwości, co każdy inny; mogę nic nie rzec.

(*Wychodzą Ćma i Łepak*).

Armado. Uwielbiam ziemię, która jest niska, po której

stąpa trzewik, który jest niższy, obuwający jej nóżkę, która jest najniższa. Kochanek, będą krzywoprzysięcą (co jest odmianą zdrady), a jakże może być wierna miłość, zbudowana na niewierze? Miłość jest strzyga; miłość jest szatan, istnieje tylko jeden zły anioł: miłość. Nawet Samson był od niej wiedzion na pokuszenie, choć tak przemożny; nawet Samson był uwiedziony, choć tak przerozumny. Kupida bełt jest za ostry na maczugę Herkula, o ileż więcej na rapir Hiszpana! Pierwszy i drugi kartel nań nie wystarcza; *passada* nie szanuje, na *duello* nie patrzy, Nieszcześnie jego, że zwie się dzieckiem, ale chwala, że podbija mężów. Bądź zdrowa, odwago! Rdzewiej, dzielna szpado! Bębnie bojowy, milcz! Kto was wodził, jest zakochany. Tak jest, kocha. Przybывaj, momentalny boże rymów, bo jestem pewny, przedziergam się w sonecistę. Twórz, fantazyo, pióro, pisz; jestem natchniony na kilka tomów *in folio*. (*Wychodzi*).

AKT DRUGI.

SCENA I.

Inna część parku. Pawilon i namioty w głębi.

(*Wchodzą Księżniczka francuska, Rozalina, Marya, Katarzyna, Boyet, panowie i dworzanie*).

Boyet. A teraz, pani, skup uwagi strażę
I pomyśl, kogo przysyła tu w posły
Król i do kogo i w jakim zamiarze.
Ciebie, którą się ziemski glob zachwyca,
Przysyła w sprawach państwa do dziedzica
Wszech zalet, w których zdolny rósć mężczyzna,
Do Nawarczyka bez plamy; a żyzna
Ta Akwitania, to królewskie wiano,
To cel układów, z którym cię przysłano.
Hojna bądź pięknem, jak natura była,
Która to cenę wdzięków podrożyła,
Gdy pościagała je z nieba i ziemi,
Aby osobę twą ozdobić nimi.

Księżniczka. Milordzie Boyet, urodzie mej lichej
Słów nie przystoją kwieciste przepychy:
Co piękność warta, kupca wzrok ocenia,
A nie kramarskie marne zalecenia.
I ja mniej jestem z tej pochwały dumna
Niż ty, pragnący, aby się rozumna
Zdała słów hojność dowcipem zostrzona. —
Ale do rzeczy. Mój dobry Boyecie,
Wiesz, bo już sława o tem głosi przecie,
Jako Nawarra poczynił był ślubu,
Trzy lata w wiedzy poszukując chluby,
Na swoim dworze nie ścierpieć kobiety.
Więc się zaleca z ostrożności samej,
Zanim podejdzem do zakłętej bramy,
Zapytać, czy to z jego wolą będzie.
Trafnym zechcicie rzecz tę powieść torem:
Waszej zręczności ufając w tym względzie
Naszym mianuję was ambasadorem.
Księżniczka Francyi, córka jego mości
Króla, w przedmiocie wielkiej doniosłości
I który zwłoki przydługiej nie znosi,
Jego wysokość o audyencyę prosi.
Śpiesz i tak powiedz, my zaś jego chęci
Będziem tu czekać, pokorni petenci.

Boyet. Dumny zaszczytem, nie zaniedbam sprawy.
Księżniczka. Dumy są żwawe, bądźże i ty żwawy.

(Boyet wychodzi).

Moi panowie, któż z cnotliwym księciem
Owem się zacnem wstawia przedsięwzięciem?
Pierwszy szlachcic. Jeden Longaville.

Księżniczka. Znasz go, przyjacielu?

Marya. Ja znam, dostojna księżno: na weselu

Lorda Perigord i córy uroczej
Jakóba Falconbridge, które święcono
W Normandyi, ten mi Longaville wpadł w oczy.
Ma to kawaler być niepospolity,
Biegły w szermierce i w sztukach obyty,
Wszędzie szczęśliwy, na co chęć obróci.
Jeden cień blaski tych przymiotów kłóci,
Jeśli cień jaki cnotę kłócić zdolny:
Ma dowcip ostry i nieco swywojny;
Dowcipem kole, okazji nie minie,
Skwapliwie siekąc, kto mu się nawinie.

Księżniczka. Trzpiot żartobliwy, któremu pstro w głowie.
Marya. Kto go mógł poznać bliżej, tak go zowie.

Księżniczka. Taki dowcip schmie, zanim się rozpleni;
Któż więcej?

Katarzyna. Dumain, skończenie wykwinłty kawaler,
Kto ma szlachetność w cenie, ten go ceni.
Żart jego miły przez skromności cnotę.
Dowcip tak grzeczny, że zmienia brzydotę
W piękności, a taki wdzięk w całej osobie,
Że, choć się nie skrzy, wszystkich jedna sobie.
Pomnę, spotkałam go niegdyś na dworze
Księcia d'Alençon, a moje pochwały
Ledwie część jego cnot wypowiedziały.

Rozalina. Inny tam rycerz księgi pod tę chwilę
Bawił z Dumainem, jeśli się nie mylę,
Biron nazwiskiem: luby szalawiła;
Nigdy w granicach przystojnego żartu
Z mężczyzną miłszej chwili nie spędziła.
Figłów dostawce są dla niego oczy:
Cokolwiek one na drodze nagabną,
On wraz na miły koncept przeistoczy,
A język, myśli wykładacz, tak zgrabną
Sztuką treść jego pomysłu wyświeci,
Że nawet stary słucha bez niechęci,
A młodzi, to już słuchają z zachwytem,
Taki jest luby i tak wdzięczny przytem.

Księżniczka. Widzę, już panny moje zakochane,
Kiedyście każda portret sobie miły
W takie girlandy świetne postroiły. *(Wraca Boyet).*

Marya. Boyet powraca.

Księżniczka. I cóż, posłuchanie,
Milordzie?

Boyet. Waszej podróży już świadom
Nawarczyk z przysięg swoich spółnikami
Gotów, księżniczko, na wasze spotkanie,
Już mię uprzedził; lecz wierny zasadom
Ślubu, jak słyszę, powiada, iż raczej
W czystem wam polu kwatery wyznaczę,
Jakbyśmy zamek mu oblegać przyszli,
Niżby za własnych swych przysięg odpustem
Miał was przyjmować w pałacu dziś pustym,
Oto Nawarra. *(Damy maskują się).*
(Wchodzi Król, Longaville, Dumain, Biron i świta).

Król. Piękna księżniczko, witaj nam na dworze
Nawarry.

Księżniczka. Piękność wam wracam, a witania jeszcze
nie skosztowałam. Dach tego dworu (*pokazując na
niebo*) za wysoki, aby być waszym, a puste pole za
nizkie, aby być moim dworem.

Król. Zatem, księżniczko, witaj na mym dworze.

Księżniczka. Chcę powitana być, lecz nie na dworze.

Król. Posłuchaj, pani: przysięga mię wiąże.

Księżniczka. O, pani nieba! Złamięsłuby, książe.

Król. Za nic na świecie, dbam o to usilnie.

Księżniczka. Siła je złamię, siła nieomylnie.

Król. Wasza królewska wysokość wszak nie wie,
Jaka treść ślubów.

Księżniczka. Gdyby Król Jegomość

Takąż niewiedzę zachował, to raczej

Byłaby mądra jego niewiadomość,

Gdyż dziś niewiedzę jego wiedza znaczy.

Żeście się rzekli domowych słodocy,

Słyszę; w tem wytrwać za grzech się policzy.

A równie za grzech przysięgę przełamać.

Przebaczcie jednak, żem tak krewka w mowie:

Mistrzować mistrza zuchwalstwem się zowie.

Raczie rozpatrzyć, książe, moją sprawę

I ambasadzie prędką dać odprawę.

Król. Pragnę najprędzej, pani, na me życie.

Księżniczka. Pewno tem prędziej, im bardziej życzyście

Mego odjazdu, który w każdej piędzi

Krzywoprzysięstwa waszego oszczędzi.

Biron (*do Rozaliny*). Czylim nie tańczył raz w Branbacie
[z wami?

Rozalina. Czym nie tańczyła raz w Branbacie z wami?

Biron. O ile wiem, tak.

Rozalina. Więc jakżeż zbyteczne
Wasze pytanie!

Biron. Nadtoś pani żwawa.

Rozalina. Biczem jest, kto tak pytania zadawa.

Biron. Zbyt rączy dowcip zbyt rychło się nuży.

Rozalina. Aż swego jeźdźca zrzuci do kałuży.

Biron. Która godzina?

Rozalina. Na głupie pytania.

Biron. O, droga maska!

Rozalina. Droższe, co zasłania.

Biron. Niech wam śle niebo wielu wielbicieli!

Rozalina. Byleście do nich wy nie należeli.

Biron. Skoro tak rzeczy się mają, odchodzę.

Król. Tym listem, pani, ojciec wasz dostojny

Oznajmia spłatę stu tysięcy w złotej

Walucie, to jest połowę tej kwoty,

Którą mój rodzic na potrzeby wojny

Jemu pożyczył; ale też dodaje,

Żeśmy ja lub on, rzeczoną połowę

— O czem nie mówią nasze rachunkowe

Księgi — podnieśli, w skutek czego więcej

Dług nie wynosi, jak te sto tysięcy.

Na wszystkich owych sum zaspokojenie

Część Awitanii był nam zdał w dzierżenie,

Chociaż jej wartość za dwakroć nie stoi.

Jeżeli zatem król ojciec wasz, pani,

Drugą połowę długu zaspokoi,

Wywiedziem wojska nasze z Akwitanii

I zostaniemy z nim w przyjaźni starej.

Lecz tu, jak widzę, inne są zamiary.

Wasz ojciec za zwrot pierwszych stu tysięcy,

Po którym całość długu ma się zmazać,

Chce Akwitanii prawa mnie przekazać.

Aby to było nam z zyskiem, nie sądzę,

Gdyż przekładamy w tych czasach pieniądze

Nad Akwitanie, w wojnie spustoszoną.

Droga księżniczko, gdyby to życzenie

Z głosem rozwagi nie było tak sprzeczne,

Wdziękiby wasze były dostateczne,

Aby zwyciężyć poszept roztrpności

I z pełnią życzeń odpuścić z tych włości.

Księżniczka. Zbyt żywo ojca mego dotykacie,

Wstyd czyniąc jego imieniu po świecie,

Że wyrażacie wątpliwość o rzeczy,

Której sądziłem, że nic nie zaprzeczy.

Król. Przysięgam pani, rzecz tu słyszę nową.

Są li dowody, ni chwili nie zwlekę,

Sumę wypłacić każe, lub się zrzekę

Ziem Akwitanii.

Księżniczka. Trzymam Was za słowo.

Jego Królewskiej Mości; mój Boyecie,

Kwity spłaconej sumy okażecie.

Wydane w króla Karola urządzie
Skarbu.

Król. Tem lepiej; dość mi na tem będzie.

Boyet. Raccie wybaczyc; pakiet, gdzie zamknęty
Skrypt, a z nim inne jeszcze dokumenty,
W drodze zostały: jutro je przedstawię.

Król. To mi wystarczy; bądźcie upewnieni,
Najlepszym chęciom poddam się w tej sprawie.
Tymczasem mówię: witajcie nam w gości,

Ile gościny bez honoru szczyby
Mogę udzielić Waszej Wysokości.

Nie wolno przyjąć Was w pałacu bramy,
Lecz poza niemi kwaterę Wam damy,
Jakby nią było własne serce moje.

Że Was nie mogę przyjąć na pokoje,
Szlachetność Wasza uniewinni; zaczem
Żegnaj mi, pani, jutro się obaczym

Księżniczka. Idźcież, a szczęście niech Wam przewodniczy.

Król. Spełnienia życzeń serce me Wam życzy.

(Wychodzi Król ze switą).

Biron *(do Rozaliny)*. Pani, bądź polecona memu sercu.
Rozalina. Przedstaw mię, proszę; chciałabym poznać je
bliżej.

Biron. Chciałbym, abyś słyszała, jak wzdycha.

Rozalina. Jakto? Biedactwo chore?

Biron. Serdecznie chore.

Rozalina. Puścić krew, niebożę.

Biron. Czy mu to pomoże?

Rozalina. Innej rady niema.

Biron. Przekłuj je oczyma.

Rozalina. Szczyrykiem może.

Biron. Zdrowie daj ci, Boże!

Rozalina. A wam długie męki.

Biron. Żegnam bez podzięki.

(Wychodzi).

Dumain. Proszę was, panie, kto jest ta dziewczyna?

Boyet. To Alençonu pani, Rozalina.

Dumain. Bądźcie mi zdrowi; piękna, ani słowa.

(Wychodzi).

Longaville. Ta dama w bieli, proszę, jak się zowie?

Boyet. Ta dama w bieli? Pewnie białołtowa.

Longaville. Pragnę nazwisko jej mieć, dobry panie.

Boyet. Ma tylko jedno; niechże jej zostanie.

Longaville. Czyżaj jest córka?

Boyet. Matczyną, dowiodę.

Longaville. Błogosławieństwo, panie, na twą brodę.

Boyet. Nie gniewajcie się, proszę:

To dziedziczka Falconbridge.

Longaville. Skoro tak, gniew mój sptoszę;
Urodziwa panna.

Boyet. Piękność nienaganna.

(Wychodzi Longaville).

Biron. Ta w kołpaczku dziewczyna...

Boyet. Zowie się Katarzyna.

Biron. Wolna? W zamężnym stanie?

Boyet. Ot, tak sobie, mój panie.

Biron. Bywaj mi waszmość zdrowy; do widzenia.

Boyet. Zdrowy dla siebie; dla was do widzenia.

(Wychodzi Biron. Damy zdejmują maski).

Narya. To jest ów Biron, owy pustak sławny,

Który ma w każdym słowie być zabawny.

Boyet. Pustak, bo każdy concept jego pusty.

Księżniczka. Dobrześ waśc umiał podrażnić chłopaka.

Boyet. Jam rzucał wędę, on chwycił robaka.

Marya. Istne dwa baranki.

Boyet. Właśnie, jagniątka moje kochające,

Gotowe paść się na twych ustek łące.

Marya. Wy owca, ja ruń — zakończenie chlubne.

Boyet. Będzie, lecz pozwól, że runi uskubnę.

(Chce ją pocalować).

Marya. Hola, szlachetne zwierzę; warg mych dwoje

Kłóca się z sobą, lecz trzymają ze mną.

Boyet. Czyjeż są?

Marya. Szczęścia mego, potem moje.

Księżniczka. Dobry żart, dobry w miarę, lecz nie dalej —

Lepiej obrócić te domowe boje

Na Nawarczyka i jego wasali.

Boyet. Jeśli mię bystrość, która rzadko błądzi,

Bo serc wymowę z ócz wyrazu sądzi,

Nie omyliła, Nawarczyk jest chory.

Księżniczka. Na co?

Boyet. Na miłość, jak ją zwą doktory.

Księżniczka. Dowody?

Boyet. Patrzcież, zalotność się zbiera

W oczach i żądzą z pod powiek wyziera;

Serce jak agat kształty twe odciska

I śle źrenicy, która dumnie błyska;
 Język, że nie jest źrenicą, się żyyma,
 Bieży do oczu i patrzy oczyma.
 I wszystkie zmysły ku źrenicy śpieszą,
 Rade, iż pięknem piękna się nacieszą.
 Słowem, zmysł każdy jest w oczach zamknięty,
 Jak w kryształowej puszcze dyjamenty
 Zręcznie od kupca przedstawione księciu,
 Co widząc klejnot, jak przez kryształ świeci,
 Zaraz do skarbcza nabyć go poleci.
 Jakie zdumienie znać mu było w twarzy,
 Że łatwo poznał każdy, co się darzy;
 Ręczę, za jeden pocałunek pani
 Siebie się rzecze i swej Akwitanii.

Księżniczka. Idźmy pod namiot; Boyet nam gotowy...

Boyet. Co oczy mówią zeń, wyrazić słowy.

Jam jeno w usta zmienił jego oczy
 I dodał język, co prawdy nie zmoczy.

Rozalina. Boyet to kramarz serc, więc mówca gładki.

Marya. Dziadek Kupida, co mu bakałarzy.

Rozalina. To Wenus była podobna do matki,
 Bo ojciec brzydał, wcale szpetnej twarzy.

Boyet. Czy mię słyszycie, szalone wietrznice?

Marya. Nie.

Boyet. A widzicie?

Rozalina. Tak, przed sobą drogę.

Boyet. Dajmy już pokój; ja was nie przemogę.

(*Wychodzą*).

AKT TRZECI.

SCENA I.

Inna część parku.

(*Wchodzą Armado i Ćma*).

Armado. Zaświegotaj, dziecino, rozkołysz mi zmysł słuchu
Ćma (*śpiewa*). Konkolinel!...

Armado. Słodka nuta! Idź teraz, młodociany szczepie, weź
 ten klucz, rozluźnij więzy pachołka i przywiedź go tu

skwapliwie; pragnę użyć go do zaniesienia poselstwa
 kochance.

Ćma. Mistrzu, chcesz zdobyć swą damę francuskim młyn-
 cem?

Armado. Jak to rozumiesz, młyncem? Mieleniem języka?

Ćma. Nie, mój doskonały władco, ale wyrzuć ton koń-
 cem języka, zawtóruj mu dreptaczkiem, napiętnuj go
 wywróceniem białek; westchnij melodyjnie i zanuć mu-
 zykalnie; raz przez gardło, jakbyś połykał miłość, opie-
 wając miłość; raz nosem, jakbyś pryskał miłością, wą-
 chając miłość; z kapeluszem, jak okap ponad sklepem
 oczu, z ramionami skrzyżowanymi na wkleśłym po-
 dołku, niby królik na różnie, albo z rękami w kiesze-
 niach, jak mąż na starym portrecie, a strzeż się obra-
 cać długo na jednej melodii: parę taktów i bież do
 innej. To są komplementy, to są umizgi, któremi zdo-
 bywa się ładne dziewczęta, dające się zdobyć i bez
 tego; i które czynią notorycznymi ludzi — zanotuj pan
 sobie — co się na tych formach znają.

Armado. Jakżeś to pozyskał tyle eksperyencji?

Ćma. Kupiłem za szeląg obserwacji.

Armado. Ale o, ale o...

Ćma. Zapomniałeś drewnianej szkapki.

Armado. Czy moją kochankę nazywasz drewnianą szkapką?

Ćma. Nie, mój mistrzu; drewniana szkapka może być
 żrebcem, a twoja kochanka jest czasem juczną kobyłą.

Ale, czyż to zapomniałeś kochanki?

Armado. Prawie zapomniałem.

Ćma. Niedbały badaczu. Naucz się jej na pamięć.

Armado. Na pamięć i na wrywki, chłopcze.

Ćma. I na wrywki, mistrzu; wszystko troje ci potrzebne;
 dowiodę.

Armado. Czego dowiedziesz.

Ćma. Dowiodę mój argument do kresu. Naucz się jej na
 pamięć, to jest, chowaj ją w pamięci; na wrywki,
 kiedy się wyrwiesz do niej; wreszcie na wywrót...

Armado. Wszystkie trzy punkty mnie dotyczą?

Ćma. Jeszcze trzy razy tyle i jeszcze nie wszystkie.

Armado. Przyłagódź pachołka; musi mi ponieść list.

Ćma. Sympatyzująca ambasada: koń w poselstwie od osła.

Armado. Ha, ha, co powiadasz?

Ćma. Bodaj, panie; trzeba osła posłać na koniu, bo się
 wlecze powoli. Ale już idę.

Armado. Droga krótka: ruszaj.

Ćma. Szparko, jak ołów, panie.

Armado. Jak to pojmujesz, wdzięczny talenciku? Nie jesteście ołów metalem tępym, ciężkim i powolnym?

Ćma. *Minime*, czcigodny mistrzu, lub raczej, wcale nie.

Armado. Powiadam, ołów powolny.

Ćma. Zbyt żywy,

Kto tak powiada; czyż nie prędko bieży

Kula, posłana z ognistych moździerz?

Armado. Wdzięczna słów dymu wiotkich retoryka:

Ja moździerz, a on kula; patrzcie smyka!

Więc cię w pachółka strzelam: pędź mi lotem.

Ćma. Pal, mistrzu; pędź i tam i z powrotem.

(*Wychodzi*).

Armado. Bystry młodzieńczyk, luby nad pojęcie.

W twarz ci westchnieniem biję, firmamencie!

Na melancholię czarną się obraca

Hart mego ducha... Co? już poseł wraca?

(*Wchodzą Ćma i Łepak*).

Ćma. Cuda, panie! Łeb zwichnął nogę. Cuda, panie!

Armado. Szarada? parabola? jakże brzmi *l'envoy*, postanienie?...

Łepak. Co za rada, stać takiego bola na postanienie. Żadnego postanienia, żadnego *l'envoy*, żadnych maści. Babkowego liścia, krzyne babkowego liścia.

Armado. Na cnotę, wywabiasz ze mnie wesołość. Twój naiwny umysł wzrusza mi śledzionę; podniecenie ptuc łechce mię do zabawnego śmiechu. Przebaczenia, moje gwiazdy! ten bezrozumny bierze maść za *l'envoy*, a *l'envoy*, postanienie, za medykament.

Ćma. A mądry to bierze inaczej? Czy postanienie nie jest dla chorego rodzajem leku?

Armado. Nie, paziu: to epilog, odnośnik uboczny
Dla wyjaśnienia sensu, który mógł być mroczny.

Wyjaśnię to na przykładzie:

Małpa, bąk i lisek stary

Byli trzej, więc nie do pary.

To jest moral, a teraz postanienie.

Ćma. Ja dodam postanienie; powtórz pan moral jeszcze.

Armado. Małpa, bąk i lisek stary

Byli trzej, więc nie do pary.

Ćma. Aż dopiero gęsi przyście

Urobiło ich parzyście.

Teraz ja zacznę morałem, a pan idź za mną z postanieniem.

Małpa, bąk i lisek stary

Byli trzej, więc nie do pary.

Armado. Aż dopiero gęsi przyście

Urobiło ich parzyście.

Ćma. Dobre postanienie, które się kończy gęsią. Możnaż lepszego żądać?

Łepak. Tamten da się tumanić: jaka pałka pusta.

— Panie, gęś dobry towar, byle była tłusta.

Kto nie umie targować, pokpi się chudzina!

Dajno twego *l'envoy*: wyborna gęsiną.

Armado. Chodźno tutaj, powtórzno twoje *argumentum*.

Ćma. Mówiłem: idzie Łepak z nogą wywichniętą,

Poczem pan wołałeś o postanienie.

Łepak. A ja jeno wołałem o babkowe liście.

Potem on wyszedł z gęsią, którą kupiliście,

I tak targ się skończył.

Armado. Ale powiedz mi, czem się to stało, że Łepak zwichnął nogę?

Ćma. Muszę to opowiedzieć z uczuciem.

Łepak. Idź zdrów; ty tego nie czułeś: ja sam zrobię z tego postanienie:

Siedziałem w kozie, wyszedłem na biedę:

Upadłem przez próg i zwichnąłem łydę.

Armado. Nie mówmy już o tej materii.

Łepak. Aż się w łydzie więcej materii zbierze.

Armado. Mości Łepaku, postaram się dla ciebie o emancypację.

Łepak. O jakąś Francuzicę? To mi pachnie postanieniem.

Armado. Na mą słodką duszę, chcę rzec: usamowolnię

cię, wyzwolę twoją osobę; wszak byłeś zamurowany,

zasekwestrowany, ujarzmiony, uniewolniony.

Łepak. Prawda, prawda, a teraz chce mię jegomość przezyścić i dać mi na zwolnienie?

Armado. Powracam ci wolność, zwalniam cię od pokuty,

a wzamian za to nakładam na ciebie ten obowiązek:

odniesiesz to zawiadomienie wieśniacze Żakencie.

Oto remuneracja! (*daje mu pieniądze*) najlepszą gwar-

dyą mego honoru jest wypłacanie się moim podwładnym.

Ćmo, za mną! (*Wychodzi*).

Ćma. Idę, jak wniosek za premisą. Bywaj zdrów, panie

Łepaku!

Łepak. Bądź zdrow, mój słodki łucie ludzkiego mięsa,
mój prostoduszny tandeciarzu!

(Wychodzi Ćma).

Łepak. Obaczymno tę remunerację. Remuneracja. To musi być łacińskie słowo na trzy szelągi. Remuneracja. Ile za te nici? — Półzłotek. — Nie, chcecie remunerację? — Stoi. — Remuneracja! Ślicznější wyraz, niż francuska korona. Odtąd zawsze będę rachował na remunerację.

(Wchodzi Biron).

Biron. Ha! to ty, Łepaku? Dobrze się darzy, mój zuchu!

Łepak. Proszę was, panie, ile czerwonej wstążki można kupić za jedną remunerację?

Biron. Co to remuneracja?

Łepak. No, przecie trzy szelągi.

Biron. Więc łokieć trzyszelągowego jedwabiu.

Łepak. Dziękuję Waszej Wielmożności. Z Panem Bogiem!

Biron. Czekajno, chłopcze, potrzebuję ciebie:

Musisz mi w jednej wygodzić potrzebie,
Za to wysłużysz sobie moją łaskę.

Łepak. Kiedyż to ma się stać, panie?

Biron. Dziś z południa.

Łepak. Dobrze, wygodzę, panie; bądźcie zdrowi.

Biron. Nie wiesz jeszcze, o co chodzi.

Łepak. Dowiem się, panie, skoro będzie zrobione.

Biron. Czekaj, trutniu, musisz dowiedzieć się wprzód.

Łepak. Przyjdę do Waszej Miłości jutro rano.

Biron. Ależ to musi stać się dzisiaj.

Ot, o co chodzi, słuchaj, mój chłopaku.

Jest jedna dama w księżniczki orszaku,

Która tu dzisiaj przybywa na łowy.

Kiedy zefiry lekką mową dzwonią,

Jej wymawiają imię; pytaj o nią,

O Rozalinę i w jej rękę białą

Ten list zamknięty oddaj. Ruszaj śmiało.

Oto twoja gratyfikacja.

(Daje mu pieniądze).

Łepak. Gratyfikacja! O słodka gratyfikacyo, o jedenaście tyniów lepsza od remuneracyi. Wypełnię, panie, akuratnie. Gratyfikacja, remuneracja!

(Wychodzi).

Biron. Tak, zakochany, zakochany zatem?

Ja, którym niegdyś był miłości katem
I czułych westchnień krzykliwym pedantem,

Krytykiem — ba, co? nocnym policyantem
I bakałarzem nad bębniem smarkatym,

Co jednak wszystkich depce majestatem,
Com lżył Kupida, zuchwałego żaczka,

Ślepego mruka, maruda i płaczka,
Młodego starca, karlika — olbrzyma,

Pana prężących się ramion, psujryma,
Namaszczonego łąka i westchnień księcia,

Władcę próżniaków, mistrza desperatów,
Sultana spódnic, tyrana kabatów

I koronnego wielkiego hetmana

Tylu depcących woźnych. Małe serce!

Ja mam być jego chorążym w żołnierce,

Jak skoczek, w jego barwy postrojony?

Co, ja? Mam kochać, żebrać, szukać żony

Do niemieckiego podobnej zegarka,

Bo raz za wolna, a raz jest za szparka,

Zawsze kapryśna, z wieczora czy zrana,

A chimeryczna, choć regulowana?

A wszystko, by się stać krzywoprzysięcą,

Zadurzywszy się w najzłotliwszej dziewce,

W białym błazniku o jedwabnej brewce,

Z kulkami w oczach czarnemi, jak smoła,

I co nie zechce się krępować zgoła,

Choćby stał Argus u jej drzwi eunuchem,

I czuwać dla niej i wzdychać mam do niej,

Ciągle pilnować oczyma i słuchem?

Ależ to istna plaga! niech Bóg broni!

Którą Kupido obecnie mię karze,

Iż groźną jego małość lekceważy.

Więc dobrze: będę kochał, pisał, wzdychał,

Żebrał i kwilił. Darmo, już tak ma się:

Jeden Małgosię kocha, drugi Kasię.

(Wychodzi).

AKT CZWARTY.

SCENA I.

Inna część parku.

(*Wchodzą Księżniczka, Rozalina, Marya, Katarzyna, Boyet, panowie, świta i leśniczy.*)

Księżniczka. Czy to nie król był, co spinał rumaka
I w górę parł go, bodąc ostrogami?

Marya. Nie, sędzę, nie on, albo wzrok mię mami.

Księżniczka. Ktokolwiek jeździec ów był, znać junaka.

Dziś starani naszych czekamy wyniku,

W sobotę już nam pora do powrotu.

Teraz, leśniczy, prowadź nas do miotu,

Stanowiska nam wyznacz na przesmyku.

Leśniczy. Znam ja na brzeżku miejsce: na me życie,

Tam Wasza Miłość najpiękniej strzelicie.

Księżniczka. Mojej urodzie do stópek się ścięło,

Jej to zawdzięczę, że pięknie wystrzelię.

Leśniczy. Daruj, cna pani, nie tak się myślało.

Księżniczka. Co? pochwaliwszy, cofasz się z pochwałą?

O, krótka chwalbo, o, urodo biedna!

Leśniczy. Pięknaś jest, pani.

Księżniczka. To mię nie przejedna.

Farb twych zaniechaj; tam, gdzie brak urody,

Już żaden pendzel nie naprawi szkody.

Dobre zwierciadło, za szczerłość weź proszę;

Przesadna płaca za niesławę grosze.

Leśniczy. Pani, najszczerze piękno w Was się kryje.

Księżniczka. Patrz, za zapłatę piękność ma odżyje.

Oto dzisiejsze piękności kacerstwo:

Ręka, co daje, choć jest brzydką ręką,

Zawsze jest jeszcze uczczona podzięką.

Dajcie łuk. Biada, litość zabójczynią!

Zły strzał pochwałą, za dobry obwinia.

Tak, czy tak, sławę strzelecką obronię:

Jeśli nie trafię, to na litość zgonię;

Trafię — to żem swą zręczność zjawić chciała,

Którą nie sam cel wali, lecz pochwałą.

Oto, gdzie nieraz ma swe źródło zbrodnia:

W gorączce chwały życie się zwyrodnia.

Dla płochych kadzidł i dla próżnej cześci

Serce w najświętszej zużywamy treści.

Tak jak bez gniewu, dla pochwały marnej

Krew przelejemy nieszczęśliwej sarny.

Boyet. A nie z próżności to i nie z rozkoszy

Rządów się dzieje, kiedy zła kobietka

Nad swoim panem gwałtem się panoszy?

Księżniczka. Rozkosz to pewnie, a cześć tej i chwała,

Która mężczyzną zwojować umiała.

(*Wchodzi Łepak.*)

Zbliża się członek Rzeczypospolitej.

Łepak. Dobrze rano całej kompanii! Która tu jest główna dama?

Księżniczka. Poznasz ją łatwo, przyjacielu, skoro są inne bez głowy.

Łepak. Która jest największa dama, najwyższa?

Księżniczka. Najgrubsza i najdłuższa!

Łepak. Najgrubsza i najdłuższa, właśnie, co prawda, to nie grzech.

Gdybyście byli w pasieczku tak wązka,

Jakom ja, Łepak, w dowcipie jest cienki,

Za pasekby wam starczyła podwiązka

Tej tu lub owej wysmukłej panienki.

Więc wy nie główna dama? — Wy tutaj najtęższa.

Księżniczka. Czego żadasz, mój chłopcze, czego żadasz?

Łepak. Mam tu list od pana Birona do panny Rozaliny.

Księżniczka. Daj go tu, daj tu prędko, dobry pośle;

Boyet, jak krajczy, biegły w swem rzemiośle,

Zaraz nam tego kapłona rozkraje.

Boyet. Służę Wam, pani... Ale mi się zdaje,

List ten nie do nas, lecz do jakiejś damy,

Do... Żakenety.

Księżniczka. Nic to, posłuchamy.

Skręć kark pieczęci, każdy nadstaw ucha.

Boyet (*czyta*). »Na niebiosa, że jesteś piękna, rzecz to niezawodna; że jesteś urocza, rzecz prawdziwa, prawda rzeczywista; że jesteś pełna wdzięku, piękniejsza od piękna, urodziwsza od urody, prawdziwsza od prawdy samej: ulituj się twego heroicznego wasala. Wielkoduszny i nader świetny król Cophetua spoczął okiem na zgubnej i niewątpliwej żebracze Zenelophon; on to mógł słusznie wyrzec: *veni, vidi, vici*, co zanatomizowane i wyłożone językiem gminu (o nizki i ciemny

gminie!) *videlicet*: przybył, ujrzał, zwyciężył; przybył raz, ujrzał dwa, zwyciężył trzy. Kto przybył? Król. Po co przybył? Obaczyć. Po co obaczyć? By zwyciężyć. Do kogo przybył? Do żebrazki. Kogo obaczył? Żebrazkę. Kogo zwyciężył? Żebrazkę. Konkluzją jest zwycięstwo. Po czyjej stronie? Króla. Następstwem zwycięstwa jest z bogacenie. Czyje? Żebrazki. Katastrofą jest hymen. Po czyjej stronie? Królewskiej? Nie, obu w jednym, albo jednego w obu. Ja jestem królem, bo tak wymaga porównanie; ty jesteś żebrazką, bo tak wypada z twego niskiego stanu. Mamże nakazać ci miłość? Mogę. Mamże wymódlę na tobie miłość? Mógłbym. Mamże wyblagać u ciebie miłość? Tak wolę. Co otrzymasz za drelichy? Przepychy. Za kożuchy? Futra, puchy. Za siebie? Mnie. Zatem, oczekując odpowiedzi, profanuję moje usta na twej stopie, moje oczy na twym wizerunku, a serce na każdej cząstce twej istoty. Twój, w najzarliwszym nastroju poddaństwa

Don Adriano de Armado.

Lwa Nemejskiego przerażasz w swej złości,
Owieczko, patrząc na krwiożerczą paszczę;
Lecz do nóg padnij króla jegomości,
A przyhołubi ciebie i pogłaszcze.
Chceszli opierać się, zwierzątko głupie
Szponem rozedrze i zębami schrupie.

Księżniczka. Jaki pióropusz pisał ten madrygał śmieszny,
Jakie kogucie pióro czy kurek pocieszny?

Boyet. Chyba, że znam tę swadę wielkoludną.

Księżniczka. Między tysiącem poznać ją nietrudno.

Boyet. To jest Armado, hiszpańska figurka,

Rodzaj monarchy, bzika, mizdrzypiórka,
Trefniś książęcia i jego kompanii.

Księżniczka. Zuchu, pójdź tutaj. Kto przysłał wasana?

Łepak. Pan.

Księżniczka. Gdzieś miał zanieść to pismo?

Łepak.

Od pana

Do pani.

Księżniczka. Jasno gadaj.

Łepak.

No, od hrabi

Birona do tej, co się Rozalina wabi,

Dama z Francji.

Księżniczka. To labirynt czysty.

Widocznie, chłopcze, pomieszales listy.

Chodźmy, panowie. Luby, weź tę chryję,
Twój list się może gdzieindziej wykryje.

(Wychodzi ze świtą).

Boyet. Kto tu chodzi na łowy, kto chodzi na łowy?

Rozalina. Czyli mam wam powiedzieć?

Boyet.

Powiedz, studnio wdzięku.

Rozalina. Oto wyszedł na łowy, kto łuk trzyma w ręku.

Dobry strzał!

Boyet. Księżniczka łowi rogi, ale na zbawienie,

Gdy pani wyjdiesz za mąż, rogi spadną w cenie.

Także niezgorszy strzał!

Rozalina. To dobrze, jestem strzelcem.

Boyet.

A któż jest rogaczem?

Rozalina. Osądzimy po rogach, przybliź się, obaczym.

Doprawdy, tęgi strzał.

Marya. Próżno z nią walczyć, Boyet, ona w czoło mierzy.

Boyet. Sama trafiona niżej, ha, strzał, jak należy.

Rozalina. Co się tyczy trafiania, czy mam ci przypomnieć
stary wierszyk, który był już mężem w czasie, kiedy
król Pepin francuski był jeszcze wyrostkiem?

Boyet. A ja ci odpowiem równie starą śpiewką, która
była już kobietą, kiedy Ginewra, królowa Brytanii, cho-
dziła jeszcze w krótkiej sukience.

Rozalina (*Śpiewa*). Nie trafisz, trafisz, trafisz, nie trafisz;
[człeku, ręczę.

Boyet (*Śpiewa*). Jeśli nie trafię, trafię, kim innym się wy-
[ręczę.

(Wychodzą Rozalina i Katarzyna).

Łepak. To ci dopiero strzelce; oboje, jak jedno.

Marya. Rzeczywiście niezgorsi: utrafil w sedno.

Boyet. W sedno, powiadasz pani? Rzadki jest strzał taki.

Trzebaby kołek w sedno zabić dla poznaki.

Marya. Nie dobrze waszmość mierzy, trzeba łuczek zniżyć.

Łepak. Chce pan trafić w czarny punkt, musisz się przy-
[bliżyć.

Boyet. Gdy mię ręka zawodzi, pokieruj ją lepiej.

Łepak. Celny strzał bożek w tarczy na dwoje rozczepi.

Marya. Tłuste są twoje żarty, splami ci się broda.

Łepak. Za mocna jest na łuczki, weźcie się w kręgielki.

Boyet. Boję się stłuc obandę: żegnaj, sówko młoda.

(Wychodzą Boyet i Marya).

Łepak. Ale prostak, to skoczek, a to cham nad chamy.

Toż daliśmy mu łupnia i ja i te damy.

Mój to dowcip rzetelny, mój to dowcip grzeczny,
Taki gładki i prędko, a taki wszeteczny.
Armado — człek niczego: jeno przypatrzcie się,
Jako stąpa przed damą, jak jej wachlarz niesie,
Jak sobie dłoń całuje i jak się zaklina.
I paż nie chłystek, nie brał dowcipu od Żyda,
Garsteczka figlarności, patetyczna gnida.
(*Słychać za sceną wrzawę myśliwych. Łepak wybiega.*)

SCENA II.

Tamże.

(Wchodzą Holofernes, Nataniel i Tuman).

Nataniel. Bardzo chesna igraszka na mą wiarę i przed-
siębrana w świadomości czystego sumienia.

Holofernes. Zwierzyna była, jak waszmość wiesz, *in sanguine*, krwista; dojrzała jak papierówka, która niby klejnot wisiała co dopiero z ucha *caeli*, błękitu, firmamentu, nieba i nagle jak dziczka upadła na oblicze *terrae*, padołu, gruntu, ziemi.

Nataniel. Prawdziwie, mistrzu Holofernesie, jest słodycz
rozmaitości w twoich epitetach, jak na szolarza przystoi, ale zapewniam was, panie, że to był roczny jelonok.

Holofernes. Mości Natanielu, *haud credo*.

Tuman. To nie był *haud credo*; to był śpiczak.

Holofernes. O, co za barbarzyńska definicyja, lub raczej rodzaj insynuacyi, że tak powiem *in via*, w drodze eksplikacyi *facere* czynić, że tak powiem replikacya lub raczej *ostentare* okazać, że tak powiem inklinacyę, a to w sposób nieokrzesany, nieogładzony, nieedukowany, surowy i nieutemperowany, lub raczej niedouczony, lub najraczej nieakceptowany, do suponowania, że moje *haud credo* jest zwierzyną.

Tuman. Powiedziałem, że zwierz nie był żaden *haud credo*, ale śpiczak.

Holofernes. O, dwakroć warzony prostaku, *bis cocte!*
O ty, monstualna ignorancyo, jakże wyglądasz potwornie!

Nataniel. Ależ, mój jegomościu, on nigdy nie karmił się przysmakami, wypiekanyymi w książkach, nigdy nie jadł

papieru i zapewne nigdy nie pił atramentu; jego rozum nie jest wyszkolony; jest to jakgdyby zwierzę, odczuwające tylko grubszymi zmysłami.

Bóg rośliny grubsze stworzył, ażebyśmy wdzięczność [znali,

Ludzie gustu i nauki — żeśmy lepszą część dostali,
Bo jak głupstwo nie przystoi mnie, którym się w szkole [chował,

Tak czyniłbyś wstyd nauce, gdybyś gburów nią szpi- [kował.

Zatem powiem: *omne bene*, w kościelnego ślad pi- [sarza;

Nie jeden się godzi z burzą, kogo mały wiatr przeraża.

Tuman. Powiedźcie no, kiedyście w piśmie tacy cięci:

Kto to miał miesiąc na dniu, kiedy Kain się urodził,

A po dziś dzień nie przeszedł jeszcze niedziel pięć.

Holofernes. *Dictynna*, pocziwy Tumanie, *Dictynna*, pocziwy Tumanie.

Tuman. Co to *Dictynna*?

Nataniel. Tytuł Feby, Luny, księżycy.

Holofernes. Księżyc miał miesiąc, kiedy Adam niedziel [cztery,

A miał tyleż, gdy tamten setnej dobiegł ery.

Aluzya mieści się w zamianie nazwisk.

Tuman. Rzekę, prawda; kolluzya mieści się w zamianie nazwisk.

Holofernes. Boże, pożatuj twoją inteligencyę. Powiedziałem, aluzya mieści się w zamianie nazwisk.

Tuman. Ja też powtarzam: polluzya mieści się w zamianie, bo księżyc znaczy zawsze tyle, co miesiąc; a prócz tego powiedziałem, że to był śpiczak, co go strzeliła księżniczka.

Holofernes. Natanielu, chcesz waszmość usłyszeć momentalny epitaf na śmierć jelonka; żeby nie drażnić ignoranta, zwierzynę, którą zabiła księżniczka, nazwę śpiczakiem.

Nataniel. *Perge*, zacny mistrzu Holofernesie, *perge*, tylko z łaski swojej, oszczędź sprośności.

Holofernes. Poigram grą dźwięków; to dowodzi łatwości komponowania.

Spiknąwszy się szpikulec księżniczki jejmości,

Naszpikował śpiczaka, aż do szpiku kości;

Mówią jelenia; z głupstwa pieleniem się nie leń:
Nie jest przecie śpiczakiem wyleniony jeleni.

Nataniel. Rzadki talent!

Tuman. Jeżeli talentem nazywacie łapę, patrzcie, z jakim łapie was talentem.

Holofernes. To dar, który posiadam, drobny, drobny; wy-
bujają, nadnaturalny umysł, pełen form, figur, kształ-
tów, obiektów, idei, wyobrażeń, wzruszeń, rewolucyi
i poczętych w brzuszku pamięci, noszonych w żywocie
piae matris, a wyłonionych dojrzałością okazyi; dar
wdzięczny tylko, kiedy bystry, za co składam dzięki.

Nataniel. Mistrzu, ja też Panu Bogu za was dziękuję,
a bodaj tak czynili wszyscy moi parafianie, bo ich sy-
nowie uczą się od was wiele, a ich córki korzystają
od was wiele; jesteście zasłużonym członkiem gminy.

Holofernes. *Mehercle*, jeżeli ich synowie są pojętni, nie
braknie im na edukacyi; jeżeli ich córki mają łatwe
objęcie, ja im uczynię zadłość; ale *vir sapit, qui pauca*
loquitur. Istota płci żeńskiej nas pozdrawia.

(*Wchodzi Żakeneta i Łepak*).

Żakeneta. Dobrze rano, księżu wikary.

Holofernes. Księżu wikary, *quasi* wio-kary! Jeżeli chodzi
o barwę włosów, któryż tu z nas jest właściwie
kary?

Łepak. Tenci, panie bakałarzu, co jest najpodobniejszy do
szkapy.

Holofernes. O, jak się nie poszkapił. Świetny błysk dowcipu
w glebie ziemi; dość iskry, jak na kamyk, dość perły,
jak na wieprzaka. To pięknie, to dobrze.

Żakeneta. Księżu wikary, niech no jegomość z łaski swo-
jej ten list mi wyczyta; przyniósł go Łepak od Don
Armaty. Przeczytajcie, jegomość.

Holofernes. *Fauste, precor gelida quando pecus omne sub*
umbra Ruminat — i tam dalej. O dobry, stary Man-
tuańczyku, mógłbym rzec o tobie, co wędrowiec o We-
necyi:

Vinigia, Vinigia.

Chi non ti vede, ci non ti pregia.

Stary Mantuańczyku, stary Mantuańczyku. Kto cię nie
pojmuje, nie kocha cię. *Ut, re, sol, la, mi, fa*. Za
pozwoleniem, jaki sens listu, lub raczej, mówiąc z Ho-
racym: Co? na mą duszę, wiersze?

Nataniel. Tak jest, panie, bardzo uczony.

Holofernes. Odcyfuj choć jeden kuplet, strofę, stancę.
Lege, domine.

Nataniel. Jak przysiędz miłość, gdy kto przez nią ślubom
[kłamie,

Jeden tylko ślub wytrwa: gdy wielbi urodę.

Ja sobie wiarołomca, ciebie nie zawiodę;

Mysł moja dąb, przed tobą jak trzcina się łamie.

Wiedza porzuca księgi, w twoich oczach bada,

Kędy się kryją wszystkie źródła natchnień wieszczę:

Jeśli mądrość cel wiedzy, w tobie ją umieszczę;

Mądry język, co słowa na twój czar posiada.

Nieuk, do kogo twoje nie przemówią lica:

Jakżem szczęśliw, że mnie ten zarzut nie dotyczy.

Głos twój — grom Zeusa; twoje oko błyskawica.

Gdy chcą, mogą być pełne wdzięku i słodyczy.

Niebianko, przebacz krzywdę, nie strofuj mię, luba,

Że językiem śmiertelnym chcę wielbić Cheruba.

Holofernes. Mój wielebny, nie odkrywasz apostrofów
i dlatego chybiasz akcentu; pozwól mi zoczyć tę kan-
conetę. Rhythmus zachowany i to wszystko, co się tyczy
elegancyi, łatwości i złotej poetyckiej kadencyi — *caret*.
Owidyusz Naso to był mąż: wistocie, dlaczego Naso?
Bo umiał wyniuchać wonne kwiecie fantazyi, podrygi
inwencyi. *Imitari* jest nic; pies naśladuje pana, małpa
linóskoczka, uczony koń wołyżera. Ale, panno damo-
zelo, czy to pisane do ciebie?

Żakeneta. A jakże; od *musje* Birona, jednego z lordów
obcej królowej.

Holofernes. Niech rozpatrzę nagłówek. »Do śnieżnobia-
łych rąk najurodziwszej imci panny Rozaliny«. Teraz
niech sobie zdam sprawę z treści podpisu osoby wy-
mienającej, która się zwraca do osoby wymienionej:
»Waszej Miłości na wszystko zdecydowany sługa Bi-
ron«. Mości Natanielu, ów Biron to jeden ze sprzy-
mierzonych króla, a ten oto list jest skierowany do
damy z orszaku cudzoziemskiej królowej, który na
drodze przypadkowości się zabłąkał. Dreptał i śpiesz,
moja stodyczy; doręcz to pismo królewskiej dłoni
króla; może na niem wiele zależeć. Zaniechaj rewe-
rencyi; uwalniam cię od tej powinności. Bądź zdrowa.

Żakeneta. Dobry Łepaku, chodź ze mną. Zostańcie z Bogiem.

Łepak. Chodźmy, dziewucho.

(*Wychodzą Żakeneta i Łepak.*)

Nataniel. Uczyniłeś to waszmość w bojaźni Bożej i nader religijnie, a jak powiada pewien ojciec —

Holofernes. Nie mów mi waść o ojcach; nie lubię malowanych farb. Ale wracając do wierszy, podobały się wam, mości Natanielu?

Nataniel. Doskonale, co się tyczy pióra.

Holofernes. Obiaduję dziś u rodzicieli pewnego mego pupila, gdzie, przed wniesieniem dań, zechceszli waszmość zaszczyścić stół swoją benedykcyą. Obowiązuję się, na mocy przywileju, jaki posiadam u rodziców rzeczonego chłopca czy pupila, przeprowadzić wasze *benvenuto*; tamże dowiodę, że wiersze niniejsze są dziełem nieuctwa, nie posiadają poetyckiego smaku, konceptu ni inwencji. Proszę o wasze towarzystwo.

Nataniel. Za co dziękuję wam, bo towarzystwo, powiada tekst pisma, jest szczęśliwością żywota.

Holofernes. I dowodzi tego niewątpliwie. (*Do Tumana.*) Ciebie równie zapraszam; nie powiadaj mi: nie; *pauca verba*. Chodźmy; szlachta się bawi, użyjmy i my naszego wczasu.

(*Wychodzą.*)

SCENA III.

Inna część parku.

(*Wchodzi Biron z papierem w ręku.*)

Biron. Król ściga zwierzynę, ja ścigam samego siebie; oni smolą gałązki lepem, ja się lepiej smolą, smolą, która smoli, brzydkie słowo! Dobrze zatem: siadaj, smutku, bo tak miał powiedzieć błazen, a ja powtarzam, gdy się zbłąźnił. Dobrześ to wywnioskował, dowcipie! Na Boga! ta miłość jest szalona, jak Ajaks; zabija barany, zabija mnie, którym zbaraniał. Znowu dobry wywód na mą stronę. Nie chcę kochać, jeśli będę, powieście mi; doprawdy, nie chcę. Ale jej oczy! Na to światło, tylko dla tych oczu ją kocham, tak, dla tych dwojga oczu. Bravo! Nic nie robię na świecie,

tylko kłamię i to we własne gardło. Na niebiosa, kocham; to nauczyło mię wiersze składać i melancholizować. Tak dobrze: ma już ode mnie jeden sonet; waryat go napisał, błazen go zaniósł, pani go odebrała; słodki błazen, słodszy waryat, najśłodsza pani. Na glob nie dałbym, gdyby tamci równie wpadli; zbliża się jeden z arkuszem papieru; daj mu, Boże, sposobność do westchnień.

(*Wtazi na drzewo. Król wchodzi z papierem.*)

Król. Ach!

Biron (*na str.*). Postrzelony, jako żywo! Dobij, słodki Kupidynie; wraziłeś mu już boleć pod lewe żeberko. Na mą wiarę, sekrety...

Król. Mniej błogo muska słońce strzałą złotą

Na róży listkach krople rośnej wody,

Niżli twe oczy, co lubą pieszczotą

Z łez osuszają mi nocnych jagody.

I błedziej światło srebrnego księżycy

Błyszczą skrós łona przeźroczystej fali,

Niż twoja piękność przez me łzy prześwieca,

Barwami w każdej łzie mojej się pali.

Tak się w tryumfie obnoszą łzy moje,

W tryumfie wożą cię moje boleści,

A kiedy zajrzysz w mego płaczu zdroje,

Każda ich kropla twą chwałę obwieści.

Lecz nie zakochaj się w sobie, inaczej

Zwierciadło twoje będzie w mej rozpaczy.

Królowo królów, twego czaru snadnie

Język nie skreśli, ani myśl odgadnie.

Jak jej tu donieść o swojej katuszy?

Podrzucę papier. O, me słodkie liście,

Ostojcie głupstwo. — Cicho, ktoś nadchodzi.

(*Kryje się; wchodzi Longaville z kartą papieru.*)

Co to? Longaville? Czyta; baczność, uszy!

Biron (*na str.*). Znów głupiec, jak grzyb po deszczu się [rodzi.

Longaville. Złamałem śluby, och!

Biron (*na str.*). Idzie pod pręgierz, z tablicą na brzuchu.

Król (*na str.*). Też zakochany? o, mej hańby druhu!

Biron (*na str.*). Tak to się pijak z pijanicą spręga?

Longaville. Czylim jedyny, co krzywo przysięga?

Biron (*na str.*). Znam dwóch: niechże cię własny los nie [wzrusza;

Dopełniasz trójcy, jak róg kapelusza,
Lub sterczysz jako trzecia szubienica
Miłości, gdzie jest głupota wisielcem.

Longaville. Że cię ten prosty wiersz nie wzruszy, wielcem
Zaniepokojon, Maryo ma jedyna.

O, podrę wiersze, będę pisał prozą.

Biron (na str.). Drzeć im tak ładny ornament? o zgrozo!
Rymy, to szelki majtek Kupidyna.

Longaville. Powtórzmy: *(Czyta)*

Czyliż twych oczu boska retoryka,
Której repliki szukać nadaremnie,
Krzywoprzysiężcy nie zrobiła ze mnie?
Ach, grzech dla ciebie nie plami grzesznika,
Jam się kobiety wyrzekł: stąd wychodzi,
Żem nie zarzekał się ciebie, niebianki;
Ślub mój za ziemskie nie wykracza szranki,
Zresztą mi karę twa łaska nagrodzi.
Śluby są tchnieniem, a tchnienia są parą.
Ty zaś, co świecisz na mą glebę szarą,
Wchłoń dech mój w sferę twojego ogniska:
Jeślim zawinił, nie będę zganiony,
A choćbym i był, któż jest tak szalony,
By trwał przy ślubie, gdy łamiąc, raj zyska?

Biron (na str.). Te wiersze wyszły z wątrobianej żyły.

Z ludzkiego mięsa boginię zrobiły,
Z gąski niebiankę, istne bałwochwalstwo.
Boże broń! Jedziem po szlaku błotnistym.

(Wchodzi Dumain z kartą papieru).

Longaville. Ale kogoż to pošlę do niej z listem?
Cicho, ktoś idzie.

(Kryje się).

Biron (na str.). Trzeba jeszcze jego!

Tu się doprawdy bawią w chowanego.

Ja tu jak pół-bóg, ukryty w obłoku,
Mam tajemnice szaleńców na oku.

Więc do młyna worów! Co za czasy!

Dumain też, widzę, już uległ przemianie:

To razem cztery na różnie bekasy.

Dumain. Niebiańska Kasiu!

Biron (na str.). Ziemiański bałwanie!

Dumain. Nieba! Pod słońcem gdzież cud taki drugi?

Biron (na str.). Ziemia! Cieleśna jest: padieś jak długci.

Dumain. Bursztyn przy włosach jej z zazdrości kona.

Biron (na str.). Tak, bursztynowa, czarno-żółta wrona.
Dumain. Prościutka, jak cedr.

Biron (na str.). Z łopatką nabrzmiałą.

Dumain. I piękna, jak dzień.

Biron (na str.). Kiedy nie zadniało.

Dumain. Oh, bym pragnienia spełnił!

Longaville (na str.). A ja moje.

Król (na str.). Ja moje.

Biron (na str.). I ja, Amen, każdy swoje.

Dumain. Zapomnieć chciałbym, lecz mi tkwi, jedyna,
Jak febra w żyłach, co się przypomina.

Biron (na str.). Lanceta dajcie tu! Cyrulika!

Trzeba wytoczyć złą krew, co w nim bryka.

Dumain. Jeszcze raz wiersz mój niech sobie przepowiem.

Biron (na str.). Gdzie miłość wiedzie, jeszcze raz się dowiem.

Dumain (czyta). Raz w majowy dzień z zarania,

— Maj, to miesiąc jest kochania —

Ujrzał chłopiec zakochany

Kwiat wietrzykiem poruszany.

Powoli, z lekka, z cicha

Wiatr zaglądał do kielicha,

Listków poił się szelestem.

— Czemu — westchnął — ja nie jestem

Takim z nieba wiatrem śmiałym!

Byłbym lica twe całował,

Nad twem sercem tryumfował.

Ale cóż, gdy ślubowałem,

Że z łodygi się nie ruszę.

Płochy to ślub, na mą duszę,

Niestosowny dla młodzieży,

Co szczknąć lubi pączek świeży.

Nie nazywaj więc, że kłamię,

Gdy dla ciebie śluby złamię:

Dla ciebie, me bóstwo czczone,

Zeus murzynką zwałby żonę,

Zszedł z Olimpijskiego proga

I człowiekiem stał się z boga.

To pošlę jej i prostsze słowa jeszcze,
W których prawdziwą miłość i ból streszczę.

O, gdyby to król, Longaville i Biron

Także kochali: Grzech, radca na grzechy,

Zdjąłby mi z czoła pohańbienia cechy.

Wstyd jest wstydem, gdy go dzieli wielu.

Longaville (*podchodząc*). Miłość cię wrogim czyni, przyjacielu,

Że mąk miłosnych szukasz towarzyszy.

Wyglądasz blade: jabym wstydem buchał,

Gdyby kto winę moją tak podsłuchał.

Król (*podchodząc*). Więc chodź, rumień się, rumień się [sromotnie:

Karcąc Dumaina, zgrzeszyłeś dwukrotnie.

Nie kochasz Maryi? Przyznaj się, Longaville!

Nigdyś to dla niej sonetów nie płatał?

Na rozkochanem łonie nie zaplatał

Ramion, by serce ciszyć, mój chłopaku?

Oto w tej chwili, schowany w tym krzaku,

Widziałem obu, płońałem za obu;

Śluchałem rymów; pasyę, w każdym geście

Zdradzoną, w moim znaczyłem regeście.

Ten mówił: »Zeusie!« tamten krzyczał: »biada!«

Ten chwalił złoty włos, ten ócz dyamenty

I dla Edenu łamał ślub swój święty.

Sam Zeus by skrewił drugi przepowiada.

Jakże was przyjmie Biron, gdy się dowie,

Jakżeście w świętem stawili się słowie?

Jak będzie śmiał się, jak będzie dworował,

Żarciki ostrzył, skakał, tryumfował.

Za wszystkie skarby świata bym nie życzył,

Ażeby na mnie tyle kresek zliczył.

Biron (*podchodząc*). Tutaj wystąpię, karciciel obłudy,

Za to, co powiem, przebaczenia wprzódy

Prosząc, dostojny panie. — Serce prawe!

Tobież przystoi pograżać w niesławę

Biedne robactwo, kłątów wyczerpnąć zasób,

Coś zakochany jest sam, i w dwójnasób?

Nie wóz — to oko wasze? w łez przyzmacie

Książniczki pewnej — to nie oglądacie?

Przysięgę złamać? Nie! Hańby zbyt wiele!

A pisać wiersze? Tfu! czyśmy minstrele?

Nie rumienicież się wy, wszystko troje,

Gdy tu przed wami jako sędzia stoję?

Jeden drugiemu ździebło znalazł w oku,

A ja u wszystkich was duży tram widzę.

O, sceno głupstwa, w trojga śmieszków lidze,

Sceno łez, westchnień i rozpatrzy tkliwej!

O, jak wytrwały byłem i cierpliwy,

Gdy się król kazał oglądać w komarze,
Herkules frygę podcinał biczykiem,
Mądry Salomon brząkał na gitarze,
A Nestor w pliszkę bawił się z chłopczykiem.
A z tych igraszek śmiał Tymon szyderczy.
Gdzie twoja boleść? Odpowiedz, Dumainie!
Ty Longavillu, gdzie twoje cierpienie?
I twój, o królu, żal? W sercu zawarty?
Ślazu tu, ślazu!

Król. Gorzkie twoje żarty.

Tak przed szydercą jesteśmy zdradzeni.

Biron. Nie wy, jam zdradzon, który się rumieni.

Jam był uczciwy; mnie kłamstwo nie plami.

Zdradzon, zmuszony żyć z lunatykami,

Widział kto kiedy, żebym rymy klecił,

Wzdychał do kwoczki, albo maścią świecił?

Czy mię kto widział zajętym kobietką

I zachwyconym ręką, biustem, łydką?

Śłyszał, bym chwalił twarz, oczy, brwi, rzęsy?

Szyję, chód, biodra, nogę?...

Król. Hoła! hoła!

Złodziej czy czesny człek tak zmyka z pola?

Biron. Ja od miłości zmykam; bądźcie zdrowi!

(*Wchodzą Żakeneta i Łepak*).

Żakeneta. Boże, strzeż króla!

Król. Cóż panienka powie?

Łepak. Cosik zradnego.

Król. Co tu robi zdrada?

Łepak. Ha, nic nie robi.

Król. Jeśli nic nie gada,

Jak nic nie robi, odejdz stąd, kochanie.

Łepak. Niech wasza wielkość weźmie to pisanie:

Wikary mówi, że coś zdradą pachnie.

Król. Biron, przeczytaj. Od kogo to masz?

Żakeneta. Od Łepaka.

Król. Od kogo to masz?

Łepak. Od Dun Adramadia, dun Adramadia.

Król (*do Birona*). Co ci to? Co to? Patrzcie, jak się zachnie.

Patrzcie, rozdziera list.

Biron. Nic to, mój królu;

Nic to, drobnostka, głupstwo; nie zważajmy.

Longaville. Zmieszał się mocno; coś w tem jest: czytajmy!

(*Zbiera kawałki listu*).

Dumain. Pismo Birona i podpis też jego.
Biron (*do Łepaka*). A sukni synu, cóżeś najlepszego
 Zrobił!... Zgrzeszyłem; wyznaję, wyznaję!
Król. Cóż?
Biron. Trzej waryaci z czwartego szaleńca
 Śmieją się; cztery kwiatuszki do wieńca:
 Ci dwaj, ty, królu, i ja za wspólnika,
 Amora rzezimieszki, godni stryka.
 Odpraw galeryę, rzecz całą wyjaśnię.
Dumain. Teraz jesteście do pary.
Biron. A właśnie.
 Czy te turkawki pójdą?
Król. Idź, kochanie!
Łepak. Odpuść uczciwych, zdrajca niech zostanie.
 (*Wychodzą Łepak i Żakeneta*).
Biron. Uściskajmy się, drodzy towarzysze:
 Ile krew z ciałem trwać zdolne, wy trwali;
 Spada i rośnie morze, słońce pali,
 Miłość na starców prawa się nie pisze.
 Nie zwalczym losu, który włada nami,
 Przeto być musim krzywoprzysięzcami.
Król. Więc ten list twoja miłosna danina?
Biron. Któż widząc, jak jest piękna Rozalina,
 Nie spokornieje, niby Indyanin,
 Co, kiedy słońce przez bramy wchodowe
 Błyśnie, z niebieskich wyglądając tkanin,
 Zaraz pochyla niewolniczą głowę
 I unizając się wzrokiem olśnionym,
 Poddańczo ziemski kurz całuje łonem,
 I czyje oko, choćby orlo śmiałe,
 Zdolne jest spojrzeć na jej czoło białe,
 By nie olśnęło w jego majestacie?
Król. Jakież cię nowy szat opętał, bracie?...
 To moja pani i moja bogdanka
 Wdzięcznym księżycem jest, światelkiem płonnem
 Twoja, w jej świetle sługa i poddanka.
Biron. Chyba nie patrzę, nie jestem Bironem,
 Toć, gdyby ona nie jaśniała wzrokiem,
 Dzieńby się jasny czarnym wydał mrokiem.
 Natura wszystkiej swej kraszy wspaniałość
 Na jej postaci złożyła dziewiczej,
 Gdzie liczne wdzięki w jedną spłotła całość,
 I gdzie nic nie brak, czego żądza życzy.

Dajcie mi mowy barwy, rysy, blaski:
 Nie, próżno słowa malowane prężyć;
 Kramarski towar chwał marnymi wrzaski,
 Wyższej nad chwałbę głos mój nie dosięże.
 Zgrzybiały starzec, pustelnik stuletni
 Zrzuca pięćdziesiąt lat od jej spojrzenia,
 I starość jego bierze pozór kwietni,
 Kij zgrzybiałości na kołyskę zmienia.
 Ona świat cały rozjaśnia, jak zorze.
Król. Wszak hebanowa ona jest, nie biała.
Biron. Taki jest heban? O, drzewo ty boże,
 Jakżeby każda z hebanu być chciała!
 Mówcie zakłęcie, podajcie mi rotę,
 Abym tu przysiągł, że piękność jest marna,
 Jeśli nie patrzy przez jej ócz ozłotę,
 Że nie jest piękna, jeśli nie jest czarna.
Król. O, paradoksie! Czarność piekła cecha,
 Czarność strach nocy i barwa więzienia.
 Jedyne piękno dzień, co się uśmiecha.
Biron. Czart, kusząc, nieraz w anioła się zmienia.
 Jeśli ma piękna brew swą stroi w kiry,
 To iż jej smutno, że kochanków nęci
 Włos przyprawiany, rumieniec nieszczerzy.
 Czarny się kolor od niej pięknym świeci.
 Ona dziś modzie dyktuje prawdą:
 Od rumianości smak wykwinłny stroni,
 A barwa róży, spostrzegłszy, jak zbrzydła,
 Czernością pragnie dorównać jej skroni.
Dumain. Dla niej się kopciem czernią kominiarze.
Longaville. Zwą się piękniemi węglarzychy dzieci.
Król. I Etyopczyk podziwiać się każe.
Dumain. I świec nie trzeba, bo noc sobie świeci.
Biron. Wasze kochanki na deszcz wyjść się boją,
 By im w kolorach nie poczynił szkody.
Król. Zatoby dobrze podział na twoją:
 Znam bielsze, które nie widują wody.
Biron. Do dnia sądnego ja będę jej broń.
Król. W tym dniu cię bardziej, niż sam czart, przestraszy
Dumain. Widzianoż, by kto tak za szmatką gonił.
Longaville. Twej lubej lica? Skóra z mych kamaszy.
Biron. Gdyby ulica bruk z twych oczu miała,
 Byłyby dla jej stopek za rubaszne,

Ale oczom — tfu! — gdyby je deptała,

Otwarłoby się widowisko straszne.

Król. Jakżeż nie wszyscy miłość nosim w łonie?

Biron. Owszem, każdy z nas swą przysięgę zrywa.

Król. Więc sza i dowiedz nam, drogi Bironie,

Że ślub nasz cały, a miłość godziwa.

Dumain. Tak, szukaj maści na naszą niedolę.

Longaville. Przytocz powagi i wykrętem gładkim,

Kruczkiem sofisty dyabła wywiedz w pole.

Dumain. Masz maść na kłamstwo?

Biron. Ba, i podostatkiem.

A zatem bacność, miłości wojacy:

— Któżże to ślubu naszego zasady?

Pościć, nie widzieć kobiety, schnąć w pracy:

— Przeciw rządowi młodości trzy zdrady.

Możecież pościć? Żołądek za młody;

Głód chorób różnych ukrywa zarody.

Kto w siebie wmawiał znów, że jest szkolarzem,

Na własną księgę zełgał kłamstwem wrażem.

Możnaż wciąż dumać, wżyć się w papier, ślęczyć?

Kto z nas, kobiecej nie zgłębiając twarzy,

Kto, ja, ty, czy on możemy zaręczyć

I upewnić się, że wiedza coś waży?

Z oczu dziewczęcych ta pewność wynika;

To akademie, to wiedzy ogniska,

Skąd prometejski szczery ogień tryska.

Ciągłe ślęczenie więzi i zamyka

W ciele żywotne władze i zapały,

Jak ciężka praca i ruch długotrwały

Stępują wigor w mięśniach podróżnika.

Przysiągłszy w niewiast nie popatrzeć lice,

Z własnych przeznaczeń wyzuwasz żrenice,

Wiedzy się rzekasz, ślubów twych przedmiotem.

Gdzie autor, coby wznioł równie wysoko

Pojęcie piękna, jak kobiece oko?

Badanie, to cześć niezbędna istnienia,

Żyjąc, musimy badać bez wytchnienia.

Więc gdy w dziewczęce patrzymy oczęta,

Czyliż treść bytu nie jest osiągnięta?

Wszak my przysięgli uczyć się, panowie,

Więc wyprzysięgli książek w temże słowie,

Bo kto z was odkrył, moi przyjaciele,

Z ołowim trudem rytm tak doskonały,

Jak go wam oczy błyszczące wydały,

Ci poetyckich natchnień karmiciele?

Inne nauki, obarczając głowę,

Wydadzą jeno owoce jałowe,

Biernych pedantów, z których korzyść żadna;

Miłość w żrenicach kobiecych badana

Nie spocznie w mózgu martwa i bezwładna,

Lecz elementów siłą podsycana,

Jak myśl we wszystkie władze wzrasta bujnie,

I każdą siłę posila podwójnie,

Ponad zwyczajne zmysłów przeznaczenie.

Spotęgowane żrenicy spojrzeń

W kochanka oku woli wzrok oślepi;

Śluch jego lada szmer wysłyszysz lepiej,

Niżli złodzieja ucho podejrzliwe.

Czucie subtelne ma i tak wrażliwe

Jak delikatne macadła chrząszczyka;

A czyż wykwintny smak jego języka

Smakosza Bakcha nie przeszedł z kretesem?

Czyż co do wężu nie jest Herkulesem,

Który ku jabłkom Hesperyd się spina?

Domyślny jak Slinks, muzykalny, czuły

Jak włosostrunna lutnia Apollina.

Gdy miłość mówi, jakby bogów głosy

Harmonię do snu tulili niebiosy,

Zanim poeta pieśni zacznie lament,

Miłosnym bólem rozrabia atrament,

Lecz wtedy wzrusza nawet dzikich ludzi,

W tyranach litość dla ludzkości budzi.

Z oczu dziewczęcych mój wniosek wynika;

To akademie, to wiedzy ogniska,

Skąd prometejski szczery ogień tryska.

One to kształcą i żywioł świat cały,

Bez nich nie będzie sztukmistrz doskonały.

Wyprzysięgając się, byliście ciemni,

A gdy zechcecie w ślubie dotrzeć — niemniej.

W imię rozumu, co jest ludziom luby;

W imię miłości, której człek jest luby;

W imię męczyzny, co kobietę tworzy;

W imię kobiety, co w nas męskość budzi —

Zerwijmy owe nienawistne śluby

I na prawdziwych znowu wyjdźmy ludzi,

Bo, trwając w ślubach, ludźmi być przestaniem.

Złamać, natury będzie szanowaniem,
Wszak litość także zna swe powinności,
A któż oddzieli litość od miłości?
Król. Święty Kupido! Do boju, rycerze!
Naprzód, chorągwie! Hejże na nie z góry,
Każdy na swoją! Ale niech się strzeże,
By nie był słońcem porażon od której.
Longaville. Powiedzcie jednak, czy na dobrą sprawę,
Czy żartem do nich idziemy w zaloty?
Król. Idziem je zdobyć; ot tam ich namioty;
W tym celu jakąś wymyślmy zabawę.
Biron. Naprzód je z parku tutaj przeprowadźmy;
Każdy pod rękę wzięwszy swoją damę,
W tryumfie przejdziem pałacową bramę;
Nową zabawę znajdziemy z wieczora,
Ile pozwoli na to krótka pora;
Tańce, biesiady, maskarady brzmiące,
To są miłości uwieńczeni gońce.
Król. Więc naprzód: każdej minuty oszczędźmy
I każdy moment rozrywkami święćmy.
Biron. Idźmy: na oście nie wrośnię pszenica,
A sprawiedliwość wszystko równoważy:
Krzywoprzysiężcę ukarze wietrznica,
Za miedź — mosiądzu kupisz u kramarzy.

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Inna część parku.

(*Wchodzą Holofernes, Nataniel i Tuman.*)

Holofernes. *Satis, quod sufficit.*

Nataniel. Mistrzu, chwałę za was Pana Boga; wasze rozumowanie przy stole było tęgie i rozsądne; wesole bez sprośności, dowcipne bez przesady, śmiałe bez zuchwałstwa, uczone bez uporu i oryginalne bez kacerstwa. Rozmawiałem *quondam* dnia z kompanem króla, który się tytułuje, nazywa lub wabi Don Adriano de Armado.

Holofernes. *Novi hominem tanquam te;* charakter jego jest wyniosły, mowa zarozumiała, język siekący, oko

ambitne, chód majestatyczny, a całe wzięcie próżne, śmieszne i chełpliwe. Jest on za wymuskany, wymie-dzony, wyczupirzony, wyszukany, że tak powiem, za zamorski, że się tak wyrażę.

Nataniel. Niezwykły i dobrany epitet.

(*Wyjmuje z kieszeni tabliczkę.*)

Holofernes. Snuje nić swojej wielomowności subtelniej, niż dozwala przedziwo tematu. Nienawidzę podobnie fanatycznych fantastów, podobnie nietowarzyskich, przeholowanych kompanów, oprawców ortografii, co powiadają obfity zamiast opłwity — bę zamiast pług, jrzały zamiast źrzały; srebro zamiast śrzebło. To jest: obmierzłe, co on by powiedział: obmier-złe; to insynuuje mi *insaniam. Non intelligis, domine?* Czyni mię zaberrowanym na umyśle, furyonośnym.

Nataniel. *Laus Deo, bone intelligo.*

Holofernes. *Bone?... bone,* zamiast *bene?* Z despektem Pryscyana, ale ujdzie.

(*Wchodzą Armado, Ćma i Łepak.*)

Nataniel. *Videsne, quis venit?*

Holofernes. *Video et gaudeo.*

Armado. Młodzieńcu!

Holofernes. *Quare* młodzieńcu! nie młodzieńcze?

Armado. Mężowie pokoju, dobre spotkanie.

Holofernes. Bardzo rycerski mężu, pozdrowienie!

Ćma (*do Łepaka na stronie*). Byli na wielkiej uczcie języków i pokradli okruchy.

Łepak. Karmią się już od dawna obierzynami słów. Dziwi mię tylko, że cię twój pan nie wziął za wyraz i nie zjadł, bo jesteś o głowę krótszy od *honorificabilitudinitatibus*; łatwiej cię połknąć, niż migdałek.

Ćma. Spokój; dzwony grają.

Armado. Monsieur, (*do Holofernesa*) wszak jesteś pan biegly w piśmie?

Ćma. A jakże; uczy dzieci abecadła, to jest obiecadła.

Holofernes. *Pueritia,* kto tu mówi o obiedzie z sadłem?
Co za sadło?

Ćma. Baranie!

Holofernes. *Quis, quis,* ty spółgłosko!

Ćma. *I* z pierwszą samogłoską, jeżeli sam sobie odpowiesz, a *T* z ostatnią, jeżeli ja.

Holofernes. Czekaj, sprawdźmy: *J*, a, ja —

Ćma. Baran! Teraz na mnie kolej. Kto baran? Ta, te, ti, to, tu, ty!

Armado. Na słone fale Medyterranejskiego morza, lube cięcie, bystry wytrysk dowcipu; szach, mach, ciach i już go zabił; rozradowałeś mi ducha; autentyczny koncept.

Ćma. Koncept dziecka staruszkowi wrogi.

Holofernes. Gdzie figura? gdzie figura?

Ćma. W rogach.

Holofernes. Dysputujesz, jak niemowlę; idź, podcinaj frygę.

Ćma. Pożycz mi na frygę swego rogu, a podetnę tę infamię *circum circa*: fryga z rogala rogu!

Łepak. O choćbym miał tylko goły szeląg majątku, dałbym ci go na piernik; ale masz tu remunerację, którą dostałem od twego pana, ty pół-szelązkowa kabzo dowcipu, ty gołębie jajo mądrości. O, gdyby się było niebu podobało zrobić cię moim bękartem, jakżebyś rozradował swego rodzica! Idź, pojedleś, jak to mówią, wszystkie rozumy! Znasz je a drungiem.

Holofernes. Ha! wietrzę fałszowaną łacinę: a drungiem zamiast *ad cinquem*.

Armado. Sztukmistrz, *praeambula*; separujmy się od barbarzyńców. Czy nie edukujesz młodzieży w uczelni na czole góry?

Holofernes. Raczej *montis*, wzgórze.

Armado. Według lubego upodobania, niech będzie wzgórze.

Holofernes. Tak jest, okrom wątpliwości.

Armado. Panie, jest gorącym życzeniem króla i upodobaniem kongratulować księżniczce w jej pawilonie, na tyłach dzisiejszego dnia, które grube pospólstwo zowie popołudniem.

Holofernes. Tyły dnia, zacny panie, wyraz dobrany, dopasowany, wymierny z pojęciem dnia; wyraz doskonale uszczkniony, mile brzmiący i właściwy; to ja mówię, to ja mówię.

Armado. Mości panie, król jest szlachcicem i spoufalony ze mną, zapewniam was, bardzo zaprzyjaźniony — jakie to bliższe nasze stosunki, zamilczmy o tem. Proszę cię, przypomnij sobie etykietę dworską, (*Holofernes zdejmuję kapelusze*) proszę cię, ocień głowę; a między innymi nader ważnymi i poważnymi planami — równie doniosłej wagi — ale zamilczmy o tem; bo musisz ci się zwierzyć, że niekiedy (na mą duszę) podoba się

Jego Królewskiej Mości oprzeć na mojem ubogiem ramieniu i królewskimi palcami, ot tak, igrać z moją ekskrescencją, *vulgo* wąsem; ale serdecznie, zamilczmy o tem. Dalibóg, nie opowiadam ci bajek; podoba się jego majestatowi pewnymi szczególnymi honorami odszczególnić Armada, wojownika, podróżnika, który zwiedził świat; ale zamilczmy o tem. Treścią tego wszystkiego — ale, serdecznie, zaklinam cię o sekret — jest, że król życzy, abym księżniczkę, lubą lalczkę, uradował jaką zabawną ostentacją, widowiskiem, spektaklem, maskaradą lub fajerwerkami. Uważając tedy, że nasz paroch i ty, najśłodszy panie, jesteście najzdolniejsi do podobnych erupcji i, że tak powiem, wybuchów wesołości, informuję was o tej okazji i proszę o posiłki.

Holofernes. Niech wasza miłość sprezentuje przed nią dziewięciu bohaterów. Mości Natanielu, na punkcie krotochwili, *theatrum*, mającego się przedstawić na tyłach dnia, a przywiedzonego do skutku naszą asystencją, z rozkazu Jego Mości króla i tego tu męznego, jaśnie oświeconego i edukowanego rycerza, uważam za najwłaściwszą reprezentację dziewięciu bohaterów.

Nataniel. Gdzie znajdziemy ludzi godnych takiej roli?

Holofernes. Jozue — wy; ja, albo ten wykwiniony szlachcic — Judasz Machabeusz; ten pacholek, jako że człek dużych i grubych członków, ujdzie za Pompejusza Wielkiego; Herkulesem będzie paż.

Armado. Z przeproszeniem, mospanie; zaszła pomyłka; paż kwantytatywnie jest za mały nawet na wielki pałek tego bohatera; nie grubszy jest od końca jego maczugi.

Holofernes. Mogęż prosić o posłuchanie? Będzie przedstawiał Herkulesa w małości; jego wchód i wychód ograniczy się do uduszenia węża, do której to sceny ja napiszę apologię.

Ćma. Doskonały plan! Zatem jeżeli który z widzów syknie, zawołacie: Brawo, Herkulesie, druzgocesz węża! To jest sposób odwracania obrazu, choć nie każdy jest do tego zdalny.

Armado. A co do reszty bohaterów?

Holofernes. Ja własną osobą odegram trzech.

Ćma. O, trzykroć bohaterski rycerzu!

Armado. Czy mogę wam myśl moją zakomunikować?

Holofernes. Czekamy.

Armado. Jeżeli to chybi, obdarzymy je pantomina. Pano-
wie, proszę za mną.

Holofernes. *Via*, pocziwcze Tumanie! Przez cały czas
nie przemówiłeś słowa.

Tuman. I nie pojąłem ani jednego.

Holofernes. *Allons*, potrafiimy cię użyć.

Tuman. Przydam się może do tańca, albo czegoś takiego;
albo będę grał na bębnie bohaterom do trepaka.

Holofernes. Wielki Tumanie! pocziwy Tumanie! Do dzieła.
Ruszajmy!

(*Wychodzą*).

SCENA II.

Inna część parku. Przed namiotem księżniczki.

(*Wchodzą Księżniczka, Katarzyna, Rozalina i Marya*).

Księżniczka. Patrzcie: nie wyjdziem my stąd, jak nędzarki,
Jeśli tak będą garnąć się podarki;
Naokół każdej wał z nich usypany,
Spójrzycie, co mi śle król zakochany.

Rozalina. Czy oprócz darów nie przysłał nic więcej?

Księżniczka. I owszem: wierszy w bród; tyle tysięcy,
Ile ich arkusz papieru pomieści

Spisany prosto, w przek, na marginesie.

Pod wszystkim pieczęć z cechą Kupidyna.

Rozalina. Aby go zmiękczyć, zrobiono go z wosku:

Potrzeba było, bo twardy chłopczyna.

Katarzyna. Przytem naturę ma złą i okrutną.

Rozalina. Wiem, ty go zawsze nienawidzisz skrycie;

On twojej biednej siostrze zabrał życie.

Katarzyna. Melancholijną zrobił, wiecznie smutną,

Z tego umarła... Gdyby była letka,

Jak wy, wesoła, trzpiotka i kokietka,

Możeby kiedyś wnuków doczekała,

Jak wam doczekać nadzieja się śmieje:

Mówią, że letka miłość nie starzeje.

Rozalina. Co znaczy: letka, moja myszko mała?

Katarzyna. Nieoświecona u płochej brunetki.

Rozalina. Więcej tu światła: dowcip był za letki.

Katarzyna. Zagasisz światło, czyszcząc knot u świecy;

Reszty wyvodu dokończysz w ciemnicy.

Rozalina. Do twoich sprawek nie potrzebna świeca.

Katarzyna. Tyś i bez światła jest lekka wietrznica.

Rozalina. Mniej ważę, niż ty, moja obciążona.

Katarzyna. Mało mię ważysz, boś niedowarzona.

Rozalina. A tyś zwarzona, jak skwaśniałe mleko.

Księżniczka. Dobry żart — nie iść jednak za daleko.

Spójrzmyż. Co tobie przysyłają w darze,

Mów, Rozalino? Kto i co?

Rozalina. Pokażę.

Gdybym twarz miała tej, co wy, urody,

Bogatszy byłby dar; oto dowody:

Biron śle mi wiersz, jak król, pani, tobie.

Liczba stóp zgodna; gdyby była zgodna

Treść, to podobno byłabym dorodna,

Najdorodniejsza kobieta na globie.

Wdzięków naliczył dwadzieścia tysięcy;

Istny mój portret: ni mniej i nie więcej.

Księżniczka. Podobny?

Rozalina. W słowach, niestety; nie w cenie.

Księżniczka. Piękna, jak inkaust! — Pyszne zakończenie!

Katarzyna. A pełna wdzięku, jak z brzuszkiem B duże.

Rozalina. Aj, co za pendzel! Zbyt ci się zadłuży,

Czerwona tytło, złocona litero:

Szkoda mi, że masz na twarzycze zero

Przy zerze.

Katarzyna. Niech cię ospeczka! Ty ziółko!

Księżniczka. Ty od Dumaina co masz? Jakie dary?

Katarzyna. Tę rękawiczkę.

Księżniczka. Jakże to? Bez pary?

Katarzyna. I owszem, w parze, a nadto bez liku

Wierszy wezbranych w czułym zalotniku;

Przekład dosłowny potwornej obłudy,

Ekstrakt głupoty, komplikacya nudy.

Marya. Sznur pereł i list Longaville mi daje,

List jest za długi przynajmniej o staje.

Księżniczka. Pojmuję, iżbyś wolała, kochanie,

By sznur był dłuższy, a krótsze pisanie.

Marya. Chciałabym, żeby tych złożonych dłoni

Już nie mógł rozjąć.

Księżniczka. Jakie niegodziwe,

Szyscy z uczu, co nam są życziwe.

Rozalina. Godziwszy głupiec, co za śmieszka goni.

Gdybyśmy mogły zostać tu na dworze,
 Wiłby się Biron w mych ręku nieboże!
 Niechby na tydzień wstąpił do mej służby,
 Jużby on skomlał, czołgał się i jużby
 Płakał i błagał, krok w krok za mną łąził,
 Szukał rozmowy, drżał, czy nie obraził,
 Zużywał dowcip na rymy dziurawe,
 Stosował każdy giest do mych rozkazów,
 Nawet był dumny, że zeń mam zabawę...
 Takbym nad jego zawładła istnieniem,
 Że byłby błaznem, a ja przeznaczeniem.

Księżniczka. Nikt wzięty w sieci tak się nie umota,

Jak mądry, gdy go oplączę głupota;
 Gdy się szaleństwo z mądrości wyleże,
 Ma w niej obrońcę, a w wiedzy oręże;
 W uczonym głupcu dowcip głupstwo stroi.

Rozalina. I nigdy młoda krew tyle nie broi,

Co w wyuzdanym i szalonym starcu,
 Gdy mu się zachce miłosnego harcu.

Marya. Szaleństwo głupca trudniej się wysłodzi

Niż szal mądrego, gdy mu dowcip bredzi
 I całą siłę argumentu skupia,
 Ażeby dowieść głowie, że jest głupia.

(Wchodzi Boyet).

Księżniczka. Nadchodzi Boyet; wesoła ma minę.

Boyet. Gdzie jest księżniczka? Ha, ha, z śmiechu ginę!

Księżniczka. Cóż tam, Boyecie?

Boyet. Baczność, baczność, księżno!

A wy do broni, do broni, dziewczęta!
 Wróg tu prowadzi całą armię mężną,
 Już ponabijał w działo argumenta,
 Miłość się zbliża chyłkiem maskaradzie,
 Chcą was zniemacka napaść chytre wrogi;
 Zbrojcie się, albo, gdy wam strach, to w nogi!

Księżniczka. Święty Dyonizy, bij na Kupidyna.

Cóż to za wojsko i jaka przyczyna
 Takiego najścia?

Boyet. Tam, w cieniu dębiny,
 Chciałem przedzemać jakie pół godziny;
 Wtem ktoś przerywa upatrzoną ciszę
 I ku mojemu zbliża się schronieniu.
 Patrzę, kto taki? Król i towarzysze.

Prędko w zarośla się chowam i skrycie

Słucham projektu, który usłyszycie:

Za małą chwilę przyjdą tu przebrani,

Maleńki pazik jest postem kompanii...

Ci go dokładnie wyuczyl, co ma

Mówić, jak stanąć, jak ruszać rękoma.

Tu tak, a tu tak; uczą słów i tonu,

A nieustannie jednego się bali,

Że Wasz Majestat zbije go z rezonu.

Bo, mówi doń król, zobaczysz anioła,

Ale pał swoje i nie bój się zgoła.

Anioł — mówi paż — nie kąsa człowieka.

Gdyby dyablica, obszedłbym zdaleka.

Na to wszyscy w śmiech, po ramieniu klepią

Małego mówcę i jeszcze go krzepią.

Więc jeden w łokieć się skrobie i głosi,

Że to najlepsze w świecie orędzie,

A drugi palec do góry podnosi;

Wygramy — krzyczy, niech tam, co chce, będzie.

Trzeci, skręciwszy kozła, woła: brawo!

Po nim się czwarty obrócił na pięcie

I padł, jak długi, zrównał nos z murawą

I zaraz wszyscy tarzać się zawzięcie

I śmiać się głośno i grzebać się w piasku,

Aż z nadużycia tej szumnej uciechy

W łzach im poważnych utonęły śmiechy.

Księżniczka. Jakto więc, jakto? Z wizytą?

Boyet. Tak, pani.

Z wizytą, mówię, idą tu przebrani

Za Moskwiczinów, czy też za pohafców,

Spróbować rozmów, zalotów i tańców.

Każdy oświadczy miłość damie swojej

Pewny, że w jego barwę się ustroi.

Księżniczka. Dobrze, gagatki, weźmiem was na próbę!

Niech każda maskę włoży, moje lube;

A niechaj żaden nie dozna tej łaski,

By twarz swej damy obaczył z pod maski.

Ten oto klejnot weźmiesz, Rozalino;

Niech król za tobą, jak za swą zwierzyną,

Pogoni; ja zaś wstążkę z tobą zmienię,

Biron niechybnie popadnie w omdlenie;

Reszta się wstążek podobnie rozdzieli,

Skrzyżujem szyki naszych wielbicielei.

Rozalina. Niech każda w miejscu widocznym przyszpili.
Katarzyna. Ale cóż za cel takiej krotochwili?
Księżniczka. Planem jest moim ich plan pokrzyżować;
 Oni to robią na żart i na kpiny:
 Zakpić z tych, co kpią, oto cel jedyny.
 Każdy z nich wyzna wielki i kryjomy
 Ból swej kochance i pani rzekomej.
 Zaczem, gdy pierwsza okazała się zdarzy,
 Będziemy mogły sztydzić i dworować
 I dokuczać im przy odkrytej twarzy.
Rozalina. A gdy do tańca poproszą, czy wolno?
Księżniczka. Żadna niech nogą ruszyć się nie waży;
 Kiedy zaś swoją oracyą mozolną
 Szturm do serc waszych przypuszczą fortecy,
 Bez dziękowania pokazać im plecy.
Boyet. Taka pogarda język mówcy skręci,
 Każdemu rola wypadnie z pamięci.
Księżniczka. Taki jest plan mój, a na skutek liczę;
 Pół komplimentu ugrzęźnie im w grdyce.
 Najmilsza w świecie rzecz żart żartem skłócić
 I cudzy koncept na własny obrócić.
 Właśnie tak będzie: kpiny przypniem szydem,
 A żartownisie odejdą ze wstydem.
Boyet. Grzmią trąby; idą już; przywdziejcie maski.
*(Wchodzą Król, Biron, Longaville i Dumain w moskiew-
 skich strojach i zamaskowani; Ćma, muzykanci i orszak).*
Ćma. »Chwała najdroższym wdziękom wszego czasu.«
Boyet. Wdzięków nie droższych, niż maski z atlasu.
Ćma. »Co kiedykolwiek obracały blaski
(Damy odwracają się).
 Swych... plec śmiertelnym.«
Biron. Swych ócz, swych ócz, trutniu.
Ćma. »Swych ócz śmiertelnym. Kres...«
Boyet. Kres niezawodny.
Ćma. »Szczęścia, z tej czerpać krynicy niegodnej...«
Biron. Pogodnej, łotrze.
Ćma. »Pogodnej; słoneczne
 Oczy niebieskie, niebieskie, przedziwne...«
Boyet. Pokpięś sprawę; są tutaj i piwne.
Ćma. Nie patrz; to mię zbija z pantaląku.
Boyet. I to nazywasz kunsztem? Ruszaj, smyku!
Rozalina. Spytaj, czego chcą ci ludzie, Boyecie;

Niech jeden, który mową naszą włada,
 Wyjdzie i niech się rozsądnie wygada.
Boyet. Powiedzcie, czego chcecie od księżniczki?
Biron. Nic, prócz pokoju i łaski dostępu.
Rozalina. Czego chcą?
Boyet. Nic, prócz pokoju i łaski dostępu.
Rozalina. Toście dostali, zatem idźcie sobie.
Boyet. Toście dostali, zatem idźcie sobie.
Król. Powiedz: niejedną zmierzylśmy miłą,
 Ażeby z nimi potańcować chwilę.
Boyet. Mówisz, niejedną przemierzyl miłą,
 Ażeby z wami potańcować chwilę.
Rozalina. Jeśli tak pilnie mile przemierzali,
 A mil tak wiele, niechże nam powiedzą,
 Wiele na jedną miłą idzie cali?
Boyet. Jeśliście pilnie mile odmierzali,
 A mil tak wiele, pouczcie księżniczkę,
 Wiele na jedną miłą idzie cali?
Biron. Mierzylśmy je kroki zmęczonymi,
 Tak powiedz.
Boyet. Sama słyszy.
Rozalina. Zatem ile
 Kroków zmęczonych wychodzi na miłą?
Biron. Trud ponoszony dla was się nie liczy;
 Taki w nas leży zasób dobrych chęci,
 Że nim szafujem dla was bez pamięci.
 Oblicza cudne raczcie nam odśpłnić:
 Jak dzicy, pragniem słońcu się pokłonić.
Rozalina. Twarz moja — księżyc i to zachmurzony.
Król. O, szczęśny obłok i błogosławiony!
 Jasny księżycu i wy, gwiazdy lśniące,
 Oświećcie nasze oczy szlochające!
Rozalina. Zjawisko chcesz mieć zbyt znane w przyrodzie,
 Prosząc księżycu, by się przejrzał w wodzie.
Król. Więc pójdźcie tańczyć przy naszej muzyce:
 Patrz, że wychodzi prośba za granicę
 Niemożebności.
Rozalina. Kaźcież, by zagrała.
 Lub nie... Patrz, jestem jak księżyc nietrwała.
Król. Nie chcesz? Kaprysów masz pani bez liku.
Rozalina. Przódy był w pełni, teraz na młodziku.
Król. Że na młodziku, masz mię za starucha?
 Słyszysz? kapela gra; użyż jej ucha.

Rozalina. Już użyczyłam.

Król. Nogi nie są świadkiem.

Rozalina. Obcyście tutaj, w podróży, wypadkiem,

Nie będziem tańczyć — weźcie nas za ręce...

Król. Dlaczegoż rękę dajesz?

Rozalina. Po przyjaźni.

Bądź zdrów, mój panie; patrz, twój takt się błażni.

Król. Okaż takt lepszy i nie bądź uparta.

Rozalina. Gra wasza lepszej nagrody nie warta.

Król. Oznaczcie cenę: czem was kupić można?

Rozalina. Waszem odejściem.

Król. Odpowiedź bezbożna.

Rozalina. Więc nas nie targuj; masiu, bywaj zdrowa!

Masce dwa »żegnaj«, a tobie połowa.

Król. To pogawędźmy, gdy cię taniec złości.

Rozalina. Na osobności?

Król. Tak, na osobności.

(Rozmawiają na stronie).

Biron. O białoreka! Słodkie słówko twoje?

Ozwij się.

Księżniczka. Mleko, miód, cukier — to troje.

Biron. Nawet podwójnie: karmel, sól, likwory.

Cóż powiesz? Moje kostki matadory:

Półtuzin słówek słodkich, licząc ściśle.

Księżniczka. Kiedy okpiwasz, grać z tobą nie myślę;

Żegnaj, pomadko!

Biron. Słoweczko na stronie.

Księżniczka. Znów słodkie.

Biron. O, nie! żółć się we mnie burzy.

Księżniczka. Żółć, gorzkie słowo.

Biron. Toż nie męcz mię dłużej.

(Rozmawiają na stronie).

Dumain. Okaż mi łaskę i zmień słówko ze mną.

Marya. Któżże to?

Dumain. Piękna pani...

Marya. Piękny panie,

Oto zamiana; poznaj mię wzajemną.

Dumain. Więc jeszcze jedno, poczem cię pożegniam.

(Rozmawiają na stronie).

Katarzyna. Jakże to? Twoja maska bez języka?

Longaville. Przejrzysty koncept; wiem, co zeń wynika.

Katarzyna. Jakiż zeń wynik, powiedz, jeśli łaska?...

Longaville. Oto ma język dwoisty twa maska:

Oddaj z ust do ust, czego masz za wiele.

Katarzyna. Po holendersku wszak *veal* znaczy cielę?

Longaville. Co, piękna pani, cielę?

Katarzyna. Piękny panie,

Cielę.

Longaville. Przepraszam, nie łączmy się społem.

Katarzyna. Ja też być twoją nie myślę połową;

Odłącz twe cielę, będzie kiedyś wołem.

Longaville. Żarty na tobie mszczą się, nim mię strują:

Chcesz mi przyprawić rogi, białogłowo?

Katarzyna. Umrzej cielęciami, zanim się wyklują.

Longaville. Nim umrę, jedno słówko.

Katarzyna. Mówże ciszej:

Ryczysz za głośno, rzeźnik cię usłyszysz.

(Rozmawiają na stronie).

Boyet. Złośliwy język szyderczej kobiety

Jest niby ostrze brzytwy niewidzialne,

Co się zda cieńsze od najcieńszej nitki:

Ostrze subtelne, ostrze idealne.

Ich koncept — rzekłbyś — ma przyprawne pióra:

Leci, jak piorun, myśl, strzała, wichura.

Rozalina. Ni słowa więcej, dziewczęta — do drogi!

Biron. Wynosim z boju przeciągnięte miny.

Król. Z Bogiem, złońnice; dowcip wasz ubogi.

Księżniczka. Bywajcie zdrowi, chłodne Moskwiciny!

(Wychodzi Król ze swym orszakami).

I to być mają dowcipnisie słynni?

Boyet. Oddechem waszym zagaszone knoty.

Rozalina. Ładnie dowcipni! Grubi i dziecinni.

Księżniczka. Ekstrakt królewsko-ubogiej nędzoty;

Myślę, tej nocy powieszą się chyba,

Na świat bez maski wyrzec się nie ważą.

Twój żwawy Biron był jak stęchła ryba.

Rozalina. O tak, wzbudzali litość smętną twarzą;

Myślałam, że król łzami się rozżali.

Księżniczka. Biron w zakłęcia same wplątał brednie.

Marya. Dumain mię zlecał sobie i swej stali.

Niestaje — rzekłam i mój rycerz blednie.

Katarzyna. Longaville mówił: mam cię na wątróbce,

I nazwał — jak mię nazwał? Czy zgadnieciesz?

Księżniczka. Żółtaczką.

Katarzyna. Właśnie.

Księżniczka. Zna się na choróbce.
Rozalina. Bystrzejszy dowcip ma woźny w powiecie,
 Ale co: miłość król mi zaprzysięgał.
Księżniczka. Biron kochankiem był trzeciego stopnia.
Katarzyna. Do mego wozu Longaville się wprzęgał.
Marya. Dumain lgnął do mnie, niby kora do pnia.
Boyet. Pani, nadobne trzpiołki, niech się strzeże
 Każda, bo oni powrócą w tej chwili
 W swej naturalnej postaci; nie wierzę,
 Aby tak gładko obelgę strawili.
Księżniczka. Wróca, powiadasz?
Boyet. Wróca, jak Bóg żywy,
 Choć każdy od plag bolesny i krzywy.
 Zamieńcie barwy; niby róże w lecie
 Przed ich oczyma nagle rozkwitniecie.
Księżniczka. Rozkwitnąć mamy? Jak to waść tłómaczy?
Boyet. Kobieta w masce różę w pączku znaczy,
 A wychyla się z atlasów zachmurza
 Jak anioł z mgiełki, albo z pączka róża.
Księżniczka. Zawsze koncepty. Jakże ich odprawić,
 Jeśli nas przyjdą umizgami bawić?
Rozalina. Zechcesz li pani przyjąć moją radę,
 Wystrychniemy ich jeszcze raz na głupców;
 Użalmy im się na śmiesznej gromadę,
 Poprzebieraną za moskiewskich kupców;
 Wyrażmy podziw, że się tak trudzili
 Dla wymyślenia nędznej krotochwili.
 Wyszędźmy występ rubaszny i śmieszny,
 Natrzęsajmy się z oracyi pociesznej,
 Którą pukali do naszych namiotów.
Boyet. Uchodźcie, panie! już ich miłość niesie.
Księżniczka. Pierzchnijmy wszystkie, jak sarny po lesie.
(Wychodzą Księżniczka, Rozalina, Katarzyna i Marya.
Wchodzi Król, Biron, Longaville i Dumain w zwykłych
strojach).
Król (do Boyeta). Bóg z wami, dobry panie; gdzie księż-
 [niczka?

Boyet. W swoim namiocie; czyli miłość wasza
 Przeze mnie o czemś uprzedzić ją raczy?
Król. O posłuchaniu, że król ją uprasza,
 Chciej waszmość donieść.
Boyet. Śpieszę; że was przyjmie
 Moja władczyni, tuszę nieinaczej. *(Wychodzi).*

Biron. Ten jest jak gołąb dowcipem karmiony
 I wydziela go, nawet nie strawiony,
 Roznosząc kramik swych conceptów pusty
 Na targi, rynki, jarmarki, odpusty.
 My cenniejszego żartu hurtownicy
 Nie możemy skrzeczając łązić po ulicy
 Z podobnym drobno-towarowym kramem.
 On Ewę skusiłby, będąc Adamem:
 Dziewki przyszpila sobie do rękawa,
 Szepleni słodko i pysznie rozkrawa
 Pieczyste: grzeczność taka w nim wysoka,
 Że własną ręką do pożarcia cmoka.
 To istna małpa reguł, »pan przyjemny«,
 Co gdy w tryk-traka gra, to się na kości
 Gniewa uprzejmie i bez rubaszności
 Szczypie gitarę, nuci, jak mistrz dworu
 Zaćmiewa wszystkich wyższością poloru.
 Damy go »słodkim« nazywają w oczy,
 Schody mu piętę liżą, gdy je tłoczy;
 Jak kwiat śmieje się z lubem umileniem,
 By się pochwalić białem uźbieniem.
 Które sumienie nie chce mieć dłużnikiem,
 Zowie go słodkogębnym Boyecikiem.
(Wchodzi Księżniczka, poprzedzona od Boyeta; Rozalina,
Marya, Katarzyna i orszak).
Biron. Idą już. Czemuś była etykietą,
 A dziś czem jesteś! On jeden ci zjawił
 Dworności wszystkie tajnie i sekreta.
Król. Witajcie słodkie damy; piękne rano!
Księżniczka. Czy my, czy rano? Witacie nieskładnie.
Król. Więc złóżcie składniej, niżli powiedziano.
Księżniczka. Witajcie lepiej, to lepiej wypadnie.
Król. Hołd my wam oddać przyszli i tu stoim,
 Na dwór zaprosić; przyjmicie chęć życzliwą.
Księżniczka. Ja stoję w polu, stojcie też przy swoim.
 Bogu krzyw i mnie, kto przysięga krzywo.
Król. Nie karć tam, pani, gdzieś grzechu przyczyną:
 Wiarę mą ócz twych skrzywiły przymioty.
Księżniczka. Niezasłużoną obarczasz je winą:
 Wylęgać zdrajców to nie rola cnoty.
 Nie; na mój honor dziewczicy tak czysty.
 Jako lilijki płatków białe zwoje,
 Na żar katuszy klnę się wiekuisty,

W miłości waszej domu nie postoję.

Od przysięg, w dobrej wykonanych wierze,

Odwodźć kogoś niechaj Bóg mię strzeże.

Król. Mieszkacie tutaj zdaleka od ludzi

I od rozrywek: to wstyd dla nas przecie.

Księżniczka. Ależ nie, ależ nie; pozor was ludzi;

Bawiłyśmy się najwesielej w świecie.

Właśnie odeszła od nas banda Rusów...

Król. Co? Rusów, pani?

Księżniczka. Tak, cała gromada;

Przybyli tutaj śród płasów i susów,

Grzeczni, wytworni, strojni.

Rozalina. Aj, przesada.

Księżniczka czasu duchowi zbyt wierna,

Jest w uprzejmości swojej niepomierna.

Prawda, że w czasie naszego pokoju

Naszło nas czterech drabów w ruskim stroju,

Bawiąc godzinę; ani w jedną chwilę

Nie zabłysnęli dowcipem, ot, tyle.

Kpami nie nazwę, lecz powiem uczenie:

Widząc pijących, kpy mają pragnienie.

Biron. Schnę od wymowy twojej, kwiatku luby;

Ty mądrość zmieniasz na smalone duby.

Gdy oko wbijem w gwiazdę firmamentu,

Ślepniemy sami; twojego talentu

Takaż jest władza; przed sądem wybrednym

Żak mądry śmiesznym jest, a bogacz biednym.

Rozalina. Więc ty być musisz mędrcom i bogaczem?

Biron. Szalenięc jestem o kiju żebraczym.

Rozalina. Jakto myśl moja z twoją się spotyka:

To określenie zdjąłeś mi z języka.

Biron. Oddając siebie i wszystko, co moje.

Rozalina. Razem z szaleńcem?

Biron. Mniej oddać się boję.

Rozalina. Któraż przed chwilą tu was kryła maska?

Biron. Maska? Nic nie wiem; jaśniej, jeśli łaska.

Rozalina. Maska was kryła, zbyteczny futerał,

Co lepszem świecił, a gorsze zawierał.

Król. Zdrada! zdepcą nas, a więc na stół karty:

Wyznajmy wszystko i obróćmy w żarty.

Księżniczka. Wasza królewska mość taka zmieszana?...

Rozalina. Trzymaj za głowę; mdleje; twarz ma bladą;

Morska choroba widać; z Moskwy jada.

Biron. Na wiarołomców kara z nieba płynie:

Jak nam spiżowe czoło to nie pęknie?

Stoję przed wami, moje pogromczyni,

Sieczcie szyderstwem, żartujcie niepięknie,

Niech za ciemnotę będę ćwiartowany,

Waszym dowcipem na sztuki połupan;

Nigdy ja was już nie poproszę w tany,

Ani się w ruski nie przebiorę żupan.

Na kwietnych mówcach nie będę polegał,

Pazia wybierał mym ogniom za świadka,

Nie będę w masce do kochanki biegał,

W rymach prześcigał kościelnego dziadka,

Jedwabne zwroty, słoweczka jak puchy,

Szczytnych przenośni sztandar trybuńczuczny,

Pedanckie formy, jak czerwcowe muchy,

W bęben wydeły mię pustą a huczny,

Przysięgam na tę rękawiczkę białą,

Że właścicielka bielsza od niej, wierzę.

Odtąd me serce będzie używało

Dwu słów: tak i nie, prosto, ale szczerze.

Ażeby zacząć: Dla Boga, dziewuszeko,

Kocham cię mocno, chcę być twoim służką.

Rozalina. Tylko bez służby, proszę.

Biron. Bodajże cię!

Stara nawyczka; wybaczysz ją przecie;

Pozbędę z czasem. Ci trzej w smutnym stanie.

Piszmy: Wybaw ich od zarazy, Panie,

I miejże litość nad ich sercem chorem.

Od waszych oczu zarażeni morem

Ci już konają; lecz i was on złamie:

Gniewu Bożego na was widzę znamię.

(Pokazuje wstążki i szarfy).

Księżniczka. Nie byli tknięci, od kogo je mamy.

Biron. Skazani na śmierć; ratunku nie znamy.

Rozalina. Jakże to wy się za skazanych macie,

Gdy naszym oczom proces wytaczacie?

Biron. Ciszej; nie chcę mieć z tobą do czynienia.

Rozalina. Ni ja; to mego rzecz postanowienia.

Biron. Mów ty za siebie; mój dowcip się kończy.

Król. Wyznacz pokutę, pani, i tem dowiedz

Swojej litości.

Księżniczka. Przedewszystkiem spowiedź.

Wyście tu przyszli w maskach?

Król. Tak jest, pani.
Księżniczka. I odeszliście bardzo zbudowani?
Król. Co do mnie, bardzo.
Księżniczka. Język wasz nie kłamie?
 Coście na ucho szeptali swej damie?
Król. Że ją szacuję ponad własne życie.
Księżniczka. Jeśli zażąda tego, powtórzycie?
Król. Tak, na mój honor.
Księżniczka. Patrzcież, niegodziwą
 Łatwość zdradzania, kto raz przysiągł krzywo.
Król. Gardźcie, jeżeli kłamie własną winą.
Księżniczka. Taki mam zamiar właśnie: Rozalino,
 Mów, co ci szeptał ten człowiek na boku?
Rozalina. Że mię szacuje, jak źrenicę w oku,
 Nad wszystko w świecie; że mu poślubiona
 Będę, lub że mym wielbicielem skona.
Księżniczka. Niechże ci Bóg zeń pociechy użyczy:
 Patrzcież, jak drogo król swe śluby liczy!
Król. Co to ma znaczyć? Kto tu kłam mi zadał?
 Nigdy tej pani przysiąg mych nie składał.
Rozalina. Owszem, i zaklęć moc; dowodem wreszcie,
 Miał być ten klejnot; skoro tak, odbierzcie.
Król. Jam go księżniczce dał w mem rozumieniu,
 Poznawszy po tej wstędze na ramieniu.
Księżniczka. Przepraszam, ona nosiła tę wstęgę.
 Natomiast Biron mnie składał przysięgę.
 Mości Bironie, chcesz tej perły zwrotu?
Biron. Niczego nie chcę, żeby zbyć kłopotu.
 Rozumiem teraz, jak się knuła zdrada,
 By nam grę naszą zburzyć, jak jasełka;
 Znana im była nasza maskarada.
 Jakiś żak, pajac, trefniś, lizus goły,
 Wyszukujący księżnie bawidelka,
 Frant, co od śmiechu ma w twarzy dwa doły,
 Płotkarz, co umie nowinę wyniuchać,
 Musiał, podkradłszy się, nasz plan podsłuchać;
 Damy zmieniły barwy, wzięły maski,
 Zmianą złudzeni wpadliśmy w potrzaski.
 Tak w wiarołomstwie nabrawszy rozpędu,
 Groza rzec, znowu przysięgliśmy krzywo,
 Raz własnowolnie, drugi raz z obłądu.

Boyet. Za wiele na raz.

Biron. Ha, waść jako żywo,

Waść, nie kto inny, zepsuł nam zabawę
 I do pułapki wprowadził przekłętą;
 Waszmość, co miarę znasz książęcej pięty
 I uśmieszasz się do białka jej oczu,
 Stawiasz się między komin a jej plecy,
 Talerz za krzesłem trzymasz, w każdej hecy
 Zawsze na przodzie; waszmość pazikowi
 Zepsułeś dyskurs; dość, odejźmy zdrowi.
 A waść mrzej sobie — to nas nie rozczuli —
 Zamiast całunu, w niewieściej koszuli.
 Wypatrzył oczy: boję się gagatek!
 Wzrok jego rani, jak błaszana szpadka.
Boyet. Zabawny wypad; patrzcie, jak się szasta.
Biron. Myślisz mi stawać? Ja skończyłem; basta.

(*Wchodzi Łepak*).

Ha, zuchu, kłótnię przerywasz nielada.
Łepak. Panie, trzy bohaterzy idą ze swą rolą:
 Pytają, czyli miłości wasze wejść pozwolą.
Biron. Trzej tylko?
Łepak. Tak, lecz każdy gra za jedną porą
 Trzech.
Biron. A trzy razy troje czyni dziewięcioro.
Łepak. Nie, panie, z przeproszeniem, panie; z łaski nieba
 Wiemy, co mamy wiedzieć i co nam potrzeba.
 Trzy razy po trzy, panie...
Biron. Czyż dziewięć nie znaczy?
Łepak. Nie, panie, już my znamy, jako jest inaczej.
Biron. Na Zeusa, zawszem liczył trzy razy trzy — dziewięć.
Łepak. O Jezu, co za nędza, gdyby wam przyszło, panie,
 liczeniem zarabiać na życie!
Biron. Więc ileż to czyni?
Łepak. O, Jezu, role same, aktorzy, wielmożny panie, po-
 każą wam, ile to wyniesie; co do mnie, mam prezen-
 tować, jak powiadają, jednego męża, jednego nędz-
 niczka: Pompiona Wielkiego, wielmożny panie.
Biron. To jesteś jednym z bohaterów?
Łepak. Podobało im się uważać, że wystarczę na Pom-
 pionia Wielkiego; ja tam nie wiem, za ile stanie jego
 bohaterstwo, ale mam obstać za niego.
Biron. Idź, powiedz bohaterom, niechaj się gotują.
Łepak. Moja w tem głowa, panie, że nic nie zepsują.

(*Wychodzi*).

Król. Lepiej nie puszczać: wstydu nam narobią.

Biron. I owszem; rzecz się politycznie składa:

W ich głupstwie zblednie nasza maskarada.

Król. Ja radzę, niechaj raczej nie przychodzą.

Księżniczka. Ustąpcie, proszę, królu, moim radom;

Najlepszy jest żart sam siebie nieświadom;

Tak gdy gorliwość, na dowcip silona,

Własnem napięciem upada i kona,

Gdy wielkie rzeczy w raz w poczęciu giną,

Śmiech budzą sprzecznych działań mieszanią.

Biron. Trafiony portret naszej krotchwili.

(*Wchodzi Armado*).

Armado. Namazańcze Pana, błagam o taką ofiarę twego
słodko-królewskiego oddechu, ile potrzeba na złożenie
wiązki wyrazów.

(*Rozmawia z Królem na stronie i wręcza mu papier*).

Księżniczka. Czy ten człowiek wierzy w Boga?

Biron. Czemu pyacie, pani?

Księżniczka. Bo mówi, jak nieboskie stworzenie.

Armado. To wszystko jedno, mój urodziwy, słodki, miodowy monarcho, zapewniam bowiem, że bakałarz jest niepomiernie fantastyczny; zbyt, zbyt próżny; zbyt, zbyt próżny; ale zostawmy wszystko, jak to mówią, *alla fortuna della guerra*. Życzę ci spokoju ducha, nader królewska paro.

(*Wychodzi*).

Król. Możemy oczekiwać doskonale bohaterskiego widowiska: on przedstawia Hektora trojańskiego; pacholek — Pompejusza Wielkiego; paroch — Aleksandra; paź Armada — Herkulesa; bakałarz — Judę Machabeusza.

Wypowiedziawszy role, cztery się przebiorą

I pozostałych figur przedstawia pięcioro.

Biron. Było ich pięciu w pierwszej lidze.

Król. Mylisz się.

Biron. Obaczmy: bakałarz, samochwał, paroch, frant i paź.

Nie znajdzie, choćby świata kto przetrząsł zakątki,

W takich dobranych rolach tak dobranej piątki.

Król. Okręt rozwinął żagle i oto nadpływa.

(*Wnoszą krzesła dla Króla, Księżniczki i t. d.*).

PRZEDSTAWIENIE DZIEWIĘCIU BOHATERÓW.

(*Wchodzi Łepak, przebrany za Pompejusza, z lamparcią skórą*).

Łepak. »Jam jest Pompyjan...«

Boyet. Kłamiesz, kłamiesz, Pompyjanie

Łepak. »Jam Pompyjan...«

Boyet. Z lamparcią głową na kolanie.

Biron (*do Boyeta*). Brawo, stary szyderco, zgodziłeś mię [z sobą].

Łepak. »Jam jest Pompyjan, mianem nazywany: gruby.«

Dumain. Wielki.

Łepak. Prawda, wielki.

»Przed mieczem mym i tarczą wróg umyka wszelki;

Wędrując po wybrzeżu, zabłądziłem w drodze,

Przed piękną damą z Francji miecz złożyć przychodzę.«

Gdyby Wasza Wysokość powiedziała: »Dzięki, Pompyjanie«, skończyłbym swoją sztukę.

Księżniczka. Piękne dzięki, wielki Pompejanie.

Łepak. Tylem nie wart, ale rachuję, że mi się udało, jeno potknąłem się na »wielkim«.

Biron. Stawię kapelusz przeciw trójgroszniakowi, że Pompejusz wypadnie najlepszym z bohaterów.

(*Wchodzi Nataniel w zbroi, jako Aleksander*).

Nataniel. »Świat zdobyłem, wyszedłszy na rycerski wander;

Słuchały mię wschód, zachód, północ i południe:

Guz na tarczy oznajmia, żem jest Aleksander...«

Boyet. Lecz guz na nosie przeczy.

Biron. Za to nos twój cudnie

Węszy cuchnące kłamstwo, mój ty czujny panie.

Księżniczka. Patrzcie, zdobywca ustał; naprzód, kapitanie!

Nataniel. »Świat zdobyłem, wyszedłszy na rycerski wander...«

Boyet. To prawda, wiemy o tem, dzielny Aleksandrze.

Biron. Pompejuszu wielki.

Łepak. Do usług, Łepak.

Biron. Wyprowadź stąd zdobywcę, zabierz Aleksandra.

Łepak (*do Nataniela*). O, jegomość, wywróciłeś Aleksandra zdobywcę; za to zedrą z was malowany kubrak, a twego lwa, co siedzi na stolcu z siekierką w łapie, dadzą Ajaksowi, który będzie dziewiątym bohaterem. Zdobycwca, a dał sobie zamknąć gębę! Wstydz się, Aleksandrze, i zmykaj! (*Nataniel wychodzi*). Z przeproszeniem waszych miłości, jest to dobra, głupkowata dusza; pocziwe, widzicie, człowieczysko, tak łatwo się płoszy! Najlepszy z sąsiadów, na mą wiarę, i bardzo zdatny do kręgli, ale na Aleksandra, nieboże! widzieliście, co się stało: pomylił się w roli. Za to idą już inne bohaterzy, co się lepiej wyjęczą.

Książniczka. Odstąp na bok, dobry Pompejuszu.
(*Wchodzi Holofernes w zbroi, jako Juda, i Ćma, przebrany za Herkulesa*).

Holofernes. »Herkulesa widzicie w tym drobnym chłopaku,
Który pojmał Cerbera, *canem* o trójpysku;
A gdy był niemowlęciem, glistą w powijaku,
Manibus dusił węże w potężnym uścisku.
Quoniam wydaje się małoletni,
Ergo zań mówię, państwo prześwietni.«
Teraz nastrój się *do evit* i znikaj!
(*Ćma wychodzi*).

»Jam jest Judasz...«

Dumain. Tfu, Judasz!

Holofernes. Nie Iskariota.

»Jam jest Judasz, którego zwą Machabeuszem.«

Dumain. Utrać Machabeusza, zostanie goły Judasz.

Biron. Zdrajca w pocałunku. Jak zostałeś Judaszem?

Holofernes. »Jam jest Judasz...«

Dumain. Tem większy wstyd dla ciebie, Judaszu.

Holofernes. Jak to rozumiecie, panie?

Boyet. Judasz sam się powiesił.

Holofernes. Zaczniście od siebie, kiedy szafujecie tak hojnie stryczkami.

Biron. To też Judasz powiesił się na choinie.

Holofernes. Nie dam sobie zawrócić głowy.

Biron. Bo jej nie masz.

Holofernes. A to co?

Boyet. Dynia.

Dumain. Rękojeść kozika.

Biron. Trupia główka w sygnecie.

Longaville. Wytarta głowa na rzymskim pieniądzu.

Boyet. Guzik od karabeli Cezara.

Dumain. Rzeźbiony kurek od rożka z prochem.

Biron. Profil św. Jerzego na sprzączce.

Dumain. Tak, na ołowianej.

Biron. Takiej, jak nosi wyrwiząb na kapeluszu. A teraz ruszaj dalej; sprostowaliśmy ci głowę.

Holofernes. Nakręciliście mi ją do reszty.

Biron. Żeby ci nastroić minę.

Holofernes. Ale rozstroiliście mię, jak postraszone jagnię.

Biron. Stałoby się to samo, choćbyś był lwem.

Boyet. Że jednak jest tylko osłem, niech sobie idzie. Bądź zdrów, słodki Judo; na cóż czekasz?

Dumain. Na koniec nazwiska.

Biron. Odejdź Judaszu; odejdź stąd, Machabeuszu.

Holofernes. To nieszlachetnie, niegrzecznie, niemitosiernie.

Boyet. Hej! światła panu Judaszowi; ciemno; niech się nie potknie!

Książniczka. Biedny Machabeuszu, a to cię usiekl!

(*Wchodzi Armado w zbroi jako Hektor*).

Biron. Skryj głowę, Achillesie, idzie Hektor zbrojny.

Dumain. Choćby szyderstwo moje na mnie samego spaść miało, muszę się teraz ubawić.

Król. Hektor wobec niego był pospolitym Trojańczykiem.

Boyet. Czy to tylko naprawdę Hektor?

Dumain. Myślę, że Hektor nie był tak regularnie zbudowany.

Longaville. Łydkę ma za grubą na Hektora.

Dumain. Udo z pewnością.

Boyet. Przeciwnie, jest to Hektor w zmniejszeniu.

Biron. To nie może być Hektor.

Dumain. To jest Bóg albo muzykant, bo stroi miny.

Armado. »Mars, broniowładny bożek, w kopii ćwiczony,
Obdarował dziedzica Ilionu, Hektora...«

Dumain. Złoconą muszkatułką.

Biron. Cytryną.

Longaville. Nadzianą gwoździkami.

Dumain. Nie, czosnkiem.

Armado. Milczeniem!

»Mars, broniowładny bożek, w kopii ćwiczony,

Obdarował dziedzica Ilionu, Hektora:

Dał mu oddech tak mocny i tak niestrudzony,

Że bił się w czystym polu z rana do wieczora.

Tam jest ten kwiat...«

Dumain. Ta mięta.

Longaville. Ta śmierdziuszka.

Armado. Słodki panie Longaville, skróć cugi swemu językowi.

Longaville. Muszę ich raczej popuścić, skoro gonią za Hektorem.

Dumain. A Hektor to hart...

Armado. Słodki wojownik już zmarł i rozsypał się; słodkie kurczęta, nie dzióbcie kości pogrzebionego; póki oddychał, to był mąż. Ale powróćmy do swojej roli.

(*Do książniczki*).

Luba królewska latorośli, naktoń łaskawie zmysł słuchu.
(*Biron szeptem coś Łepakowi na stronie*).

Księżniczka. Mów, dzielny Hektorze; bawimy się niepospolicie.

Armado. Ubóstwiam pantofel waszego słodkiego majestatu.

Boyet. Kocha na stopy.

Dumain. Nie mogąc na łokcie.

Armado. »Ten Hektor walecznością przeszedł Hannibala...«

Łepak. Twoja partnerka, bracie Hektorze, zaszła daleko i chodzi tak już dwa miesiące.

Armado. Jak to rozumiesz?

Łepak. Na mą wiarę, jeżeli nie pokażesz się uczciwym Trojańczykiem, zgubisz biedną dziewczynę; zaszła w ciążę: dzieciak już się jej niepokoi pod fartuszkim; twój dzieciak.

Armado. Chcesz mię wykierować na infamisa przed potentatami? Zginiesz!

Łepak. To Hektor pójdzie pod praszczęta za Żakenetę, że ją zrobił matką, a na szubienicę za Pompyjana, że go uśmiercił.

Dumain. Rządki Pompejuszu!

Boyet. Rozgłośny Pompejuszu!

Biron. Większy niż wielki, wielki, wielki, wielki Pompejuszu; Pompejuszu ogromny!

Dumain. Hektor drży.

Biron. A Pompejusz jest wzburzony. Więcej furji, więcej furji: poszczujcie ich: wrz! huzia!

Dumain. Hektor rzuci mu rękawicę.

Biron. Tak, jeżeli ma bodaj tyle krwi w żyłach, ile potrzeba na obiad musze.

Armado. Na biegun północny, wyzywam cię!

Łepak. Nie myślę bić się na bieguny, jak człowiek północny; ja go muszę posiekać; potrzeba mi miecza.

Proszę was państwo, oddajcie mi moją broń.

Dumain. Miejsca dla rozgrzanych bohaterów!

Łepak. Będę się bił w koszuli.

Dumain. O, rezolutny Pompejuszu!

Ćma. Mistrzu, zniż ton o parę guzików. Nie widzisz, jak Pompejusz rozbiera się do pojedynku? Cóż to zamysłasz? Stracisz reputację!

Armado. Panowie szlachta i żołnierze, wybaczcie mi; nie będę walczył w koszuli.

Dumain. Nie możesz się cofać; Pompejusz wyzwiał cię.

Armado. Lube rycerstwo, mogę i muszę.

Biron. Jakież twoje powody?

Armado. Żeby wyznać nagą prawdę — nie mam koszuli; za pokutę noszę włosienicę.

Boyet. Prawda, zadano mu ją w Rzymie, za to, że nie miał bielizny. Odtąd, sam mogę przysiądz, nie nosi żadnej, prócz ściereczek Żakenety, a nosi je na sercu, jako szarfę kochanki. *(Wchodzi Mercade).*

Mercade. Bóg z tobą, pani.

Księżniczka. Jak się masz, Mercade? Wejściem wesołą płoszysz maskaradę.

Mercade. Smutno mi, pani, że zabawę płoszę.

Lecz jest bolesna wieść, którą przynoszę:

Dostojny rodzic wasz i król...

Księżniczka. Nie żyje!

Mercade. Tak jest. Skończyłem misyę.

Biron. Bohaterzy,

Odejdźcie; scena chmurami się kryje.

Armado. Co do mnie, oddycham znowu świeżem powietrzem. Widziałem dzień bezeczności przez szparę rozsądki i sam znajdę sobie sprawiedliwość, jak żołnierz.

(Bohaterowie wychodzą).

Król. Jaki jest zamiar waszej wysokości?

Księżniczka. Boyecie, gotuj wszystko do podróży:

Tęj nocy musim wracać.

Król. Zostań dłużej

Na moim dworze, zaklinam cię, pani!

Księżniczka. Bądź gotów, mówię. Dzięki wam, łaskawi

Panowie, za chęć waszą i zachody.

Zarazem z serca, co się świeżym łzawi

Bólem, proszę was, niechaj pobłażliwość

Kaprysów płochych przebaczy nam żywość.

Jeśli zbyt śmiałą zdała się przekorność,

Naszego żartu własna wasza dworność

Winę ponosi. Bądź zdrow, zacny książę:

Smutek poprostu mówi, słów nie wiąże;

Rzec nie potrafię, jak wysoko cenię

Ważnej mej prośby tak chętne spełnienie.

Król. Nieraz dopiero ostateczna chwila

Rzecz do przeznaczeń właściwych nachyla

I decyduje dopiero przy skłonie

O tem, co długo czas chował w swem łonie.

A chociaż córki czoło smutkiem blade

Nie jest przychylnie uśmiechem kochania,

Ni tym zalotom, co zwyciężać rade,

To, skoro tutaj o miłości mowa,
Niech smutku chmura ścieżki tej nie chowa,
Którą kroczyła; zaś płakać straconych
Przyjaciół mniej jest zbawienna na ziemi,
Niżli się cieszyć nowo zyskanymi.

Księżniczka. Nie rozumiem was i żal mój podwójny.

Biron. W boleść utrafił może styl mniej bujny.

Oto myśl króla słowami prostoty:
Czas my tracili dla was na zaloty,
Grali fałszywą grę z własnymi śluby;
Wasza uroda cudna, wasz wdzięk luby
Przerobiły w nas chęci i humory,
Kierując zamysł, gdzie iść był nieskory,
Co nie dziw, że się w nas śmiesznością zdało,
Jako że miłość jest pełną wybryków
Dzieciną psotną, kapryśną, niestałą;
Z oka poczęta, więc zmienną, jak w oku
Obrazy, barwy, kształty w ciągłym toku:
Jak oko w źrenic ustawnym obrocie
Coraz na innym stające przedmiocie,
Ody tej miłości pstry i różnopióry
Strój źle malował głęb naszej natury,
I zdaniem waszem zgadzał się zbyt licho
Z hardej przysięgi powagą i pychą —
Niebieskie oczy winne, świadki błędu,
Z których błąd nabrał śmiałości i pędu.
Jeżeli miłość nasza z was się bierze,
To i grzech równie; raz łamiemy śluby,
Aby na wieczne czasy dotrwać w wierze
Tym, co na jakie nas wywiódł próby.
Takim sposobem najczarniejsza zdrada
Uniewinnia się i cnotą wyklada.

Księżniczka. Kiedyśmy wasze przejmowały listy

I dary, posły miłości strzelistej,
Według zapewnień, przecuciem dziewiczem
Cieszyliśmy się drobnostką, ot, niczem,
Zalotnym żartem lub dworną igraszką,
Lekiem na nudy, niepoważną fraszką;
Aniśmy wagi przykładady do tej
Zabawy, grzeczne przyjmując zaloty
Za to, czem pewnie były, za żart płochoy.

Dumain. O nasze listy! Szczerości zwiercałdo!

Longaville. A nasze oczy dopieroż!

Rozalina. **Przepadło.**

Król. Więc teraz, w chwili ostatniej rozstania,
Serc nam nie brońcie naszych.

Księżniczka. Pora wzbrania

Ślepo zawierać układ na czas wieczny.
Nie, królu, nazbyt byłęś niestateczny
I pełen lubej winy; jeśli dla mej
Miłości — o czem wątpić prawo mamy —
Gotowy jesteś spełnienia ofiary,
Uczyń, co powiem: Ślubom nie dam wiary,
Lecz wybierz jaką odludną pustelnię,
Tam zdala uciech żyj nieskazitelnie
Przez czas tak długi, aż na niebios szlaku
Słońce odwiedzi znaki zodyaku.

Jeśli surowe i samotne życie
Nie zmieni przysięg, które tu czynicie
W rozgrzaniu młodej krwi; jeżeli chłosty
Zimy, lekki strój, twarde łożę, posty
Kwiatu waszego kochania nie zmrożą
I zachowacie miłość zawsze hożą,
Tedy po roku pokuty — niedługiej —
Swe mi przed oczy stawicie zasługi.
Na dłoń dziewiczą, co oto, mój książe,
Z waszą się dłonią czułym ślubem wiąże,
Przysięgam, będę waszą; do tej doby
Smutek swój skryję gdzieś w domu żałoby,
Łzami sieroce oblewając lica
Nad śmiercią mego drogiego rodzica.

Jeśli się wahasz, to ręce rozplećmy,
I dalszych do się pretensy nie śledźmy.

Król. Gdybym odtrącił tę i cięższą próbę,
Zbawienia duszy nie mając na względzie,
Niech mi śmierć zgasi oczu światło lube;
Odtąd me serce w twem łonie żyć będzie.

Dumain. A mnie co moja ukochana powie?

Katarzyna. Miej młodość czworgiem rzeczy umiloną:

Daj ci Bóg żonę, cnotę, brodę, zdrowie.

Dumain. Czyż mam rzec: Dzięki, ukochana żono?

Katarzyna. Nie, nie, mój panie; przez rok, więcej doba

Nikt mię nie wzruszy czułych słów ozdoba;

Kiedy król do nas wróci po żałobie,

Jeśli mi serca zbędzie, weźmiesz sobie.

Dumain. Aż dotąd będę wierny, jako żywo.

Katarzyna. Nie zaklinaj się, bo przysiężesz krzywo.
Longaville. A Marya czyliż miłość mą podziela?

Marya. Tyle ci powiem: po upływie roku

Zmienię żałobny strój na przyjaciela.

Longaville. Zbyt długiej żądasz wytrwania ofiary.

Marya. Długiej, jak ty sam; mało kawalerów,

Którzyby z tobą byli równej miary.

Biron. A moja pani zadumała lice?

Zajrzyj mi w oczy, w serdeczne świetlice:

Patrz, jak czekają na skinienie lube,

Rychło miłosną im wyznaczysz próbę.

Rozalina. Mości Bironie, z rozgłosu was znałam,

Nim obaczyłam tu; powszechna sława

Za złośliwego człeka was podawa,

Pełnego drwinek, żartów uszczypliwych,

Ostrych porównań, ukłuc niegodziwych,

Złośliwość wasza każdego dotyka,

Co stanie na strzał groźnego języka.

Ażeby z mózgu ten piołun wyplenić,

(Chceszli nieczułość mą na czułość zmienić,

A nie zdobędziesz mię bez tej zasługi),

Będziesz codziennie, tak jak rok jest długi,

Zwiedzał szpitale i między chorymi,

Gdy jęczeć będą albo cierpieć niemi,

Siał swe koncepty i w wesołym gwarze

Śmiech wywoływał na nędzarzów twarze.

Biron. Co? Gardło śmierci do śmiechu łaskotać?

To niepodobna; już natura wzbrania,

Aby się śmiała dusza wśród konania.

Rozalina. Oto jest sposób na śmiechu rycerzy!

Ich powodzenie całe się zasadza

W poklasku, jakim śmieszków tłum nagradza;

Pomyślny efekt żartu w uszach leży

Słuchacza, nie zaś w kpinkarza języku.

Jeżeli zatem chorych ludzi uszy

Pośród cielesnych bólów i katuszy

I pośród strachów przedśmiertelnych krzyku

Zechcą cię słuchać, pozostañ pustakiem,

A ja ustąpię i przyjmę cię takim;

Lecz jeżeli nie, porzuć złą nawyczkę,

A oddam ci się bez niechęci cienia,

Uszczęśliwiona z twego nawrócenia.

Biron. Tuzin miesięcy, trudno; pełen żalu

Będę grał rolę błazna we szpitalu.

Księżniczka (*do króla*). Więc książę, tu się nasza droga
[dzieli.

Król. Pozwólcie chwilę towarzyszyć sobie.

Biron. Komedya nasza kończy się weselej,

Niż stara sztuka: Jaś nie dostał Kasi.

Gdyby zechciały jeno grzeczne panie,

Miałyby sztuka nasza rozwiązanie.

Król. Za rok i jeden dzień wróci wesele.

Biron. Jak na komedye, to trochę za wiele.

(*Wchodzi Armado*).

Armado. Pozwól, słodki majestacie...

Księżniczka. Czy to nie Hektor?

Dumain. Dzielnny rycerz trojański.

Armado. Ucałuję wasze królewskie palce i odejdę. Śpieszę
wypełnić śluby. Przysięgłem Żakenecie dla jej miłości
trzy lata chodzić za pługiem. Tymczasem zechceli wasza
czcigodna dostojność wysłuchać dyalogu, ułożonego od
dwu uczonych mężów na pochwałę sowy i kukułki?

Miał on być epilogiem naszej krotchwilii.

Król. Wysłuchamy, ale niech się stanie prędko.

Armado. Hola! Zbliżcie się!

(*Wchodzi Holofernes, Nataniel, Cma, Łepak i inni*).

Po tej stronie stoi Hiems, zima; po tamtej Ver,
wiosna; jedna trzyma za sową, druga za kukułką. Ver,
zaczynaj!

ŚPIEW.

Wiosna.

Kiedy fijołki i stokrocie

I wodnych lilii białe pąki

I pyszny jaskier, cały w złocie,

Umalowały las i łąki,

Kukułka tuż, z gałązki drzewa,

Śmieje się z mężów, gdy im śpiewa:

Kuku!

Kuku i kuku! brzmi po lesie,

Wszystkim żonatym trwogę niesie.

Kiedy w piszczałkę pasterz dmucha,

Skowronek zorzą się weseli,

I gołąb puszy się i grucha,

A wiejska dziewczka chusty bieli,

Kukułka tuż, z gałązki drzewa,
Śmieje się z mężów, gdy im śpiewa:
Kuku!

Kuku i kuku! brzmi po lesie,
Wszystkim żonatym trwogę niesie.

Zima.

Gdy mróz po dachach sople ścina,
Jaśkowi palce krzepną z chłodu,
Tomek drwa znosi do komina,
Mleko się zsiada w bryłę lodu,
Zastyga krew, drogi się błocą,
Wtedy się sowa żali nocą:

Uhu!

Uhu i uhu! gdy kucharka
Kipiącego broni garka.

Kiedy po polu wicher wyje,
Paroch ma katar nieustanny,
W śnieg kuropatwa się zaszyje
I pąsowieje nos Maryanny,
A jabłka się na ruszcie pocą,
Wtedy się sowa żali nocą:

Uhu!

Uhu i uhu! gdy kucharka
Kipiącego broni garka.

Armado. Mowa Merkurego brzmi szorstko po śpiewie
Apolina. Wy tędy, a my owędy.

(Wychodzą).



TLÓMACZENIE STANISŁAWA KOŹMIANA.

Wśród sześciu komedyi Shakespeara, wyliczonych jako przykłady jego doskonałości w tym rodzaju, Meres w r. 1598 wymienia »Sen nocy świętojańskiej« (*Midsummer Night's Dream*). W dwa lata później pojawiają się dwa wydania *in quarto*, niebardzo między sobą się różniące; z gorszego z nich zdaje się brać tekst pośmiertne wydanie *in folio*. Poza tem zewnętrznych wskazań chronologicznych co do daty utworu nie mamy. Że jest dziełem człowieka w okresie stałego »upojenia bez wina« — jak dobrze Goethe nazwał wiek młodości — że fantazyja, tak bogata i tak niemo-derowana refleksyami, młodzieńczą być musiała, to pojmuje każdy widz i czytelnik, szczególnie gdy porówna poemat z jedynem przez treść i nastrój pokrewnem, a głębiokością myśli i doświadczenia biegunowo oddalonem dziełem autora — z »Burzą«.

Chętnie sobie wyobrażamy »Sen nocy letniej« jako uwieńczenie twórczości właściwie młodocianej, jako pożegnanie ze swobodną grą wyobraźni młodzieńczej, tak jak tragedia nieszczęśliwej miłości, »Romeo i Julia«, jest pożegnaniem z prometejskim idealizmem uczuć młodzieńca. Bezpośredniego sąsiedztwa chronologicznego między baśnią a tragedią dowodzi nie tylko wspólny obu utworom charakter liryczny, objawiający się w obfitości rymów i pieśni tu, hymnicznych monologów i duetów tam; o bliskości świadczą także ściślejsze jeszcze analogie: Mercutio w tragedji (I, 4) bąka o królowej Mab, jakby mówił o Tytanii w »Śnie nocy letniej«; Egeus, srożący się na nieposłuszną córkę Hermię (I, 1), to jakby kopia starego Kapuleta, zagniewanego na Julię, gdy nie chce Parysa (III, 4); wreszcie nieszczęsna miłość Pyramusa i Tisby w przedstawieniu ateńskich rzemieślników przed Tezeuszem parodystycznie przypomina tragiczne losy ko-

chanków werońskich. Stanowczo z tego jeszcze nie wynika, czy tragedia czy baśń jest wcześniejszą; razem stoją u szczytu i na końcu młodocianej poezji Shakespeara.

Klucz do absolutnej daty »Snu nocy letniej« wielu komentatorów upatrywało w opowieści Oberona o powstaniu kwiatu, zwanego bratkiem (po angielsku *love-in-idleness*, »miłość w zadumie«, II, 2). Bajka o delfinie i nimfie, Kupidynie i westalce, i o zranionym kwiatku, wpleciona bez związku z akcją, jako niepotrzebny *mythus explicativus*, snadnie wydać się mogła dygresją alegoryczną: westalka, nietknięta strzałą Amora, oznaczałaby królową Elżbietę; w nimfie na grzbiecie delfina domysłano się jej przeciwniczki, Maryi Stuart; to znowu ten ornament wywodzono z widowisk maskowych, jakimi Elżbietę w r. 1575 przyjmował na swym zamku Kenilworth jej faworyt, hrabia Leicester, i do jego dziejów miłosnych odnoszono cały ten fantastyczny epizod: »małym kwiatkiem« miała być hrabina Essex; poeta Gerald Massey nawet powiązał całą historię z odzwierciedlonymi rzekomo w sonetach Shakespeara losami protektora poety, hrabiego Southampton; jego małżeństwo z siostrzenicą hrabiny Essex ma być przedmiotem dramatu; córka hrabiny Essex była rywalką żony Southampton o jego miłość, i na nią przejść miały czarowne władze »małego kwiatka w zachodniej stronie«. — *A priori* jest nieprawdopodobnem, żeby poeta, piszący dla sceny popularnej, był ukrywał alegoryczne aluzje w opowieści tak trudnej do odcyfrowania i wieloznacznej; tak samo, żeby po blisko dwudziestu latach zechciał przypominać publiczności przebrzmiałe uroczystości w Kenilworth i amory zmarłego hrabiego Leicester; przelotny komplement pod adresem królowej mógłby się raczej odnosić do bezskutecznych zabiegów jednego z coraz nowych jej zamorskich konkurentów; niewiadomo wreszcie, czy nie miał słuszności Niemiec Delius, twierdząc, że królewska westalka, skonstrastowana ze skromnym kwiatkiem, to poprostu Dyana czyli księżyc. Prawie pewnem zaś jest, że sam kwiatek nie ma znaczenia alegorycznego, lecz służy poecie poprostu jako narzędzie akcji. Motyw podobny do soku bratka znaleziono w głośnej za czasów Shakespeara w całej Europie powieści *Dyana* przez Jerzego Montemayor (z której pochodzi temat młodocianej komedii »Dwaj panowie z Werony«): tylko, że tam chodzi o napój czarodziejski,

i że kieruje on miłość na nowy przedmiot po myśli czarodzieja, a nie na pierwszy widziany po przebudzeniu, jak u Shakespeara.

Wielokrotnie przypuszczano, że utwór, tak zupełnie odbiegający od szablonów dramaturgii popularnej, był dziełem okolicznościowym, przeznaczonym na uświetnienie jakiegoś wesela w arystokracji angielskiej¹⁾; taka geneza istotnie tłómaczyłaby osnucie całej rzeczy około uroczystości weselnych Tezeusza i Hipolity. Figury te i anachroniczne ich otoczenie — owe wielce romantyczne Ateny »Snu nocy letniej« — znane były czytelnikowi angielskiemu z wierszowanej romancy średniowiecznego poety Chaucera, pierwszej i najdłuższej w jego cyklu »Opowiadań pielgrzymów kanterburyjskich«. Tę chaucerowską »Opowieść rycerza« (polegającą na »Tezeidzie« Boccaccia) dramatycznie parafrazował autor pseudo-shakespearowskiego dramatu »Dwaj szlachetni krewniaci«. Do »Snu nocy letniej« Shakespeare z Chaucera prócz obramowania akcji przez małżeństwo Tezeusza z królową Amazonek przejąć mógł szczegóły tak malownicze, jak polowanie, którego rzeźwe głosy w czwartym akcie, zwiastując nadejście poranku, przenoszą nas ze świata marzeń i poetyckich zawikłań do rzeczywistości i normalnego porządku. Dodatkowo wreszcie źródłem dla figur Tezeusza i Hipolity stać się mogła jedna z ulubionych ksiązek Shakespeara: »Żywoty« Plutarcha, których tłómaczenie przez Tomasza North (systematycznie później zużytkowane w dramatach rzymskich) wyszło w drugim wydaniu właśnie w roku 1595.

Drugą obok Tezeusza i Hipolity parą monarszą w poemacie jest król elfów, Oberon, i jego małżonka, Tytania. Oberon — przez nazwę objawiający pokrewieństwo z »Alberykiem« podań germańskich — jako władca świata duchów figuruje w starofrancuskiej romancy *Huon de Bordeaux*, w nowszych czasach wstawionej przez epopeję Wielanda

¹⁾ Nie mogło to być ani wesele hrabiego Southampton, bo ten ożenił się pokryjomu w r. 1598, ani hrabiego Essex, bo to odbyło się już w r. 1590. Bliżej przypuszczalnej daty utworu są zawarte w r. 1595 małżeństwa hrabiego Derby-Stanley, brata zmarłego protektora trupy shakespearowskiej, oraz hrabiego Russell-Bedford z Lucyą Harrington, dretektorką poety Draytona. W roku 1594 wstąpiła w ponowne śluby matka hrabiego Southampton; poważniejszym już wiekiem i stanowiskiem ta para małżeńska najpodobniejszą może jest do księżęcej u Shakespeara.

(1780), zaś dla pokolenia shakespeareowskiego na angielskie przetłómaczonej przez lorda Berners; o istnieniu dramatu o Huonie za czasów Shakespeara posiadamy świadectwo w notatkach spekulanta teatralnego Filipa Henslowe. W »Huonie« królestwo Oberona umieszczone jest w Indjach; i u Shakespeara, z początkiem akcji w świecie elfów (II, 2) są wzmianki, że do Grecji Oberon przyszedł z Indji. Postać króla elfów z nazwiskiem Oberon, ale bez bogactwa shakespeareowskich funkcji i atrybutów, spotykamy także w dramacie starszego kolegi poety, Roberta Greena, p. t. »Jakób IV«, podanym do druku w r. 1594.

Nazwa Tytanii pochodzi z »Metamorfoz« Owidyusza, gdzie ją znajdujemy kilkakrotnie jako jedno z imion Dyany¹⁾. Sama postać królowej elfów zdawna znaną była folklorowi angielskiemu; wspomina o niej i jej poddanych już Chaucer w opowiadaniu wdowy z Bath w cyklu opowieści pielgrzymich; zaś w samych latach shakespeareowskich do nowej godności poetyckiej ten wytwór wyobraźni ludu podniósł Spenser przez swą epopeję. Jego Gloriana jednak nie ma nic wspólnego z królową czarodziejskiego świata shakespeareowskiego. Wogóle mało materiału do fantastycznej tkaniny cudownego »Snu« znaleźć się da po książkach: Shakespeare, by stworzyć swe królestwo elfów, oburącz tylko czerpać potrzebował z bogatej ustnej tradycji, żyjącej wśród ludu i znanej mu zapewne jeszcze z chłopięcych lat stratfordzkich. Najwyraźniej ten wpływ bajek ludowych objawia się w psotnej postaci Pucka, który służy Oberonowi. Nazwisko jego ma wiele sobie pokrewnych w folklorze germańskim i poza Anglią — w Islandji, u Fryzów; sam shakespeareowski Puck kilkakrotnie nazwiska swego używa z rodzajnikiem, jakby rzeczownika gatunkowego a nie imienia; istotnie w różnych pokrewnych formach nazwa jako określenie całego rodzaju drobnych istot elementarnych istnieje aż do najnowszych czasów między ludem angielskim; jeszcze w XIX wieku Coleridge w poezji swojej opowiada o gnomach baśni ludowej, zwanych *pixies*. Figle Pucka, tak obficie zaraz przy pierwszym powitaniu przez elfa wyliczone (II, 1), odpowiadają tym psotom, jakie wyobraźnia ludowa zawsze

¹⁾ Formę *Titania* znaleźć mógł Shakespeare tylko w oryginale, bo w ówczesnym tłómaczeniu angielskim Goldinga jest tylko »córka Tytana« i inne zwroty opisowe.

i wszędzie złośliwym duchom przypisuje, i którymi tłómaczy sobie pozorną zawziętość martwych przedmiotów na człowieka. Pod nazwą *Robin Good-fellow* opowiada tego rodzaju psoty dokuczliwego ducha broszurka popularna, której druk posiadamy dopiero z r. 1628, ale która z pewnością na znacznie dawniejszych opiera się tradycjach; kilkakrotnie pod tą nazwą jest wspomniany w używanej przez Shakespeara książce Reginalda Scotta o zabobonach (*Discoverie of Witchcraft*, 1584); zaś nową aureolą poetycką, nie wymieniając żadnej nazwy, otoczył go po Shakespeare Milton, który poświęca jego figlom kilka wierszy w młodocianym poemacie lirycznym *L'Allegro*.

Nie trzeba więc, jak widzimy, opuszczać gruntu angielskiego, nie trzeba włóczyć shakespeareowskich elfów po przepastnych krainach mitologicznej spekulacji i porównawczego folkloru — jak to kilkakrotnie z wielkim nakładem erudycji czyniono¹⁾ — by sobie wytworzyć pewne pojęcie o uchwytnych elementach ich powstania. Jedyny szczegół, widocznie łączący królestwo Oberona i Tytanii z właściwą mitologią jako symboliką wypadków żywiołowych, to wzmianka Oberona o tem, jak całe życie przyrody zamężył i normalny przebieg roku wstrzymały jego swary małżeńskie z Tytanią (II, 1). I na datowanie poematu zresztą starano się tę aluzję wyzyskać, utożsamiając te zaburzenia z różnymi wybrykami klimatu angielskiego za czasów Shakespeara.

Po wszystkim, co się da powiedzieć o jakichś materialnych wzorach shakespeareowskich elfów, lwia część pomysłu pozostaje własnością jego twórczej fantazji, królewskim jej darem dla potomności, i niewiele wagi jeszcze i dziś mają zastrzeżenia filologiczne wobec hołdu, jaki poecie złożył essayista Charles Lamb, stwierdzając bez ogródek, że Shakespeare »sam wymyślił« ten cały światek czarodziejskiej poezji. Lennikiem jego wyobraźni już w następnej generacji stał się młodszy poeta Michał Drayton przez rozgrywający się w miniaturowym świecie elfów żartobliwy poemat epicki *Nymphidia* (dr. 1627).

W niższą poetycznie i społecznie sferę sprowadzają nas przygotowania rzemieślników ateńskich do amatorskiego przedstawienia przed Tezeuszem i dworem (I, 2).

¹⁾ W. Bell, *Shakespeare's Puck*, 3 tomy, 1852—63; K. Simrock, *Die Quellen des Shakespeare*, 1859.

Już w ich naradach nad wyborem dramatu i w urywkach, jakie potem słyszymy na próbie w lesie (III, 1), pełno wyraźnej satyry literackiej na stan dramatu angielskiego bezpośrednio przed Shakespearom; obok widocznej, rozmyślniej przesady nie brak tu rysów prawdopodobnie z natury kopiowanych: Denko jako próbę swej zdolności do roli tyрана cytuje kilka napuszonych wierszy ze starożytnego dramatu o Herkulesie, według zapisków spekulanta teatralnego Henslowa dramat o tym przedmiocie rzeczywiście istniał. Podobnie ma się rzecz w tych partykach scen, gdzie satyra jest raczej teatralną, niż literacką, i kieruje się przeciw średniowiecznemu zabytkowi peryodycznych przedstawień amatorskich przez cechy mieszczańskie: takie przedstawienia — których tematy już dawno przestały być wyłącznie biblijne — mógł jeszcze sam Shakespeare w młodości oglądać w mieście Coventry. Wtedy i później zapewne miał sposobność podpatrzeć niejedną objaw tego braku zmysłu dla iluzji teatralnej, którym nas głównie bawią jego rzemieślnicy ateńscy. Tak samo jak u Shakespeara lew ma wyraźnie zapowiedzieć, że nie jest prawdziwym lwem, aby się damy nie lękały, tak według anegdotycznej wiadomości na jednym z widowisk na cześć Elżbiety gdzieś na prowincji przedstawiciel Aryona pieśniarza, gdy mu głos nie dopisał, zerwał maskę i przedstawił się jako mieszczanin Harry Goldingham.

Przedmiot utworu, na który się ostatecznie decydują amatorzy ateńscy, mógł Shakespeare znaleźć u Owidyusza, czy to w tłumaczeniu Goldinga czy w oryginale; wielokrotnie także o tragicznych losach Pyramusa i Tisby śpiewali poeci angielscy: już w średnich wiekach Chaucer w »Legendzie o dobrych niewiastach«, a za czasów Shakespeara jakiś anonimowy poeta w antologii »Garść miłych uciech« (*A Handful of Pleasant Delights*, 1584). Wolno nam zresztą przypuszczać, że i o tym przedmiocie, jak o tylu innych tematach legend starożytnych, istniał wierszowany dramat wśród bogatego dorobku epoki, poprzedzającej nadejście Marlowa i Shakespeara.

Urozmaicając próbę w lesie różnymi sposobami tak, żeby jak najmniej z samej treści dramatu już tutaj wyjawić, Shakespeare chowa sobie główne efekty karykaturalne i satyryczne na akt piąty, który z zupełną swobodą w całości przedstawieniu rzemieślniczemu poświęcić może, bo po rozwikłaniu wszelkich węzłów dramatycznych ma

on wyłącznie funkcję epilogu. Przedstawienie przed dworem — jak w »Hamlecie« — poprzedzają teoretyczne rozmowy o poezji i sztuce aktorskiej, o wyobraźni i ludzkiej Heroldem najgłębszych refleksji poety, jak w całym dramacie, jest Tezeusz: on w przepięknych słowach o szale poetyckim doskonale, niż to którykolwiek z teoretyków romantyzmu w XIX wieku uczynić zdołał, wypowiada romantyczną teorię o natchnieniu oryginalnym jako istocie poezji, przeciwną klasycznemu określeniu wszelkiej sztuki jako naśladowania; przez usta Tezeusza także — gdy o sprawach ubiegłej nocy mówi jako o przywidzeniach głów zakochanych — Shakespeare wytwarza to arcy-poetyckie *chiaroscuro*, w jakim nas pozostawia między wiarą a niewiarą w elfy i czary, między fantastyczną rzeczywistością a pięknym snem; Tezeusz również przez słowa szlachetnego uznania rehabilituje rzetelne wysiłki oświeczonych mieszczan, odbierając w ten sposób satyrze żądło anty-demokratyczne; ale też w jego słowach zarazem widoczniejszą, niż gdzieindziej, staje się tendencja przedstawienia sztuki shakespeareowskiej nieumiejętnym produktom poprzedników, którzy, jako sami pozbawieni twórczej fantazji, grzeszyli głównie przez brak zaufania do wyobraźni widza i czytelnika: nic jej do zrobienia nie pozostawiając, pozbawiali artystyczne wrażenie jednego z naczelnych jego czynników.

W samem przedstawieniu rzemieślników treść komiki stanowi przedewszystkiem rozwinięta tu w całej pełni karykatura starożytnego stylu dramatycznego: łatanina dla rytmu i rytmu, pompatyczna aliteracja, nagła zmiana metryki w najtragiczniejszej partyi na krótkie dwutaktowe wiersze, to wszystko cechy, które studyować możemy na oryginałach z generacji przed-shakespeareowskiej. Inne znowu efekty pochodzą z arsenału istniejących już środków komicznych: przekręcenie sensu prologu przez fałszywą interpunkcję recytatora ma wzór w interpungowanym fałszywie liście miłosnym w komedii szkolnej Udalla »Ralph Roister Doister«. Kiepska gra amatorów zaznaczona jest w tekście przez przestawianie słów i przekręcanie imion własnych: Pyramus, »ujrząwszy« głos, chce »usłyszeć« przez szczylinę w murze twarz swej ukochanej; twierdzi, że jest jej wierny, jak »Shafalus to Procrus« (zamiast »Cephalus to Procris«); wiele jednak zapewne w tym zakresie pozostał poeta gorliwości i pomysłowości aktorów; istotnie

mamy z roku 1607 aluzyę, świadczącą, że na ówczesnej scenie londyńskiej Tisbe do zabicia się używała miecza Pyrama wraz z pochwą. Tekst daje szerokie pole do takich improwizacji, a publiczność wdzięcznie zapewne je przyjmowała.

Pierwsze bowiem pokolenia potomności w dziele Shakespearu silniej od heroicznym i lirycznym partyi widocznie pociągała swą drastyczną komiką ta burleska rzemieślnicza; dowodem parafrazy w Anglii i poza nią, nadewszystko niemiecki »Peter Squenz« Gryphiusa. Dziśszych ludzi, jak świadczą rozliczne głosy komentatorskie, także silnie interesuje — tylko z innych względów — jedna szczególnie postać tej mieszczańskiej grupy, mianowicie uwielbiany jej kierownik, mistrz Denko (*Bottom*); odrębne a wybitne on wśród swych towarzyszy zajmuje stanowisko, osobne też pono ma satyryczne przeznaczenie. Młody Shakespear, jak go znamy z »Sonetów«, wrażliwy i nieobyty w świecie, z pewnością niejednokrotnie w pierwszych latach londyńskich w przykre wszedł zetknięcie z drażniącą pewnością siebie przeciętnego człowieka, któremu tej spokojnej rutyny zazdrościć musiał, choć się czuł moralnie i intelektualnie wyższym od niego. Jakby zemstą w sferze poezji na takich gruboskórcach są częste w komediach Shakespearu upokorzenia ludzi zarozumiałych i zbytńo sobie ufających. W późniejszych czasach, gdy sam poeta z realnem doświadczeniem więcej nabył oportunizmu, zemstę taką wywiera samo życie i ludzie: tutaj bohatera w osłą głowę¹⁾ stroją istoty świata fantastycznego, a młodzieńczy idealizm przez to się ironicznie wypowiada, że wspomnienie o tym ornamencie całkiem nie obniża ani reputacji pana Denki u współbraci, ani jego mniemania o sobie.

¹⁾ Pomysł osłej głowy znalazł poeta w używanej i do innych dramatów encyklopedyi zabobonów (Reginald Scott: *Discoverie of Witchcraft*, 1584): tam jako przykład zwalczanych przez autora zabobonnych praktyk podana jest recepta na to, jak nadać człowiekowi głowę osłą; w innym miejscu mowa o tem, że tak przemieniony je siano, — na które i pan Denko u Shakespearu czuje apetyt (III, 1). Podobną anegdotkę znajdujemy i w niemieckiej ksiąźce ludowej o magiku Fauście, a receptę w dziele średniowiecznego scholastyka Alberta Wielkiego *De Secretis Naturae*; praojcem literackim wszystkich tych osłogłowych ofiar czarów jest oczywiście sławny osioł w »Metamorfozach« Apulejusza z Maury.

Jeżeli Denko zajmować nas musi jako głęboki psychologicznie portret filistra, to zupełnie podlegać nie mogą analizie psychologicznej inne figury dramatu: Oberon i Tytania zachwycają nas jako objawienia piękna, nie jako osobistości, zaś zakochana czwórka młodzieży ateńskiej to maryonетки, któremi poeta suwa po zaczarowanym lesie dla stworzenia pewnych dramatycznych sytuacji. Sceny, ich losom poświęcone, jedyną dają sposobność do zestawienia tego fantastycznego dzieła z poprzedzającymi je młodocianymi komedjami Shakespearu. I tu i tam głównym źródłem zabawy dramatycznej sztuczne *qui pro quo*; i tu i tam charakterystyka schematyczna; ale znacząco postępowy techniczny w scenie ekspozycji (I, 1), nastrojowo uderzającej we wszystkie poetyckie akcenty utworu: że będążawikłania poważne, graniczące z tragedją, zapowiada cudny ustęp o przeciwnościach na drodze wiernego kochania, o błyskawicznej znikomości wszystkiego, co piękne; że będzie bujna mieszanina dziwacznych igraszek trafu i uczucia, zwiastują słowa o dziecinnej ślepocie miłości w wyborze przedmiotu; że to wszystko opromienione będzie słońcem dowcipu, zaznaczą ton żartobliwy, w jakim Hermia przysięga »na śluby mężczyzn, złamane tak mnogo«; że wreszcie rzecz całą rozgrywać się ma na zielonem tle wiosennej przyrody, to zaraz na początku skutecznie nam pomagają uświadomić sobie kilkakrotne wzmianki o starym ludowym »święcie maja« (wspominanem i u Chaucera), o łąkach, lasach i kwiatach. Jak zupełnie odmienne to akordy od mechanicznie recytujących scen ekspozycyjnych w pierwszych farsach i tragedjach poety!

Widoczny jest postęp w zręczności pisarza teatralnego także w dalszym ciągu tej akcji miłosnej, gdzie w jedną efektowną scenę (III, 2) splełany jest cały kłębek nieporozumień między czwórką zakochanych; Puck, wykrzykujący raz po raz¹⁾ z uciechy nad powikłaniem, jakby wyraz dawał zadowoleniu poety z własnej roboty. Tutaj raz jedyny w utworze Shakespearu dla urozmaicenia usiłuje czynić pewne różnice między charakterami kochanków:

¹⁾ »Wielka nas zabawa czeka;
Co głupszego nad człowieka!« —
»Nie znam piękniejszej zabawy
Jak pogmatwane tak sprawy!« —
»Nie żałuję błędu, bo ich swary,
Wyznaję, królu, bawią mnie bez miary.«

Lyzander i Demetryusz pozostają bardzo do siebie podobni; różnica między łagodną Heleną a impetyczną Hermią podkreślona jest przez wyzyskany humorystycznie moment różnicy wzrostu. Nie bez słuszności niektórzy nowożytni aktorzy z komizmu tej sceny biorą asumpt do lekko humorystycznego traktowania czwórki miłosnej w całym utworze; nie psuje to nastroju shakespearowskiego, który z pewnością nie był wysoce heroiczny; zachwyty obu młodzieńców nieraz wyglądają na drwiny poety, czego nigdzie dostrzedz nie można w miłosnych deklamacjach wcześniejszych komedii. Granicę ironii ustanawia sam Shakespeare przez okoliczność, że czarowi zmieniającemu uczucia podlegają tylko mężczyźni, a nie kobiety: i tutaj, jak niejednokrotnie w późniejszych komediach, poeta po rycersku chroni swe damy przed ostatecznym ośmieszeniem. Protestować także trzeba przeciw podciągnięciu figury Tezeusza i Hipolity przez niektórych krytyków, zwłaszcza niemieckich, pod ironiczno-parodystyczną interpretację całego utworu: monarcha shakespearowski, gdziekolwiek się pojawia, jest nawskróć poważnie pomyślanym symbolem społecznego ładu i krytycznego rozsądku; takim przez cały dramat jest i Tezeusz.

Sumarycznie tylko jako naczelną zaletę dramaturgii dzieła wspomnieć można tę niewymuszoną artystyczną lekkość, z jaką udało się poecie powiązać ze sobą losy czterech tak odmiennych od siebie grup figur, jak para monarsza, czwórka zakochanych, elfy i rzemieślnicy. Jeszcze mniej ścisłych krytycznych określeń znaleźć można na tajemnicę wdzięku, zawartą w czarownej kombinacji przeróżnych elementów klasycznych i romantycznych, — mieszaninę dawniej nierozsądnie krytykowaną, dziś zgodnie i powszechnie wielbioną. Najmniej wreszcie językiem krytyki literackiej da się powiedzieć na pochwałę lirycznej melodii utworu, czystej i absolutnej poezji wierszowania i wysłowienia¹⁾. W istocie to najeteryczniejsze z dzieł

¹⁾ I to piękno stylu, choć nieskończenie wyższe od wszystkiego dotychczas w twórczości poety, nie jest oczywiście całkiem bez skazy; najgorsze afektacje w bombastycznych tragediach pierwszych lat przypomina zaklęcie Hermii (III, 2):

»Prędzej uwierzę, że ktoś całą ziemię
Nawskróć przewierci; że księżycą brzemię
Na drugą stronę przez tę przeszło studnię,
Swem srebrem złote tam mącąc południe».

Shakespeara, »najpiękniwszem dziełem ludzkim« (*the most beautiful work of man*) ekstatycznie mianowane przez Swinburna, według trafnych słów tegoż samego wieszczka-estety jest »poza wszelką możliwą krytykę i ponad nią«; w przeciwieństwie do podobnej nastrojem i koncepcją »Burzy« tak zupełnie jest wyniesione nad wszelkie poważne sprawy żywota, że niema w niem siły, goryczy namiętności, głębokości myśli, niema prawideł etycznych ani logicznych¹⁾; jest w najwyższem słowa znaczeniu »sztuką dla sztuki« i w całej pełni »snem«, jak je nazwał poeta²⁾; jak żaden sen z normalnymi wypadkami życia na jawie, tak i »Sen« shakespearowski z niczem w literaturze porównać i krytycznie zestawić się nie da; jak sen ciało po uciążliwościach dnia, tak to dzieło dusze wśród szarżyny bytu powszedniego zawsze ożywiać i odmładzać będzie.

¹⁾ Niemało nałamali sobie głowy ściśle myślący komentatorzy nad chronologiczną niekonsekwencją poety: w tytule mówi o »nocy świętojańskiej« (23/24 czerwca), w tekście kilkakrotnie o starem święcie 1 maja; w pierwszej scenie jest wzmianka o czterech dniach, potem wszystko się rozgrywa niby w jednej, pełnej czarów nocy; jest mowa i o pełni księżyca i o nowiu. Do poważnych rozpraw nad tą fantastyczną konfuzyą oczywiście niema powodu.

²⁾ Jako »sny w gaju Muzy« lubi i Jan L y ł y określać w prologach swe fantastyczne komedye, tenorem i nastrojem ze wszystkiego we współczesnej poezji dramatycznej stosunkowo najbardziej podobne do »Snu nocy letniej« — niby bardzo odległe jego wzory.

OSOBY:

Tezeusz, książę Aten.

Egeusz, ojciec Hermii.

Lyzander }
Demetryusz } zakochani w Hermii.

Filostrat, mistrz ceremonii na dworze Tezeusza.

Pigwa, cieśla.

Spój, stolarz.

Spodek, tkacz.

Dudka, miechownik.

Ryjek, kotlarz.

Głodniak, krawiec.

Hipolita, królowa Amazonek, zaręczona z Tezeuszem.

Hermia, córka Egeusza, zakochana w Lyzandrze.

Helena, zakochana w Demetryuszu.

Oberon, król elfów.

Tytania, królowa elfów.

Puk, albo Robin Dobry-druh, jeden z elfów.

Groszek

Pajęczynka }
Ciemka } elfy.

Gorczyczka }

Pyram

Tyzbe

Ściana }
Księżyc } role w krotchwili odegranej przez prostaków.

Lew

Orszak Oberona i Tytanii.

Orszak Tezeusza i Hipolity.

Scena w Atenach oraz w pobliskim gaju.

SEN NOCY LETNIEJ.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Ateny. Komnata w pałacu Tezeusza.

(Wchodzi Tezeusz, Hipolita, Filostrat i orszak).

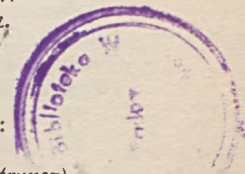
Tezeusz. Już się nam zbliża, piękna Hipolito,
Godzina ślubu. Nowy za dni cztery
Zabłyśnie księżyc. O jakże ten stary
Zwolna ubywa, spóźniając me szczęście,
Jako macocha, lub na dożywociu
Wdowa, co ścieśnia dochód spadkobiercy.

Hipolita. Cztery dni szybko pogrążą się w nocach,
Przez cztery noce rąco się czas prześni,
A wtedy księżyc, nowym srebrnym łukiem
Na niebie zgięty, ujrzy noc świąteczną
Naszych zaślubin.

Tezeusz. Idź, idź, Filostracie,
Wezwij ateńską młodzież do zabawy,
Obudź polotny i hoży duch uciech,
A smutek odpędź do czarnych pogrzebów.
Nie dla gód naszych ten błady towarzysz,
(Filostrat wychodzi).

Miecz, Hipolito, był mym dziewostębem,
Pogromem wojny zdobyłem twe serce,
Lecz ślub nasz inne uświetnią tu sprawy:
Pompa, tryumfy i huczne igrzyska.

(Wchodzi Egeusz, Hermia, Lyzander i Demetryusz).



Egeusz. Szczęść, Tezeuszu, przestawny nasz ksiązę!
Tezeusz. Dzięki ci, dzięki — jakież niesiesz wieści?

Egeusz. Pełen frasunku, przychodzę ze skargą
 Na własne dziecię, na mą córkę Hermię.

Oto Demetryusz. Temu to mężowi,
 Przekacny Panie, przyrzekłem jej rękę.
 Wystąp Lyzandrze — a ten oczarował,
 Łaskawy ksiązę, serce mego dziecka.
 Ty, ty, Lyzandrze, tyś dawał jej wiersze,
 Tyś z nią wymieniał miłości rękojmię,
 Tyś po księżycu pod jej oknem śpiewał
 Obludnym głosem pieśń uczuć obludnych;
 Tyś skradł darami pociąg jej fantazyi,
 Śląc jej pierścionki, manele z twych włosów,
 Błyskotki, cacka, bukiety, łakocie —
 Posły przemożne nad płochą młodością.

Tyś się chytrnością wulił w Hermii serce
 I ojcu winną uległość zmieniles
 W niezłomny upór. Miłościwy ksiązę,
 Jeśli nie zechce ona tu przed tobą
 Przyrzec, iż będzie żoną Demetryusza,
 Wezwę ateńskich dawnych przywilei;
 Moją jest, nią więc mam prawo rozrządzić:
 Albo ją temu przekazę mężowi,
 Albo też śmierci, jak żąda ustawa
 Wprost na wypadek taki przepisana.

Tezeusz. Cóż, Hermio, mówisz? Pomyśl, piękne dziewczę.

Czcic ojca winnaś, jak samego Boga.
 On twej urody twórcą. Tak, w istocie,
 Tyś wobec ojca jakby postać z wosku,
 On ci kształt nadał, w jego przeto mocy
 Również ocalić jak zgładzić swe dzieło.

Wszakże Demetryusz zacnym jest młodzianem?

Hermia. Alboż nim nie jest Lyzander?

Tezeusz. Nie przeczę,
 Lecz że w tym razie brak mu ojca zgody,
 Tamtego trzeba uważać godniejszym.

Hermia. O, gdyby ojciec chciał spojrzeć mem okiem.

Tezeusz. Raczej twe oczy kieruj sądem ojca.

Hermia. Błagam cię, ksiązę, błagam przebaczenia.

Nie wiem, skąd siła, która mię ośmiela,
 Ani jak mojej skromności przystało
 Tu wobec wszystkich bronić życzeń moich.

Lecz cię zaklinam, powiedz, jaka może
 Najcieńsza doła spotkać mię w przypadku,
 Jeśli nie zechcę pójść za Demetryusza?

Tezeusz. Śmierć, śmierć okrutna, albo już na zawsze
 Musisz się wyrzec towarzystwa ludzi.

Więc, piękna Hermio, zbadaj twe pragnienia,
 Pomnij na młodość, twojej krwi się poradź,
 Czy, jeśli wybór odrzucisz ojcowski,
 Zdołasz znieść lichą szatę pustelnicy,
 W ciemnym klasztorze zamknąć się na wieki,
 Bezdzielną siostrą spędzić żywot cały,
 Nuąc mdłe hymny bezpłodnej Dyanie.
 Trzykroć te szczęsne, które krew uśmierzą,
 By odbyć taką panieńską pielgrzymkę.
 Lecz ziemsko szczęśniej róży, co zerwana,
 Niż tej, co więdnąc na cierniu dziewiczym
 Wzrasta i żyje i mrze w samotności.

Hermia. Tak pragnę wzrastać, tak żyć i umierać
 Raczej, niżeli przywilej dziewictwa
 Zdać władzy męża, pod którego jarzmo
 Nigdy się ugiąć ma dusza nie zdoła.

Tezeusz. Wstrzymaj się, namyśl, a z nowym księżycem,
 W dzień, co ma moim z ukochaną ślubom
 Przyłożyć pieczęć wieczystego stadła,
 W tym dniu, powiadam, bądź gotowa umrzeć
 Za krnąbrność przeciw twego ojca woli;
 Lub Demetryusza pojąć, jak chce ojciec,
 Lub na ołtarzu Dyany zaprzysiądz
 Czystość i życie samotne na wieki.

Demetryusz. Wstrzymaj się, Hermio! Ty, Lyzandrze, cofnij
 Dzikie roszczenia przed mem wyższem prawem.

Lyzander. Tyś, Demetryuszu, posiadał ojca miłość,
 Zostaw mi Hermię, a sam z nim się ozeń.

Egeusz. On ma mą miłość, szyderyczy Lyzandrze,
 I co jest mojem, ta miłość mu odda.

Moją jest Hermia, więc me prawa do niej
 Na Demetryusza przelewam w całości.

Lyzander. Jego rodowi mój ród nie ustąpi.
 Równiem bogaty, w miłości bogatszy.
 Mój zawód w życiu sięga tak wysoko,
 Jeśli nie wyżej, jak Demetryuszowy.
 A co ważniejsze nad te wszystkie chluby,
 Mnie piękna Hermia miłość ślubowała.

Czemuż więc praw mych nie miałbym dochodzić?
 Demetryusz, śmiało zarzucam mu w oczy,
 Chodził w zaloty do córki Nedara,
 I tak jej serce podbił, że Helena
 Szaleje za nim aż do bałwochwalstwa —
 Za nim, splamionym, niestałym człowiekiem.
Tezeusz. O tem, wyznaję, już słyszałem nieraz,
 I miałem zamiar mówić z Demetryuszem,
 Ale mi z myśli wypadło w natłoku
 Własnych mych zajęć. Pójdźże, Demetryuszu,
 Pójdź, Egeuszu, obaj pójdźcie ze mną.
 Mam dać naukę wam obu sam na sam.
 Ty, piękna Hermio, uzbrój się, byś mogła
 Zgodzić twe chęci z rodzicielską wolą.
 Inaczej, skaże cię ateńskie prawo,
 (W czem żadną miarą ulżyć ci nie zdołam)
 Skaże cię na śmierć lub życie samotne.
 Pójdź, Hipolito! Co dumasz, kochanie?
 Chodź, Demetryuszu, Egeuszu, śpiesz się.
 Chciałbym was użyć w sprawie mych zaślubin,
 Oraz pomówić osobno w przedmiocie,
 Który was samych najbliżej się tyczy.
Egeusz. Chętnie, pokornie, idziemy za tobą.
(Wychodzi Tezeusz, Hipolita, Egeusz, Demetryusz i orszak).
Lyzander. Cóż ci to, luba? Twe lica pobladły!
 Czemże tak nagle zwiędły róże na nich?
Hermia. Snadź brakiem deszczu, lubo je tak łącno
 Mogłabym zrosić burzą oczu moich.
Lyzander. Ach, biedne serce! gdyż, o ilem słyszał,
 Lub czytał kiedy w powiastkach lub dziejach,
 Nigdy pogodnie prawdziwej miłości
 Strumień nie płynął, lecz raz krwi różnica...
Hermia. Wstyd, gdy dostojność sprzęga się z prostactwem!
Lyzander. To struły związek źle dobrane lata.
Hermia. Zgroza, gdy młodość w jarzmie u starości!
Lyzander. To znów w wyborze chybiła rodzina.
Hermia. Piekło, gdy miłość nie sama wybiera.
Lyzander. A jeśli związek miłość skojarzyła,
 Wnet go obległy wojna, śmierć, choroba,
 I było szczęście jako dźwięk chwilowe,
 Jak cień przelotne, jak sen krótkotrwałe,
 Nikłe, jak w czarnej nocy błyskawica,
 Która gwałtownie rozstłoni świat cały,

I zanim człowiek zdąży wyrzec: Patrzcie!
 Paszcze ciemności już onę pożarły.
 Niknie tak ręco wszystko, co się świeci.
Hermia. Jeśli nie inny los wiernych kochanków,
 Widać, że taki wyrok przeznaczenia.
 Więc naszą troskę uzbrójmy w cierpliwość,
 Pewni, że ona przygodą tak zwykłą
 W każdej miłości, jak smutki, westchnienia,
 Sny, łzy, tęsknoty — tklivych serc drużyna.
Lyzander. Wyborna rada. Więc słuchaj mię, Hermio.
 Ma ciotka wdowa, dożywoćnia pani
 Znacznych majątków, a przytem bezdzietna,
 Mieszka mil siedem od Aten. Pocziwa,
 Kocha mię, jakby syna jedynaka.
 Tam, miła Hermio, możemy zawrzeć śluby.
 Tam nas ateńskie prawo nie doścignie
 Swym srogim mieczem. Więc, jeśli mię kochasz,
 Jutrzejszej nocy opuść dom twój skrycie,
 A w gaju milkę od miasta odległym,
 Gdziem cię raz spotkał, kiedyście z Heleną
 Święcili gody majowego ranka,
 Będę cię czekał.
Hermia. Przysięgam, mój drogi,
 Na łuk Kupida, gdy najdzielniej spięty —
 Na jego złotą strzałę — na niewinność
 Śnieżnych gołąbków w Weneri rydwanie —
 Na to, co budzi i wzmagą kochanie —
 Na gniew Dydony, gdy ujrzała nagle,
 Jak nikły zwrotne Eneasza żagle —
 Na wszystkie mężczyzn śluby wiarołomne,
 Bo o niewieścich, mniej licznych, nie wspomnę —
 Przysięgam, jako na miejsce obrane
 Jutrzejszej nocy nieochybnie stanę.
Lyzander. Pomnij na słowo! Patrz, Helena idzie.
(Wchodzi Helena).
Hermia. Piękna Heleno, gdzież cię kroki wiodą?
Helena. Piękna? O nie mów! Twoją to urodą
 Tknięty Demetryusz zwie twych ocz promienie
 Przewodnią gwiazdą, głos miłszym niż pienie
 Skowronka, który pasterza zachwyca,
 Kiedy głóg w pączkach a w ziele pszenica.
 Gdyby się można wdziękiem jak chorobą
 Zarazić, jabym przejęła się tobą,

Me ucho głos twój, me oczy twe oczy,
 Ustaby ustom skradły dźwięk uroczy.
 Ach! gdyby moją była ziemia cała,
 Krom Demetryusza wszystkoby ci dała.
 Naucz mię, naucz, jaką sztuką wzrusza
 Twoja osoba serce Demetryusa?

Hermia. Kocha mię, choć się nań marszczę i zrzędzę.

Helena. Każ wejść w mój uśmiech twych zmarszczeń po-
 [tędze.

Hermia. W miarę mych przekleństw, w nim się miłość
 [wzmaga.

Helena. Mniej możny hołd mój, niż twoja zniewaga.

Hermia. Im silniej gardzę, tem kocha mię bardziej.

Helena. Im silniej kocham, tem srożej mną gardzi.

Hermia. Te jego szały nie z mej winy płyną.

Helena. Wina w twych wdziękach. Oblecz mię tą winą.

Hermia. Pociesz się. Już on nie ujrzy mię wcale.

Jutro z Lyzandrem z tych stron się oddalę.

Nimem Lyzandra pokochała wzajem,

Ateny istnym były dla mnie rajem.

Na cóż mi zda się cała wdzięków siła,

Kiedy mi w piekło luby raj zmieniła?

Lyzander. Oto, Heleno, nasza tajemnica:

Jutrzejszej nocy, kiedy srebrne lica

Febe odbije wśród przejrzystych toni,

I perły rosy na smugi uрони —

Ujść z bram ateńskich, w tej przyjaznej dobie

Zbiegom kochankom, przyrzekliśmy sobie.

Hermia. I w gaju, gdzieśmy często spoczywały

Na miękkim łożu pierwiosnków, i cały

Skarb serc z szczerością jawiły wzajemną,

Luby Lyzander ma się spotkać ze mną.

Tam na Ateny spojrzem raz ostatni.

Pójdziem z obcymi zawrzeć związek bratni.

Módl się, módl za nas. Družko, bądź mi zdrowa.

Niech Demetrysza niebo ci uchowa.

Do jutra, luby. Czekajmy cierpliwie,

Aż nas wzajemny uścisk znów pożywi.

Lyzander. Nie chybie, Hermio.

(*Wychodzi Hermia.*)

Heleno, bądź zdrowa.

Niech twej odpowie cześć Demetryuszowa.

(*Wychodzi.*)

Helena. O jakąż szczęście dzieli nas przestrzeni!

Z urody również mię Ateny cenią,

Jak Hermię. Cóż stąd? Demetryusz inaczej.

Na wdzięk wszem jawny on jeden nie baczy.

On błądzi, wielbiąc Hermię tak szalenie,

Ja, że w nim wszystko za wysoko cenię.

Lecz co jest lichem, podłem, bez znaczenia,

Miłość w dostojne i kształtne przemienienia,

Bo miłość sądzi sercem, nie oczyma,

Stąd też w obrazach Kupid oczu nie ma.

Miłość i wszelki za nic rozum waży,

Skrzydła bez oczu, to pośpiech bez straży.

Toż ją w dziecięcej malują postaci,

Bo nim wybierze, już rozwagę traci.

Jak się na kłamstwo chłopiec w grze zaklina,

Tak wiarotomcą jest miłość-chłopczyną.

Wszak nim Demetryusz ujrział Hermii postać,

Siał gradem przysiąg, że moim chce zostać,

Na zawsze moim. Pod Hermii obliczem

I on sam stopniał, i grad stał się nieczem.

Wnet mu oznajmię, w jakiej się ustroni

Hermia chce ukryć. On za nią pogoni.

Cóż, choć otrzymam szczerę dziękę za to,

Zysk z jednej strony będzie z drugiej stratą.

Lecz tem przynajmniej mą boleść osłodzę,

Że tak w powrocie ujrzę go, jak w drodze.

(*Wychodzi.*)

SCENA II.

Ateny. Izba w chałupie.

(*Pigwa, Spój, Spodek, Dudka, Ryjek i Głodniak.*)

Pigwa. A co, czy już się całe zebrało towarzystwo?

Spodek. Najlepiej ci będzie wezwać ich hurtem, jednego po drugim, według spisu.

Pigwa. Oto lista imienna osób, którym całe Ateny przyznają zdadność do wystąpienia w naszej krotochwilii, przed księciem i księżną, w dzień ich zaślubin, przepraszam, bo w nocy.

Spodek. Naprzód, dobry Pietrze Pigwo, powiedz, o co

idzie w tej sztuce, następnie wymień nazwiska aktorów i tak przystąp do rzeczy.

Pigwa. Otóż, tytuł naszej sztuki jest: Najrzewniejsza komedia i najokropniejsza śmierć Pyrama i Tyzby.

Spodek. Wyborny, ręczę, kawałek, a przytem i śmieszny. Zaczem, dobry Pietrze Pigwo, wymień twych aktorów według listy. Uszykujcie się, mości panowie.

Pigwa. Niech każdy odpowiada, jak zawołam. Mikołaj Spodek, tkacz.

Spodek. Jest. Powiedz, jaka moja rola, a potem dalej.

Pigwa. Ty, Mikołaju Spodku, masz odegrać rolę Pyrama.

Spodek. Co to za Pyram? Czy to jaki kochanek, czy tyran?

Pigwa. Kochanek, który się z miłości zabija w najchlubniejszy sposób.

Spodek. Żeby dobrze tę rolę odegrać, widzę, że się bez teź nie obejdzie. Jeśli ja mam to sprawić, niechże słuchacze strzegą swoich oczu. Poruszę burzę, będę utykał co niemiara. Teraz dalej. Jednak do roli tyrana główny czuję pociąg. Wybornie odegrałbym Herkulesa, albo taką rolę, w którejby wypadło drzeć kota ze skóry i rozbijać wszystko w kawałki.

Podziemny szal

Ryczących skał

Roztrzaska wał

Więziennych bram.

Ty zdala świeć,

Potargaj, zmieć

Głupich park sieć,

Ty Febie sam.

Oto mi wzniosłość! Teraz wymień resztę aktorów. To mi w Herkulesa wienie, w tyrana wienie. Kochanek byłby płacziwszym.

Pigwa. Franek Dudka, miechownik.

Dudka. Jestem, Pietrze Pigwo.

Pigwa. Na ciebie rola Tyzby przypada.

Dudka. Co to za Tyzby, czy jaki błędny rycerz?

Pigwa. Niewiasta, którą Pyram ma kochać.

Dudka. O nie, na uczciwość, nie chcę grać roli kobiecej.

A przecież włos na brodzie już mi się sypać poczyna.

Pigwa. Wszystko to jedno. Będziesz grał w masce i możesz deklamować najpiskliwszym głosem, jak ci się tylko podoba.

Spodek. Wszakżeż i ja skryć twarz potrafię, więc mi dajcie rolę Tyzby. Będę piszczał okropnie cienkim głosem: »Tysne, Tysne — ach, Pyramie, kochanku drogi, twoja Tyzbe droga, twoja droga dziewczica!«

Pigwa. Nie nie, ty musisz być Pyramem, a ty, Dudko, Tyzbą.

Spodek. Zgoda, więc dalej.

Pigwa. Robert Głodniak, krawiec.

Głodniak. Tu, Pietrze Pigwo.

Pigwa. Robercie Głodniaku, ty będziesz matką Tyzby. To masz Ryjek, kotlarz.

Ryjek. Jestem, Pietrze Pigwo.

Pigwa. Ty będziesz ojcem Pyrama, ja zaś ojcem Tyzby. Tobie, Spoju stolarzu, przypada rola Lwa. A tak zdaje się, że sztuka wyśmienicie obsadzona.

Spój. A czy masz rolę Lwa na piśmie? Jeżeli masz, proszę cię o nią, bo mi żmudno idzie nauka.

Pigwa. Będziesz ją mógł improwizować, niema w niej nic, prócz ryku.

Spodek. Pozwólcie mi, niech także i Lwa odegram. Będę tak ryczał, że aż serce urośnie każdemu, co mię posłyszcy. Oj, będę ryczał, że aż sam księżę zawoła: A zarycz raz jeszcze, jeszcze raz mi zarycz.

Pigwa. Stój! jeśliś zbyt przeraźliwie zaryczał, mógłbyś tak księżnę i damy przestraszyć, że poczęłyby piszczeć z trwogi, a wtedy cóżby nasze szyje od powroza uchroniło?

Wszyscy. Powieszonoby nas wszystkich co do nogi, syna każdziutkiej z naszych matek.

Spodek. Prawda, przyjaciele, gdyby się duszę z tych pań wystraszyło, nie stałoby im chyba rozwagi na to, iżby nas skazać na powieszenie. Lecz ja tak mój głos wzmogę, że zaryczę łagodnie, kieby ssąca synogarlica. Jakby jaki słowik wam zaryczę.

Pigwa. Musisz być Pyramem albo niczem. Pyram jest to człowiek miłego oblicza, przystojny mężczyzna, jakiego ledwie zdarzy się spotkać na długim dniu w lecie, najmiluchniejszy, najdosłojniejszy kawaler. Więc koniecznie musisz grać Pyrama.

Spodek. Zgoda, przyjmuję. Ale w jakiejże brodzie będzie wystąpić mi najstosowniej?

Pigwa. W jakiej ci się podoba.

Spodek. Przywdzieję albo brodę słomianego koloru, albo

brudno-pomarańczową, albo jaskrawo-purpurową, albo doskonale żółtą, jak złoto we francuskich czasach.

Pigwa. Tylko że na francuskich czaszkach często ani włoska nie widać. Musiałbyś przeto wystąpić z wytartym czołem. Ale, panowie, oto wasze role. Błagam, obowiązuje was, wymagam, byście się ich nauczyli do jutrzejszej nocy. Macie się zejść ze mną w gaju za pałacem, o milkę od miasta, skoro księżyc zaświeci. Tam odprawimy próbę, bo, gdybyśmy się zebrali w mieście, nie opędzilibyśmy się ciekawym, a tak poszłyby w świat nasze zamysły. Tymczasem przygotowuję spis przyborów, jakich nasza sztuka wymaga. Proszę, nie zróbcie mi zawodu.

Spodek. Przyjdziemy, a będziemy tam mogli jeszcze mężczyźnie i rozwiążesz próbę odegrać. Nie żałujcie trudu nauczyć się doskonale, a teraz bądźcie zdrowi.

Pigwa. Miejszem spotkania będzie dąb książęcy.

Spodek. Dość. Przyjdziem, choćby pioruny trzaskały.
(*Wychodzą*).

AKT DRUGI.

SCENA I.

Gaj w pobliżu Aten.

(*Jedną stroną wchodzi Rusałka, drugą Puk*).

Puk. Witajże, duchu! Dokąd to wędrujesz?

Rusałka. Przez wzgórze, rozłogi,
Przez krzaki, przez głogi,
Przez płoty, ogrody,
I ognie i wody,
Lot mój, lżejszy od promyka,
Prędziej, niż księżyc, pomyka.
Ja z królową elfów chodzę
Skrapiać kępki po rozłozde.
Patrz, pierwiosnki, dworzan roty —
Cętki zdobią strój ich złoty,
To rubiny, w których łonie,
Z daru elfów, wonność płonie.

Tym jej dworzanom, skoro rosę zbiorę,
Każdemu perłę na uchu zawieszę.

Bądź zdrow, cudaku. Muszę zdążyć w porę.
Wnet tu królowa zwoła elfów rzeszę.

Puk. Dziś tu król nocne wyprawia igrzysko.
Strzeż, by Tytania nie weszła za blisko,
Gdyż on w straszliwym trwa ku niej zawzięciu,
Że wykradzione indyjskiemu księciu
Śliczne pacholę skryła w swe orszaki,
Nie służył u niej jeszcze pieścioch taki.
Oberon, chciwy i w zazdrości skory,
Chce go mieć giermkim do wycieczek w bory,
Lecz ona gwałtem odmawia chłopczyń,
Stroi go kwieciem, jakby skarb jedyny.
Stąd, gdy się zejdą w gaju, lub na łące,
Przy czystym źródle, gdy skrzą gwiazdy drżące,
Taki spór wiodą, że elfy co raźniej
W kubki żołądne kryją się z bojaźni.

Rusałka. Jeżeli mię postać i głos twój nie łudzi,
Tyś figlarz, psotnik, tak zwany u ludzi
Robin Dobry-druh. Powiedz, czy się mylę?
Ty to wieśniaczkom płatasz figlów tyle,
Skradasz śmietankę, w żarnach stroisz harce,
Masła wyrobić zdyszanej mleczarce,
Drożdżom musować nie pozwalasz w trunku.
Zwiodłszy — drwisz z nocnych wędrowców frasunku.
Kto Hobgoblinem, lubym Pukiem zwie cię,
Temu usłużysz, dasz szczęście na świecie.
Czy zgadłam?

Puk. Zgadłaś. Jam to żartobliwy
Nocy wędrowiec. Ja wyprawiam dziwy,
Ja bawię króla, daję śmiechu hasło,
Gdy, rżąc jak żrebię, zwiodę kłacz opasła
Na tłustym bobie. Czasem znów mię plotka
Na dnie swej szklanki skrytego napotka
W suszonym jabłku, a gdy łyka duszkiem,
Nagle ją w usta utnę tem jabłuszkciem,
I zwiędłe łono zleję piwa strugą.
Gdy mądra ciocia, prawiąc powieść długą,
Ku mnie, jak w stołek, gniew swe ciężkie brzemię,
Umknę się z pod niej, baba brzdęk na ziemię,
Krzłusi się, kaszle, krzyczy: »Czort, nie stołek!«
Pęka od śmiechu grono przyjaciółek,

Z uciechy parska, gzi się i zaklina,
 Że nigdy miłsza nie przeszła godzina.
 Otóż Oberon. Uchodź. Ja nie mogę.
Rusalka. A tu Tytania. Pocóż wszedł nam w drogę!

SCENA II.

(Jedną stroną wchodzi Oberon ze swym orszakiem, a drugą Tytania ze swoim).

Oberon. Dumna Tytanio, zły cię przywiódł księżyc.

Tytania. Co, zazdrośniku? Uchodźmy stąd, elfy.

Obce mi jego łoże i pozybie.

Oberon. Wstrzymaj się, płocha. Nie jestem twym mężem?

Tytania. Więc jam twą żoną, lecz mi czas pamiętny,

Gdyś z czarodziejskiej wymknął się krainy,

Aby dnie całe w postaci Koryna

Grać na fujarce i opiewać miłość

Lubej Filidzie. I teraz tak nagle

Z najgłębszej w Indyach przybywasz ustroni,

Bo twa junacka, butna Amazonka,

Miłość w szyszaku, kochanka w pancerzu,

Ma Tezeusza poślubić. Więc śpieszysz

Owiać ich łoże szczęściem i rozkoszą.

Oberon. Jak śmiesz, Tytanio, wyrzucać mi względy

U Hipolity, kiedy wiesz, żem świadom

Twojej miłości ku Tezeuszowi:

Czyżeś go w nocnym nie odwiedła mroku

Od Perygenii, którą podszedł niecnie?

Czyżeś nie była powodem, że zламаł

Wiarę Aryadnie, Egli, Antyopie?

Tytania. O, to są tylko fałszerstwa zazdrości.

Zejść się nie mogę od początku lata

Na wzgórzu, łące, w gaju lub na błoni,

Gdzie zdrój wśród głązów, strumyk szemrze w trzcinie,

Lub na piaszczystym brzegowisku morza —

Zejść się na tańce przy wiatrów poświście,

Byś wnet swarami nie zmacił nam uciech.

I stąd to wiatry, że darmo nam gwizdzą,

Jakby przez zemstę wysłały z wód morskich

Mgły zaraźliwe, które, spadłszy na dół,

Najlichszą rzekę wzmogły w taką pychę,

Że występuje poza więzy brzegów.

Próżno wół jarzmo, rolnik pług swój dźwiga,

Znój ich daremny. Zgniło zboże na pniu,

Zanim ktoś młody przystroił się w brodę.

Pustką hurt stoi na zalanym łąnie.

Pomór na bydło ścierwem tuczy wrony.

Błotem zaległy sielskich zabaw smugi.

Któż na trawnikach dziś rozeznac zdoła

Od stóp odwykłe skrety labiryntów?

Głód ludzi gniecie. Zda się, że już zima,

Lecz w nocy nie brzmi ni hymn, ni kolenda.

Przeto i księżyc, władca wód i toni,

Błady ze złości, tnie deszczem powietrze,

Stąd pełno wszędzie reumatycznych chorób.

W takim zamęcie wszystkie pory roku

Zmieniły kolej. Na młodziuchne łono

Szkarłatnej róży pada mróz zgrzybiały,

A stara zima łeb swój lodowaty

Stroi, jak na śmiech, wonnym wiankiem kraśnych

Czerwcowych pączków. Tak więc wiosna, lato,

Brzemienna jesień, gniewna zima, zwykle

Mieniają szaty. Świat zdumion nie może

Jednej od drugiej rozeznac po plonach.

Skądżeż to nieszczęść zrodziło się plemię,

Jeśli nie z naszych niesnasek i sporów?

W nas ma rodziców, w nas wzór i początek.

Oberon. Napraw więc, napraw. Zmiana w twojej mocy.

Pocóż Tytania dręczy Oberona?

Wszak tylko żądam, byś mi drobne dziecię

Dała na pazia.

Tytania. Nie kuś się napróżno.

I twem królestwem nie kupisz go u mnie.

Moją kapłanką była jego matka.

Nieraz noc całą wśród indyjskich woni

Gwarzyła ze mną. To znów, gdyśmy siadły

Na żółtych piaskach Neptuna, skąd kupcy

W świat odpływali, śmiech nas imał pusty,

Skoro się zagle wzdymać poczynały,

Swawolnym wiatrem zachodząc w brzemiennosc,

Co ona chwiejnym podrzeźniała biegiem,

(W łonie nosiła wtedy me pachole)

I ślicznie niby żeglując po ziemi,

Zbierała fraszki i znosiła do mnie

Jakby z podróży bogatej w towary.
Śmiertelna, rodząc to dziecko, umarła,
Przez wzgląd na matkę, wychowuję syna.
Przez pamięć na nią, z nim się nie rozłączę.

Oberon. Długo zabawisz w tej leśnej dolinie?

Tytania. Aż Tezeusza wesele przeminie.

Gdy chcesz bez zwady tańczyć w naszych kołach,
Być świadkiem zabaw przy księżycu, zostań.
Gdy nie, ja ciebie, a ty mnie unikaj.

Oberon. Daj mi to dziecko, a zostanę z tobą.

Tytania. Ni za twe państwo. Elfy, dalej w nogi!

Gdybym została, wszcząłby się spór srogi.

(Wychodzi Tytania ze swym orszakiem).

Oberon. Idź więc w twą drogę. Nie wyjdiesz z tych
[gajów,

Aż cię udręcę za tę obelżywość.
Mój luby Puku, zbliż się. Wszakże pomnisz,
Jak raz ze szczytu przylądka słuchałem
Syreny, która na grzbiecie delfina
Nuciła głosem tak słodkim i dźwięcznym,
Że gniewne morze korzyło się przed nią,
A gwiazdy w szale z sfer swych przybiegały,
By się jej tonom przysłuchać.

Puk. Pamiętam.

Oberon. Wtędym to widział, choć tyś widzieć nie mógł,

Jak zbrojny Kupid, biegnąc między ziemią
A mdłym księżycem, wziął na cel Westalkę,
Błyszczącą wdziękiem na tronie zachodu,
I grot miłości tak dzielnie pchnął z łuku,
Jakby chciał przeszyć wraz serc sto tysięcy.
Lecz mglisty księżyc zgasił płomienistą
Strzałę Kupida chłodem swych promieni,
I przeszła dalej kapłanka królowa,
Wolna miłości, w dziewiczym spokoju.
A jam uważał, gdzie padł grot Kupida:
Padł na kwiat drobny, wprzód jak mleko biały,
Teraz miłości raną purpurowy —
Dziewice zowią te kwiatki bratkami.
Znajdźże mi taki, jam ci go raz wskazał.
Sok zeń, spuszczonej na śpiące powieki
Mężczyzn czy niewiast, każe im miłować
Twór, który najpierw ujrzą po ocknieniu.

Znajdź mi to ziółko, i wprzód do mnie powróć,
Nim jedną miłą upłynie lewiatan.

Puk. Dokoła ziemię tym lotem opaszę
W czterdzieści minut.

(Puk wychodzi).

Oberon. Skoro sok posiędę,

Będę czatował, gdy usnie Tytania,
I tym balsamem namaszczę jej oczy.
Istotę, którą ujrzy po ocknieniu,
(Lwa czy niedźwiedzia, wilka czy buhaja,
Natrętną małpę czy też koczkodana)
Będzie ściagała rozkochaną duszą.
A zanim zdejmę ten urok z jej oka,
(Który zdjąć innem łąco mogę ziołem)
Zmuszę, że odda mi swojego pazia.
Lecz któż nadchodzi? Wszakżem niewidzialny,
Więc ich tajemną podsłucham rozmowę.
(Wchodzi Demetryusz a za nim Helena).

Demetryusz. Nie kocham ciebie, pocóż więc mię ścigasz?

Gdzież jest Lyzander, gdzież jest piękna Hermia?

Ta mnie odgania, tamtego ja zgonię.

Mówiłaś, że się w tym gaju ukryli.

Otom tu przyszedł, lecz wśród drzew jak drzewo

Bezładny stoję, bom Hermii nie spotkał.

Prez, prez mi z oczu, nie ścigaj mię dłużej.

Helena. Czemuż mię ciągniesz, nieczuły magnesie,

Lecz nie żelazo ciągniesz, gdyż me serce

Jak stal rzetelne. Zniszcz twą moc pociągu,

A ja tę stracę, co mię prze ku tobie.

Demetryusz. Czyż cię uwodzę? zowież cię nadobną?

Czyż ci surowej wręcz nie mówię prawdy,

Że cię nie kocham i kochać nie mogę?

Helena. I przeto właśnie kocham cię tem mocniej,

Bo ja twym wyżłem. Im srożej mię smagasz,

Tem ci się korniej łąszę, Demetryuszu.

A więc się ze mną obchodź, jakby z wyżłem;

Gardź, bij, zaniedbuj, zgub mię, ale pozwól,

Chociaż niegodnej, pozwól biedz za sobą.

Mogęż w twych względach lichtszej żądać miary,

A i tę sobie za łaskę poczytam,

Jeżeli raczysz przyjąć mię za pieska.

Demetryusz. Mej nienawiści nadto nie doświadczaj,

Bo aż mi słabo, gdy patrzę na ciebie.

Helena. Mnie słabo, kiedy na ciebie nie patrzę.
Demetryusz. Na szwank zbyt ciężki stawiasz twą niewin-
 [ność,

Opuszczasz miasto, oddajesz się w ręce
 Bezbronna temu, który cię nie kocha.
 Powierzasz łącznym sposobnościom nocy
 I złej pokusie samotnego miejsca
 Klejnot dziewictwa, droższy nad skarb wszelki.

Helena. W tej cnocie moja tarcza i przywilej.
 Gdy twarz twą widzę, dla mnie noc dniem białym,
 I przeto mniemam, żem jest tu nie w nocy.
 Nie brak mi światła towarzystw w tym gaju,
 Bo za świat cały ty jeden mi starczysz.
 Któż więc powiedzieć może, żem samotną,
 Jeśli tu na mnie świat cały pogląda.

Demetryusz. Ucieknę od cię, skryję się w urwiska,
 Dzikim potworom na łup cię zostawię.

Helena. W najdzikszym serce nie takie, jak twoje.
 Gdy chcesz, uciekaj i zmieni się powieść:
 Apollo zmyka, Dafne szczuje za nim,
 Gołąb jastrzębia, trwożna łania pędzi
 Schwycić tygrysa. Daremna gonitwa,
 Gdy bojaźń ściga a męstwo ucieka.

Demetryusz. Nie wstrzymasz mię tu twemi rozprawami.

Daj mi, daj odejść. Jeśli pójdziesz za mną,
 Wierz mi, w tym gaju krzywdę ci wyrządzą.

Helena. Ty mię w świątyni, w mieście i na polu
 Jednakże krzywdzisz. Wstydź się, Demetryuszu!
 Krzywdząc mię, całą pieć naszą znieważasz.
 O miłość walczyć — wam, nie nam przystało,
 Nieść hołdy waszą, zbierać naszą chwałę.
 Pójdę za tobą i piekło przeświadcę
 Na niebo, ginąc na tak drogiej ręce.

(Wychodzi Demetryusz i Helena).

Oberon. Nie troszcz się, Nimfo. W tym gaju niezwłocznie
 Ty go unikać, on cię ścigać pocznie.

(Wchodzi Puk).

Znalazłeś kwiatek? Witaj mi, wędrowcze.

Puk. Niosę go tobie.

Oberon. Podaj mi go, proszę.
 Znam smugę dzikim tymiankiem usłaną,
 Strojną w stokrótek i fijołków wiano,
 Gdzie wonny jaśmin i róża kosmata

Z powojem w górze jakby w dach się splata.
 Tytania w nocy sypia pod tą strzechą,
 Zmorzona w kwieciech tańcem i uciechą.
 Tam złotoluski wąż z grzbietu wylenia
 W sam raz gotowe dla elfów odzienia.
 Tym tu balsamem namaszczyć jej oczy.
 Wnet ją szął dzikich urojeń zamroczy.
 Weź kropel kilka, przeszkuj te knieje,
 W nich za wzgardliwym młodzieńcem szaleje
 Ateńskie dziewczę. Namaść mu źrenice.
 Niech po ocknieniu najpierw tę dziewczicę
 Ujrzy jedyną. A który to młodzian,
 Poznasz z ateńskich szat, jakimi odzian.
 Spraw to starannie. W miłosnej pogoni
 Niech młodzian błaga, a dziewczę niech stroni.
 Wróć, nim zapieje pierwszy kur w zaranie.
Puk. Sprawii to sługa, nie lękaj się, panie.

SCENA III.

Inna część lasu.

(Wchodzi Tytania z orszakiem).

Tytania. Tańczcie, śpiewajcie, a potem niech w trzecią
 Częstkę minuty jedne z was pośpieszą
 Wygnieść robaczki z pączków róż piżmowych,
 Drugie niech w boju nietoperzom wydrą
 Skórzane skrzydła na strój elfom drobnym,
 Inne wrzaskliwą niech odpędzą sowę,
 Co w nocy huką z podziwu nad nami.
 W pieśni mię uspiwszy, idźcie, a ja spocznę.

PIEŚŃ.

Pierwsza rusalka. Precz, z dwudzielnem żądtem węże!

Niech jeź, co się w kolcach lęże,
 Niech padalec i niech żmija
 Łoże królowej omija.

Chór. Wszystkich dźwięków zbierz powaby,
 Filomelo, w twe lullaby.
 Lulla, lulla, lullaby,
 Lulla, lulla, lullaby,
 Żaden urok, czar, ni zdrada,

Niech na oko jej nie pada,
Gdy ją snu zwiążą powaby.
Więc na dobranoc lullaby.

Druga rusałka. Precz, długonogie pająki,
Precz, rodzie tkaczów włóknisty!
Czarne żuki, precz z tej łąki,
Precz, ślimaki, precz stąd, glisty!

Chór. Wszystkich dźwięków zbierz powaby,
Filomelo, w twe lullaby,
Lulla, lulla, lullaby,
Lulla, lulla, lullaby.
Żaden urok, czar, ni zdrada,
Niech na oko jej nie pada,
Gdy ją snu zwiążą powaby.
Więc na dobranoc lullaby.

Druga rusałka. Idźcie! Już się do snu waży.
Niech jedna stanie na straży.
(Rusałki wychodzą. Tytania zasypia.)
(Wchodzi Oberon.)

Oberon. Wnet swą moc ten sok wykona.
(Oberon wyciska sok z kwiatu na powieki Tytanii.)
To, co ujrzyś przebudzona,
Kochaj, błagaj, tul do łona.
Żbik, ryś, niedźwiedź, lampart, czy to
Dzik ze skórą w kolce krytą,
Cokolwiek ci w oczach stanie,
Gdy się ockniesz, twe kochanie.
Ujrzyj potwór niespodzianie.
(Wchodzi Lyzander i Hermia.)

Lyzander. Omdlałaś, luba, błądząc po tym lesie.
Wprawdziem zapomniat, jak w nim drogi wiodą.
Jeśli chcesz, spoczniem, zanim nam przyniesie
Jutrzenka ulgę z miłą dnia swobodą.

Hermia. Zgoda. Znajdź sobie na uboczu łożo,
Gdyż ja mą głowę na tej smudze złożę.

Lyzander. Jedna darń starczy, bo chociaż dwa łona,
Jedno w nich serce i wierność złączona.

Hermia. O nie, Lyzandrze. Mógłbyś w pośmiewisko
Podać mą skromność. Nie kładź się tak blisko.

Lyzander. Z niewinnej prośby nie wywódź urazy,
Miłością tłómacz miłości wyrazy.
Ja ci to tylko powiedzieć pragnąłem,
Że jedność tworzą serca zrosłe społem.

Na łona, skute w przysięgi ogniwa,
Szata wierności niepodzielnie spływa.
Przeto mię udarz równym w łożu dźwięłem.
Gdy tak myślałem, wierz mi, nie zmyślałem.

Hermia. Ślicznie Lyzander grać na słówkach umie.
Nie! — prędzej w sobie wszelki wstyd przytłumię,
Niż cię o kłamstwo posadzę w mej dumie;
Lecz przez twą miłość i przez dbałość o mnie,
Położ się dalej... Tak, po ludzku, skromnie.
Jaką przystojność dzieli się granicą
Między cnotliwym chłopcem a dziewczicą,
Taką się odsuń. Dobranoc, kochanie.
Dotrwaj w miłości, póki życia stanie.

Lyzander. Amen, ach! amen twej prośbie dołożę.
Ma prawość chyba z życiem skonać może.
Niech sen twe oko całym tknie spokojem.

Hermia. Oby połowa spoczęła na twojem.
(Usypiają. Wchodzi Puk.)

Puk. Cały gaj przebiegłszy cwałem,
Ateńczyka nie zdybałem,
By tym kwiatkiem w nogę oku
Sprawdzić potęgę uroku.
Noc i cisza!... Któż tu leży?
Młodzian... Ateńczyk z odzieży.
To on właśnie, co tak srogo
Dręczy kochankę niebogą.
A tu ona, szczęsna prawie
Śpi na wilgotnej murawie.
Luba duszko, śpisz, lecz zdala
Od nieczułego brutala.
Przekoro, składam w twem oku
Całą potęgę uroku.
Ockniesz się, jak inny człowiek.
Miłość spłoszy sen z twych powiek.
Zbudź się, gdy ja w inną stronę
Za Oberonem powionę.

(Wychodzi.)

(Wchodzi Demetryusz, za nim szybko wbiega Helena.)

Helena. Stój, choćbyś zabić miał mię tu nikiemennie.
Demetryusz. Precz, precz mi z oczu, odczep się ode mnie!
Helena. Chcesz po ciemku zostawić mię w drodze?
Demetryusz. Gdy się stąd ruszysz, na śmierć cię ugodzę.
(Demetryusz wychodzi.)

Helena. Ach, już mym piersiom brak tchu w tej pogoni!
 Żadna, jak widzę, prośba go nie skłoni.
 Gdziekolwiek jesteś, o Hermio szczęśliwa,
 Jasność i szczęście twe oczy opływa.
 Czyż tzy im dają taki blask? Wszak moje
 Słonemi łzami częściej od niej poję.
 Nie, nie, jam brzydsza, niż niedźwiedź. Z daleka,
 Ledwie mię zoczy, każdy zwierz ucieka.
 Więc się nie dziwię, że Demetryusz z trwogi,
 Jak przed potworem, uchodzi z mej drogi.
 Jakiemże zradnym zwierciadłem zwiedziona,
 Śmiałam się mienić tak piękną, jak ona?
 Lecz któż tu leży? Lyzander! Związany
 Czy snem, czy śmiercią? Lecz ni krwi, ni rany.
 Jeśliś żyw, zbudź się. Słowo przemów jeno.

Lyzander. I w ogień pójde dla ciebie, Heleno.
 Jakimże cudem, aniele przezroczy,
 Na wskrós w twem sercu nurtują me oczy.
 Gdzież jest Demetryusz? Słowo nieszlachetne!
 Niecne to imię mym mieczem rozetnę.

Helena. Wstydz się, Lyzandrze. Wstrzymaj się w zapędzie,
 On kocha Hermię, lecz jej nie posiędzie,
 Gdyż ona twoją. Więc się raduj szczerze.

Lyzander. Co? Radość z Hermią? Owszem, żal mię bierze
 Każdej minuty, com jej dał w ofierze.
 Dziś dla Heleny, nie dla Hermii płonę,
 Któż z gołębicą śmiałby równać wronę?
 Rozum, co wołą kieruje człowieka,
 Tobie hołduje, Hermii się wyrzeka.
 Każda rzecz, rosnąc, dojrzewa w swej porze.
 Młodzian, jam dotąd chwiał się na mym torze,
 Lecz gdy dziś granic mądrości dochodzę,
 Już nad mą wołą rozum objął wodze
 I każe czytać w twoich ocz potędzie,
 Jakby w miłości najbogatszej księdze.

Helena. Mnież to spotyka to naigrzanie?
 Czemże u ciebie zasłużyłam na nie?
 Nie dośćże, nie dość widzisz cierpień we mnie,
 Że Demetryusza błagam nadaremnie
 O jeden uśmiech, o jedno spojrzenie,
 Jeszcze śmiesz biednej urągać Helenie?
 Krzywdzisz mię, krzywdzisz, mówię ci otwarcie,
 Cześć mi ślubując w tak zelżywym żarcie.

Bądź zdrów. Myślałam, wyznać ci to muszę,
 Że masz zacniejszą, litościwszą duszę.
 Maż dziewczę, które jeden z was uciska,
 Być stąd drugiemu celem pośmiewiska?
 (*Wychodzi.*)

Lyzander. Nie widzi Hermii. Hermio, śpij tu błogo,
 Byleś się odtąd mijała z mą drogą.
 Bo jako przesyć choć najśłodszą rzeczą
 Rodzi obmierzłość — jak ludzie złorzeczą
 Błędom herezyi, która ich uwiodła,
 Skoro powrócą znów pod prawdy godła —
 Tak ty, herezyo moja i przesyć,
 Bądź mi obmierzłą. Dziś całe me życie,
 Każda ma władza niech ku temu zmierza,
 Bym, czcząc Helenę, wzrósł na jej rycerza.

Hermia (*zrywając się ze snu*). Ratuj, Lyzandrze! Śpiesz na
 [gwałt z obroną,
 Wyrwij, zduś węża, co się wżarł w me łono.
 Ratuj mię. Może sen tylko mię drażni!
 Lecz patrz, Lyzandrze, cała drżę z bojaźni.
 Straszny wąż zdał się pożerać mi serce,
 A tyś z uśmiechem patrzył na mordercę.
 Lyzandrze, gdzieś jest? Czy się żartem chowa,
 Czy też nie słyszy? Ni dźwięku, ni słowa?
 Niestety, gdzieś jest? Wołamże daremnie?
 Przemów, patrz, mdleję — dech się zaparł we mnie.
 Nic? Nic? Więc odszedł. Strach przejmuję duszę,
 Wnet lub cię dognać, albo umrzeć muszę.
 (*Wychodzi.*)

AKT TRZECI.

SCENA I.

Las.

(*Tytania leży uśpiona. Wchodzi Pigwa, Spój, Spodek,
 Dudka, Ryjek, Głodniak.*)

Spodek. Czyśmy się już wszyscy zebrali?
Pigwa. Wszyscy co do nogi. Co za dziwnie wyborne tu
 miejsce na naszą próbę! Ten trawnik będzie naszą

sceną, ta zarośl ciernista naszą garderobą. Odegrajmy więc sztukę jakby przed samym księciem.

Spodek. Pietrze Pigwo!

Pigwa. Co mówisz, ty junacki Spodku?

Spodek. Są rzeczy w tej komedyi Pyrama i Tyzby, które się nigdy podobać nie mogą. Najpierw, Pyram musi dobyć miecza, by się zabić, czego kobiety nie zniosą. Co mówisz na to?

Ryjek. Na uczciwość, punkt to niebezpieczny.

Głodniak. Mnie się zdaje, że będziem musieli przełożyć to zabójstwo aż poza koniec całego przedstawienia.

Spodek. Bynajmniej. Mam sposób, który wszystkiemu zaradzi. Napisz mi prolog, a w nim daj do zrozumienia, że nasze miecze nikomu szkody nie wyrządzą i że Pyram nie zabija się rzeczywiście; a dla większej jeszcze pewności powiedz im, że ja Pyram nie jestem Pyram, ale tkacz Spodek. To ich do reszty uspokoi.

Pigwa. Dobrze, znajdzie się taki prolog, a będzie napisamy w ośmiu i sześciu zgłoskowych wierszach.

Spodek. Co ci szkodzi, dodaj dwie jeszcze i niech będzie w ośmiu i ośmiu.

Ryjek. Czy też kobiety lwa się nie przelękną?

Głodniak. Ręczę wam, że się strasznie tego boją.

Spodek. Panowie, powinniście to dobrze wprzód rozważyć. Wprowadzać, niech Bóg broni, lwa między kobiety, to rzecz najokropniejsza, gdyż niemasz straszliwszego ptaszka jak lew, kiedy żywy. Dobrze więc baczmy na to.

Ryjek. A zatem niech inny prolog powie, że to nie lew prawdziwy.

Spodek. Nie dość na tem, trzeba wymienić jego nazwisko i niech pół jego twarzy wyziera z pod lwiej grzywy. On zaś sam niech doda, mówiąc tak, albo w podobnym nonsense: Panie, lub piękne panie, jabym was błagał, abyście się nie trwożyły i nie drżały. Stawiam moje życie za wasze. Jeślibyście osądziły, że tu jak lew przychodzę, już byłoby po mnie. Nie, ja żadną podobną poczwara nie jestem. Jam człowiek, jak inni ludzie. I wtedy zaprawdę niech wyjawi swe nazwisko i powie im po prostu, że jest Spój, stolarz.

Pigwa. Zgoda, niech i tak będzie, lecz są jeszcze dwie wielkie trudności. Jakże wprowadzić księżyc do pokoju,

bo wiecie dobrze, że Pyram i Tyzbe mają się spotkać przy świetle księżycy.

Spój. Czy księżyc będzie świecił w nocy na naszą sztukę przeznaczoną?

Spodek. Do kalendarza, do kalendarza! Zobaczyć w almanaku, znaleźć światło księżycy, znaleźć światło księżycy!

Pigwa. Uspokójcie się; będzie to noc księżycowa.

Spodek. Więc zostawić otworem jedną połąć wielkiego okna w pokoju, w którym będziem grali, a księżyc może świecić przez nią.

Pigwa. Dobrze, albo też który z was może przysiąc z krzakiem chróstu i latarką i oświadczyć, że ma przeobrażać czy wyobrażać osobę księżycy. Ale oto druga trudność: musim mieć mur w wielkim pokoju, bo, jak mówi powieść, Pyram i Tyzbe przez szparę w murze rozmawiali.

Spój. O, co do muru, to nigdy go wprowadzić tam nie potraficie. Cóż na to mówisz, Spodku?

Spodek. Darmo, więc któryś z was musi mur przedstawiać. Niech się omaże wapnem, albo gliną, albo tynkiem i będzie się zdawało, że jest murem. Niech wreszcie palce rozemknie tak, a przez taką szparę Pyram i Tyzbe będą sobie szeptali.

Pigwa. Jeśli to się uda, wtedy już wszystko dobrze pójdzie. Teraz niech usiedzie każdy syn swojej matki i wyrecytuje swą rolę. Pyramie, ty zaczynasz. Skoro skończysz swą mowę, odejdziesz w te krzaki i tak każdy następnie wedle swej roli.

Puk. Cóż to za ciury tu się popisują?

I przy kolebce królowej tak blisko?

Co? Grają sztukę? Będę więc słuchaczem,

Może aktorem, jeśli powód znajde.

Pigwa. Mów, mów, Pyramie. Tyzbe, wystąp naprzód.

Pyram. Jak kwiat cuchnący wonią...

Pigwa. Tchnący, jak kwiat tchnący.

Pyram. Jako kwiat tchnący wonią, tak Tyzbe Pyrama

Owiewa swym oddechem, Tyzbe droga tyle!

Ale, słuchaj, głos jakiś! Ach, zostań tu sama,

A ja się znowu tobie ukazę za chwilę.

(Wychodzi).

Puk (na str.). Nigdy Pyrama większy nie grał cudak.

(Wychodzi).

Tyzbe. Mnież teraz mówić wypada?

Pigwa. Już ciż tobie. Trzeba ci bowiem zrozumieć, iż on wyszedł, żeby zobaczyć zgiełk, który usłyszał, i zaraz winien powrócić.

Tyzbe. Promienisty Pyramie, jako lilia biała,
Kraśny, jak na przepysznym cierniu pączek róży,
Najszumniejszy młokosie, Żydzie okazały,
Wierny, jak rumak, który nigdy się nie nuży,
Czekać cię tęsknie będę na Nygusa grobie.

Pigwa. Na Ninusa grobie, człowieku. Ale tego jeszcze nie powinienes mówić. Tym ostatnim wierszem odpowiesz dopiero, jak Pyram znowu zagada. Repetujesz od razu całą rolę, odpowiadasz, nim cię jeszcze zapytano. Pyramie, wejdz. Kolej twoja już przeszła. Stanęliśmy na wyrazach: nigdy się nie nuży.

(Wraca Puk, za nim Spodek z osłą głową).

Tyzbe. Wierny, jak rumak, który nigdy się nie nuży.

Pyram. Gdybym był pięknym, Tyzbe, to tylko dla ciebie.

Pigwa. O strach, o dziwo! Czary padły na nas.

Błagam was, bracia, uciekajmy! Gwałtu!

(Uciekają).

Puk. Puk was popędzi i w kółko was zagna

Na ciernie, głogi, przez knieje i bagna.

Będę psem, koniem, niedźwiedziem bez głowy,

Dzikiem lub ogniem i sprawię wam łowy,

Rżąc, skomląc, rycząc, kwicząc, paląc z góry,

Jak koń, pies, niedźwiedź, dzik i ogień wtóry.

Spodek. Czegoż oni uciekają? Chcieliby tą podłą sztuczką napędzić mi strachu.

(Wchodzi Ryjek).

Ryjek. Ach! Spodku, jakżeś ty przemieniony! Cóż to ja widzę na twoim karku?

Spodek. Co widzisz? Chyba twą własną osłą głowę, wszak prawda?

(Ryjek wychodzi. Pigwa wraca).

Pigwa. Niech cię Bóg strzeże, Spodku. Tyś przemieniony.

(Wychodzi).

Spodek. Teraz rozumiem ich niecne figle. Chcą mię zrobić osłem, przestraszyć, jeśli im się uda. Lecz się z tego miejsca nie ruszę, niech sobie dokazują, co chcą. Będę się tu przechadzał w tę i ową stronę, będę śpiewał sobie, aby się przekonali, że się niczego nie lękam.

(Śpiewa).

Z wyłaczanym dziobem kos,
Pierzem czarnej barwy wózr,
Drozd, co ma tak dźwięczny głos,
Królik słynny z drobnych piór.

Tytania *(budząc się)*. Jakż mię aniół z łoża kwiatów budzi?

Spodek *(śpiewa)*. Czyżyk, wróbel, skowronek,
Pstra kukułka, co drwić śmie,
Rozumie ją małżonek,
A nie może odrzec: nie.

I w istocie, nie miałby ten rozum, coby chciał przegadać tak głupiego ptaka. Któżby jej chciał zadawać kłamstwo, choćby i wiecznie powtarzała: Kuku.

Tytania. Ach, śpiewaj jeszcze, piękny śmiertelniku.

Me ucho wielce twą pieśń polubiło,

A z twą postacią sprzęgło się me oko.

Tak mię twej cnoty wzrusza siła cała,

Żem cię już w pierwszej chwili pokochała.

Spodek. O ile mi się zdaje, łaskawa pani, rozum twój nie znajdzie w tem dostatecznego powodu, chociaż, mówiąc prawdę, rozum i miłość rzadko chodzą w parze za naszych czasów. Tem większa szkoda, że jacy poczciwi sąsiedzi nie pogodzą ich nawzajem. Umiem ja żarty prawić, gdy się pora zdarzy.

Tytania. Widzę, żeś równie mądry jak nadobny.

Spodek. Ani jedno, ani drugie. Lecz gdybym miał dość rozumu, by się wydobyć z tego lasu, toby mi starczył przynajmniej na własną potrzebę.

Tytania. Niech cię myśl żadna za ten las nie niesie.

Czy chcesz, czy nie chcesz, zostaniesz w tym lesie.

Jam duchem, który wzniosłym rodem słynie.

Wieczne się lato święci w mej dziedzinie.

Kocham cię, przeto pójdz ze mną, mój miły:

Moje rusalki będą ci służyły.

One ci w morzu znajdą perły na dnie,

Śpiewać ci będą, gdy cię sen owładnie.

Ma moc śmiertelną z ciebie ciężkość zetrze,

Byś, jak duch, zdołał wzlatywać w powietrze.

Ćmo, Pajęczynko, Groszku i Gorczyczko!

(Wchodzą cztery rusalki).

Pierwsza. Jestem.

Druga. Ja także.

Trzecia. I ja.

Czwarta. I ja jestem.

Wszystkie. Gdzież biecć mamy?

Tytania. Rąco, uprzejmie służcie temu panu,

Niech go wasz taniec i skoki wesela.

Karmcie go morwą, jeżyną, morelą,

Zieloną figą, modrem winogronem

I skrętej pszczołki miodopłynnym plonem.

Z jej nóg woskowych pochodnia skręcona

I w świętojańskim robaczku zatłona

Niech kochankowi do łoża przyświeca.

Senne mu oko chrońcie od księżycy

Malownem skrzydeł motyli wachlarzem.

Korzcie się, elfy, przed waszym mocarzem.

Pierwsza rusałka. Cześć ci, śmiertelny, cześć!

Druga.

Cześć ci!

Trzecia.

Cześć ci!

Czwarta.

Cześć!

Spodek. Z całego serca dziękuję wam, dostojne panie.

Błagam, jakież imię twojej dostojności?

Pajęczynka. Pajęczynka.

Spodek. Proszę cię o bliższą znajomość, dobra pani Pajęczynko. Gdy się skałczę w palec, śmiało się do twej usługi odwołam. A twoje imię, poczcwy szlachcicu?

Groszek. Groszek.

Spodek. Pokornie upraszam, racz mię polecicć pani Łupinie, twej matce, i panu Strąckowi, twemu ojcu. Dobry panie Groszku, i z tobą będę się starał bliższą zawiązać znajomość. A twoja godność, jeśli śmiałbym się zapytać?

Gorcyczka. Gorcyczka.

Spodek. Dobra pani Gorcyczko, znam dobrze twoją cierpliwość. Ten nielitościwy olbrzym, pośladek wołowy, pożarł niejedno dziecię twego rodu. Wierz mi, rodzina twoja niemało już mi łez z oczu wycisnęła. I z tobą radbym bliżej się poznać, dobra pani Gorcyczko.

Tytania. Strzeżcie go, wiedźcie wraz do mej altany.

Zda mi się księżyc w krąg łzami wezbrany.

Gdy księżyc płacze, płacze każde kwiecie,

Że jakaś czystość cierpi gwałt na świecie.

Idąc z mym lubym, usta mu zwiążecie.

(Wychodzą).

SCENA II.

Inna część lasu.

(Wchodzi Oberon).

Oberon. Jeśli Tytania już się ze snu wzniosła, Ciekawym, co też najpierw obaczyła, I z czem ją zwiąże nieprzeparta siła?

(Wchodzi Puk).

Otóż mój poseł. Cóż, ducha szalony?

Jakież w zaklętym gaju poswatanie?

Puk. Królowa kocha potwór. Gdy w altanie,

Która jej cichym chwilom poświęcona,

Luby sen w gnuśne objął ją ramiona,

Tuż obok gawieź prostych rzemieślników,

Co wśród ateńskich pracują kramików,

Przyszła odegrać próbę krotochwili,

Jaką na gody księcia ułożyli.

Wnet gbur największy z tej śmiesznej hołoty,

Który przedstawiał Pyrama zaloty,

Zeszedł ze sceny i wlaź między chrósty,

Więc go ująłem i na czerep pusty

Ośla mu głowę nasadziłem zgrabnie.

Wtem, według roli, Tyzbe go zagabnie.

Wchodzi mój mimik, niecąc popłoch w zgrai,

Jak w dzikich gęsiach ptasznik, co się czai,

Lub w płowych wronach strzał, gdy je rozgania

Na liczne stada, które wśród krakania

Pędzą szalone w krąg po niebie całem.

Tak, gdy wszedł, pierzchła owa gawieź cwałem

Jam tupnął, jeden na drugiego pada,

Zwie Aten w pomoc, krzyczy: Rozbój! zdrada!

Zwątłonym zmysłem ogrom przerażenia

Martwe przedmioty w żywe wrogi zmienia,

Rwą ich za odzież krze głogów i zierni.

Rękawy, czapki, wszystko gubią bierni.

Gdy tak obłądnych gnała trwoga sama,

Wstrzymałem w miejscu oślego Pyrama,

A wtem Tytania ze snu się podniosła

I wraz, jak los chciał, pokochała ośła.

Oberon. Lepiej to poszło, niżbym ukuć zdołał.

Lecz czyś namaścił, jakom cię powołał,

Sokiem miłości żrenice młodziana?

- Puk.** Zszedłem śpiącego, więc rzecz dokonana.
Ateńskie dziewczę było przy młodzianie,
Toć ją niechybnie ujrzy, gdy powstanie.
(*Wchodzi Demetryusz i Hermia*).
- Oberon.** Przysuń się, właśnie mknie ów młodzian w szale.
- Puk.** To samo dziewczę, lecz mąż inny wcale.
- Demetryusz.** Mnie, co cię kocham, czemużeś tak sroga?
Tak wraże słowa zachowaj dla wroga.
- Hermia.** Winnam złorzeczyć, a tylko ci grozę,
Tyś dał mi powód aż do przekleństw może.
Jeśliś go zabił, gdy był snem ujęty —
Zbroczon po kostki, brnij we krwi odměty,
I mnie zamorduj.
Dzień nie ma takiej wierności u słońca,
Jaką w nim miałam. Śmiałżeby obrońca
Uśpioną zabić? Nie, prędzej uwierzę,
Że w Antypody księżyc się przebierze
Przez środek ziemi przebitej i cudnie
Błyszczące brata zmiesza tam południe.
Tyś, tyś go zabił, próżno myśl mozolę,
Tkwi znak mordercy na twem straszem czole.
- Demetryusz.** Znak ten ofiarę zdradza, nie mordercę,
Jam nią, gdyż Hermia przeszła mi serce.
Jednak tak jasno mój zabójca płonie,
Jak owa Wenus w promiennych gwiazd gronie.
- Hermia.** Cóż mu stąd przyjdzie? Gdzież on, gdzie mój
[luby?
Zwróć mi go, błagam, zwróć dla własnej chluby.
- Demetryusz.** Prędzejbym psom mym rzucił jego kości.
- Hermia.** Precz, psie! Wyzywasz z więzów cierpliwości
Wstyd mój dziewczycy. Więc się już nie zbudzi?
Ciebie już odtąd nie liczę do ludzi!
Raz powiedz prawdę, mów, jeśli dbasz o mnie:
Śmiałżebyś w oczy spojrzeć mu przytomnie?
Więc w śnieś go zabił? O, rycerski czynie!
Przeszedłeś węża, sprostalesz gadzinie.
Bo czyn to źmii, gdyż zdradliwszym źmija,
Niż twój, językiem, węzu, nie zabija.
- Demetryusz.** Napróżno zapaf trwonisz w błędnym gniewie.
Jam krwi Lyzandra nie winien. Nikt nie wie
Nawet, że umarł. Ja przeczę.
- Hermia.** Więc śmiało
Zaręcz, że złego nic mu się nie stało.

- Demetryusz.** Jeśli zaręczę, jakież mi łaskawsze
Dasz za to względy?
- Hermia.** Odprawę na zawsze.
Idę. Obecność twą zmierziałam sobie.
Już mię nie ujrzysz, czy on żyw, czy w grobie.
(*Odchodzi*).
- Demetryusz.** Próżno ją ściagać w tak dzikim humorze,
Więc tu na chwilę ciężką głowę złożę.
Bo ciężar smutku wzmaga się w podróży,
Im mu się więcej bankrut sen zadłuży.
Może mi teraz choć część spłaci za to,
Gdy tu poczekam nieco za wypłatą.
(*Kładzie się*).
- Oberon.** Jakżeś się zmylił! Co za niespodzianka!
Wlałeś sok w oczy wiernego kochanka.
Stąd te miłości na opak wypadną,
Nie zradna w wierną, wierna przejdzie w zradną.
- Puk.** A więc los przemógł. Snadź z przysięg miliona
Zaledwie jedna wierności dokona.
- Oberon.** Prędzej od wiatru niech cię lot poniesie,
Helenę z Aten znajdź co tchu w tym lesie.
Chora miłością, z braku szczęścia blada,
Z krwi ją najdroższej łok westchnień okrada.
Znęć ją tu złudnie. Nim przyjdzie w tę stronę,
Ja odczaruję mu oczy uśpione.
- Puk.** Biegnę, patrz, lecę tak chyżo, tak dziarsko,
Jak grot spuszczonej cięciwą tatarską.
(*Wybiega*).
- Oberon.** Kwiatku z purpurową płamą,
Zraniony strzałą Kupida,
Spłyń mu w oka jądro samo!
Niech mu się kochanka wyda,
Gdy ją ujrzy obok siebie,
Jak owa Wenus na niebie.
Zbudź się przy niej i jej pieczy
Błagaj, niech cię wraz uleczy.
(*Puk wraca*).
- Puk.** Wodzu naszych elfów rzeszy,
Patrz, z Heleną już tu śpieszy
Młodzian zmylony przeze mnie,
Co do niej wdycha daremnie.
Przyjrzymyż się ich ułudzie?
Oj, co za głupcy ci ludzie!

Oberon. Zejdź na bok. Hałas tych trzpiotów
Demetryusza zbudzić gotów.

Puk. Jedną kochać będą oba,
Sprawa śmieszna, a nie łatwa,
Mnie najwięcej się podoba,
Co się tak dziwnie gmatwa.
(*Wchodzi Lyzander i Helena.*)

Lyzander. Jak możesz myśleć, że ja wzgardą płonę,
Nie łzami wzgarda i szyderstwo kłamie.
Patrz, klnąc się, płacząc. Śluby tak zrodzone
W samym poczuciu biorą prawdy znamię.
Czemuż tam wzgardę śledzisz namiejtnie,
Gdzie prawda świeci w rodzimem swem piętnie?

Helena. Coraz to głębiej twoja chytrość sięga.
Ślub niszczyć ślubem, to szatański sposób.
Przysiągłeś Hermii. Spełnierz twa przysięga?
Znoszą się wzajem śluby dla dwóch osób.
Złóż oba twoje na szalę, a właśnie
Równo zaważą, oba czcze, jak baśnie.

Lyzander. Gdym jej przysięgał, rozumu nie miałem.

Helena. Gdy ją porzucasz, równym grzeszysz szalem.

Lyzander. Demetryusz kocha Hermię, a nie ciebie.

Demetryusz (*budząc się*). Heleno, bóstwo, nimfo cudna,
[święta]

Z czemże porównam, luba, twe oczęta?
Kryształ jest błotem. Twe usta — dwie wiśnie
W całus spojone. Gdy twa ręka błysnie,
Śnieg Tauru wiatry wschodnimi przezroczy,
Zmrożona białość, w kručzą czerni się mroczy.
Pozwól mi posiąść szczęście niebosiężne
I ucałować tę białość księżnę.

Helena. O zgrozo! Widzę, żeście wszyscy w znowie,
By ze mnie szydzić. Gdy znacie, mężowie,
Grzeczność i względność należną kobiecie,
Czemuż mi taką krzywdę zadajecie?
Znam waszą ku mnie nienawiść, lecz po co
Wasze się dusze szyderstwem sromocą?
Jeśli mężami nie w pozór jesteście,
Prześciancież skromnej urągać niewieście,
Kląć się, ślubować, przesadzać w pochwale,
A w sercu gardzić. W miłości rywale
Przy pięknej Hermii, wy również walczyście
O prym w szyderstwach, co godzą w me życie.

Chwalebne czyny, męskie przedsięwzięcia,
Łzy z ócz biednego wyciskać dziewczęcia
Ostrzem pośmiewisk. Jakizby mąż prawy
Śmiał krzywdzić dziewczę i w gniewu objawy
Zmuszać cierpliwość dla pustej zabawy?

Lyzander. Porzuć, Demetry, żart, który ją drażni.
Wszak kochasz Hermię? Wiem to, więc z przyjaźni,
Z dobrej ci woli, zdaję sercem całem
Prawo miłości, jakie w Hermii miałem;
A ty mi przekaz tve własne w Helenie,
Którą czcząc już się do śmierci nie zmienię.

Helena. Wolnoż szydercom drwić w oczy tak śmiało?

Demetryusz. Weź sobie Hermię, weź, Lyzandrze, całą.
Jeślim ją kochał, przeszło już złudzenie.
Serce z nią tylko jak gość przebywało,
I, jak w dom, teraz wraca ku Helenie,
By tam już zostać.

Lyzander. Mógłbyś żartów przestać.

Demetryusz. Nie bluźń tej wierze, na którą cię nie stać,
Byś z twem zuchwalstwem nie przepadł we wstydzie.
Patrz, tam twa własna, twa kochanka idzie.

(*Wchodzi Hermia.*)

Hermia. Ciemna noc, w której gaśnie wzroku władza,
Ucho drażliwszem czuciem wynagradza:
I co ze zmysłu widzenia zabierze,
Spłaca słuchowi w podwojonej mierze.
Choć cię, Lyzandrze, nie widzę na przedzie,
Słuch za twym głosem ku tobie mię wiedzie.
Lecz czemużes mię opuścić tak z cicha?

Lyzander. Któż zdoła zostać, gdy miłość popycha?

Hermia. Jakaż mi ciebie mogła wydrzeć siła?

Lyzander. Miłość, co z tobą zostać mi wzbronila —
Helena, która świetniej rozpromienia
Noc, niż gwiazd owych ogniste spojrzenia.
Pocóż mię ścigasz? Masz dowodów dosyć,
Że cię unikam, bo nie mogę znosić.

Hermia. Nie myślisz tego i nie mówisz szczerze.

Helena. Otóż i ona weszła w to przymierze.
Teraz spostrzegam: uknuli we troje
Plan tej igraszki na zmartwienie moje.
Złośliwa Hermio, niewdzięczna dziewico,
Ty się sprzysięgłaś i zmówiłaś z nimi,
Aby mię jątrzyć tem nieczem szyderstwem?

Wszystkież zwierzenia naszych serc wzajemnych,
 Siostrzące śluby, wspólnych zabaw chwile,
 Zawsze skarg pełne na czas szybkonogi,
 Że nas rozłączał — wszystkoż zapomniane?
 I szkolna przyjaźń — i wiek — i niewinność?
 Obieśmy, Hermio, jak dwa mistrze-bogi
 Naszemi igły tkwały kwiatek jeden,
 Z jednego wzorku, na jednym siedzeniu,
 Nucąc pieśń jedną obie jednym tonem,
 Jak gdyby dłonie, tona, głosy, dusze
 Zrosły się w jedno. I rosłyśmy razem
 Jako na pozór rozdzielona wiśnia,
 Tworząca przecież jedność w podwójności —
 Jak dwie jagódki na jednej szypułce,
 Dwoiste ciałem, ale sercem jedne —
 Dwie tarcze w herbie, znak jednego rodu,
 Jedną koroną uwieńczone społem.
 I tyż śmiesz zrywać naszą dawną miłość,
 By z mężczyznami szydzić z przyjaciółki?
 Wzdryga się na to przyjaźń i dziewictwo,
 Cała płeć nasza ze mną ci to zgani,
 Chociaż ja tylko sama cios ten znoszę.

Hermia. Wielce mnie dziwią twoe gniewliwe słowa,
 Wszak nie ja tobą, lecz ty mną pomiatasz?

Helena. Co, czyż nie z twoich poduszczceń Lyzander
 Na żart mię ściga, wielbi twarz i oczy,
 A ów Demetryusz, twój drugi kochanek,
 (Który przed chwilą odpychał mię nogą),
 Zwie mię boginią, nimfą, świętą, rzadką,
 Cudną, niebiańską? Poczóż tak wysławia
 Tę, którą gardzi? Poczóż się Lyzander
 Twej tak mu drogiej miłości wypiera,
 I mnie natomiast składa hołd? Zaiste,
 Z twej to namowy, z twego przyzwolenia.
 Jeśli nie jestem tak, jak ty, uroczą,
 Tak obleganą przez miłość, tak szczęsną,
 Lecz owszem nędzną i wstrętną miłości,
 Winnaś mi raczej litość, niżli wzgardę.

Hermia. Nic nie pojmuję, co przez to rozumiesz.

Helena. O tak, brnij dalej, strój minkę żalosaną.
 Gdy się odwrócę, przedrzeźniaj mię, mrugaj
 Na tych wspólników. Prowadź żart do końca.
 Grę tak wyborną kroniki zapiszą.

Gdybyście mieli litość, takt, obyczaj,
 Czyżbyście brali mię za przedmiot drwinek?
 Lecz bądźcie zdrowi. Tę mą w części winę
 Wnet nieobecność albo śmierć uleczy.

Lyzander. Stój, stój, Heleno; niech się uniewinnię.
 Kochanko, życie, duszo ma, Heleno!

Helena. Przedziwnie.

Hermia. Luby, już przestań ją dręczyć.

Demetryusz. Gdy nie wyprosisz, przymusić go zdołam.

Lyzander. Tyle twój przymus wart, co jej zakłęcia.

Równie twe groźby, jak jej prośba, słabe.

Ciebie, Heleno, ciebie kocham jedną —

Klnę się na życie, którem stracić gotów,

By przeczącemu kłamstwo udowodnić.

Demetryusz. A ja przysięgam, że cię kocham więcej.

Lyzander. Jeśli tak mówisz, pójdź i dowiedz czynem.

Demetryusz. Owszem.

Hermia. Lyzandrze, gdzież to wszystko zmierza?

Lyzander. Precz, Etyopko!

Demetryusz. Znam ja cię, udajesz,

Że się chcesz wydrzeć, że za mną iść pragniesz,

Jednak nie idziesz. Precz, tchórze wierutny!

Lyzander. Odczep się, kocie — puść mię, podłe zwierzę,

Albo cię strząsnę z siebie, jako żmiję.

Hermia. Skądże ta srogość, skąd tak nagła zmiana?

Luby mój!

Lyzander. Luby? Precz, czarna cyganko,

Kliwie lekarstwo, obmierzła trucizno!

Hermia. Wszak ty żartujesz?

Helena. I ty nie inaczej.

Lyzander. Chcę, Demetryuszu, dotrzymać ci słowa.

Demetryusz. Stwierdź to rękojmią silniejszą, niż ręka,

Co cię wstrzymuje. Twym słowom nie wierzę.

Lyzander. Mamże ją tyrać, kaleczyć, zabijać?

Nie skrzywdzę Hermii, choć jej nienawidzę.

Hermia. Nad wszelką krzywdę sroższa twa nienawiść...

Nienawiść ku mnie? Za co? Skąd ta nowość?

Nie jestem Hermią? Nie jesteś Lyzandrem?

Wszakżem tak piękna, jak byłam przed chwilą?

Jeszcze dzisiejszej kochałeś mię nocy,

Lecz mię odszedłeś (mamże rzec) na prawdę,

U uchowajcie bogi!

Lyzander. Tak, na prawdę —

I już cię nigdy ujrzeć nie pragnąłem,
Więc rzuć nadzieję i wszelką wątpliwość.
Wierz mi, to nie żart, bezsprzeczna to prawda,
Że cię nie cierpię, a kocham Helenę.

Hermia. Tyżeś, kuglarko, gąsienico w kwiecie,
Złodziejko uczuć, tyżeś przyszła w nocy,
By skraść mi serce kochanka.

Helena. Przedziwnie!
Gdzież twoja skromność, gdzież jest wstyd dziewicy,
Gdzie ślad rumieńca? Chceszże gwałtem wydrzeć
Z ust mych łagodnych niegrzeczną odpowiedź?
Wstydz się, szalbierko, wstydz, cacana lalko!

Hermia. Lalko? A to skąd? W to więc fortel zmierza?
Teraz pojmuje. Kazała mu nasze
Wzrosty porównać, chełpiąc się, że wyższa,
I swą kibicią, wyniosłą kibicią,
Tak, wzrostem tylko, wzięła górę nad nim.
Więc tem jedynie wzrosłaś tak wysoko
W jego szacunku, żem tak drobna, nizka.
Jakżem to nizka? Mów, upstrzona tyczko,
Jakżem to nizka? Jeszczem nie tak nizka,
Bym paznokciami ócz twych nie dosięgła.

Helena. Proszę, panowie, choć mię za nic macie,
Brońcie mię od niej. Nigdy złą nie była,
Bo żadnej nie mam zdolności do swarów.
Jam słabe dziewczę i z płci i z tchóřzostwa.
Bić mię nie dajcie. Wy mniemacie może,
Że jako niższej cokolwiek ode mnie
Oprzeć się zdołam?

Hermia. Niższej? Znów to samo.

Helena. Nie sroż się na mnie. Zawszem, dobra Hermio,
Kochała ciebie. Powolna twym chęciom,
Nie zawiniłam nigdy przeciw tobie,
Chyba żem z trwoźnej miłości doniosła
Demetryuszowi, żeś w gaj ten umknęła.
Pognał za tobą, ja z miłości za nim.
Lecz on mię w gniewie stąd odpędział, groził,
Że mię uderzy, zhańbi i zabije.
Teraz mi tylko daj odejść w pokoju,
Wróć do Aten z mojem urojeniem,
I już się przykrzyć wam nie będę. Patrzcie,
Jak prostoduszną i potulną jestem.

Hermia. Więć co tchu ruszaj! Cóż cię tu wstrzymuje?

Helena. Szalone serce, które tu zostawiam.

Hermia. Serce, z Lyzandrem?

Helena. Nie, nie, z Demetryuszem.
Lyzander. Ona cię nie tknie, nie trwóż się, Heleno.
Demetryusz. Nie tknie jej, wierz mi, choćbyś jej po-
[magał.

Helena. Gdy się rozzłości, chytrą jest, zaciętą.
Jędzą już była, gdy chodziła do szkół,
Mała we wroście, wielką jest w zawzięciu.

Hermia. Co, znowu mała? Wciąż nizka i mała?
Możecieź ścierpieć, by tak drwiła ze mnie?
Puśćcie mię do niej.

Lyzander. Nie waź się, karlico,
Pupko, kruszyno, chrząstko, niedorostku,
Kulko żołądna.

Demetryusz. Zbyt usłużnym jesteś
Dla tej, co twemi usługami gardzi.
Nie broń Heleny, nie ujmuj się za nią,
I nie mów o niej. Gdy się jej nastręczysz,
Choćby z najmniejszym dowodem miłości,
Ciężko odpowiesz.

Lyzander. Jużem zbył się Hermii,
A więc, by sprawdzić, kto z nas do Heleny
Ma pierwsze prawo, jeśli śmiesz, pójdź za mną.

Demetryusz. Ja iść za tobą? Raczej oko w oko...
(*Lyzander i Demetryusz wychodzą*).

Hermia. Z ciebie, panienko, powstał spór ten wszystek,
A więc nie uchodź.

Helena. Dowierzać nie mogę
Twej zawziętości, przeto czas mi w drogę.
Żwawszą masz rękę, lecz ja dłuższą nogę,
Łatwiej ci walczyć, mnie snadniej uciekać.
(*Uchodzi*).

Hermia. Milczę z podziwu. Lecz nie mogę czekać...
(*Wybiega, goniąc za Heleną*).

Oberon. Twe to niedbalstwo. Wciąż pomyłki robisz,
Albo z umysłu płatasz figle twoje.

Puk. Wierz, królu cieniów, wierz mi, żem się zmylił.
Wszakżeś mi mówił, że poznam człowieka
Z ateńskiej szaty, która go obleka,
Więć mego czynu nagana nie tyka,
Gdyż namaściłem oczy Ateńczyka;

Owszem, rad jestem, że tak rzecz wypadła,
 Bo mię te bawią właśnie i dziwadła.
Oberon. Patrz! Miejsca na bój szukają ciż sami
 Śpiesz się, Robinie, zasnąć noc chmurami.
 Gwiazdziste niebo skryj co tchu w osłonie
 Mgły dżdżystej, czarnej, jak toń w Acheronie.
 Rozgoń i zbłąkaj te butne rywale,
 By jeden z drugim nie spotkał się wcale.
 Raz drwiącą mowę Lyzandra przybrawszy,
 Drażń Demetryusza w zapęd coraz krwawszy,
 Znów jak Demetryusz szydź, i tak do koła
 Pędź ich, rozganiaj, aż im na mdłe czoła
 Sen, jak śmierć, stopą ołowianą wkroczy
 I nietoperza skrzydłem skryje oczy.
 Wtedy wsącz z ziółka w Lyzandra powieki
 Sok tak przedziwnej cnoty, że na wieki
 Wszelki z nich obłąd zmyje i przywróci
 Oczom wzrok zwykły. Gdy z szału wyrzuci
 Zbudzą się znowu, i graszka ta cała
 Próżną im mrzonką będzie się zdawała,
 Wrócą do Aten zgodą połączeni,
 Już się ich związek do śmierci nie zmieni.
 A nim w tej sprawie spełnisz moją wolę,
 Me u Tytanii wyproszę pacholę,
 Zdejmę z jej oczu miłość ku poczwarze,
 I wszystko w świecie pokojem udarzę.
Puk. Wieszczy mój panie, działajmy bez zwłoki,
 Gdyż już noc zwrotna puszcza w cwał swe smoki,
 I już jutrenki zwiastun lśni z daleka.
 Przed nim do domu na cmentarz ucieka
 Tłum błędnych duchów. Potępieńców rzesza
 Już w robaczkliwe swe łoża pośpiesza
 Na topieliska i rozstajne drogi,
 Drżąc, by ich hańby dzieiń nie rozkrył wrogii.
 Pierzchną upiory przed światłem ochoczno
 I z czarną nocą wiecznie społem kroczą.
Oberon. My duchy wyższe, światło nas nie trwoży.
 Nieraz me łowy dzielił ranek hoży.
 Nieraz, jak leśnik, wskroś przebiegam gaje,
 Choć brama wschodu już w płomieniach taje
 I, słońcu w morze roztworzywszy wrota,
 Słońca zieloność stapia w łunę złotą.

A jednak śpiesz się, nie zwłócz, gdyż się żwawo
 Musim przede dniem uwinąć z tą sprawą.
Puk. Dołem górą, górą dołem,
 Popędzę ich górą dołem,
 Trzęsę miastem, trzęsę siołem.
 Gnaj, Goblinie, górą dołem.
 Oł, już jednego ująłem.

(Wchodzi Lyzander).

Lyzander. Gdzieś, Demetryuszu? Przemów, dumny łotrze!
Puk. Tu, gotów z mieczem. Gdzieżeś ty, nicponiu!

Lyzander. Zaraz do ciebie, zaraz miecz mój dotrze.

Puk. Więc pójdź w równiejsze tam miejsce na błoniu.

(Lyzander wybiega za głosem).

(Wchodzi Demetryusz).

Demetryusz. Gdzieżeś, Lyzandrze? ozwij się wyraźnie.

Skryłżeś w krzak głowę? Zbiegu, tchórze, błaźnie!

Puk. Tyś sam tchórz. Gwiazdom stawiasz minę zbrojną
 I krzakom głosisz, że wdychasz za wojną,
 A tu przyjść nie śmiesz. Pójdź, pójdź, dziecię psotne!
 Szkoda mi miecza, więc różgą cię otnę.
 Zhańbiłbyś oręż.

Demetryusz. Gdzieżeś jest? Jak blisko?

Puk. Śpiesz za mym głosem, tu złe stanowisko.

(Wychodzą. Wraca Lyzander).

Lyzander. Wciąż biegnie przodem, wodzi mię do koła,

A znika, skoro przyjdę, dokąd woła.

Szybszemi nogi ucieka nierzemie,

Biegłem wciąż pędkiem, on prędzej ode mnie,

Aż wreszcie padłem wśród nierównej drogi.

Tu przeto spoczną. Przybywaj, dniu błogi.

(Kładzie się).

Bo skoro ujrzę światło brzasku szare,

Odszukam wroga i wymierzę karę.

(Usypia).

(Wraca Puk i Demetryusz).

Puk. Ho, ho, pójdź, tchórze! Już tego za wiele.

Demetryusz. Gdy śmiesz, zaczekaj. Znam ja twe fortele.

Wciąż miejsce zmieniasz drogą mi tajemną.

A nie śmiesz stanąć i spotkać się ze mną.

Gdzieżeś jest?

Puk. Pójdźże. Stoję tu na drodze.

Demetryusz. Znowu mię zwodzisz. Ja ci to nagrodzę,
 Jeśli się spotkam w dzieiń z obliczem twojem.

Teraz idź sobie. Wycieńczony znojem,
Padnę jak długi na tę zimną miedzę.
Strzeż się. Wraz ze dniem pewno cię odwiedzę.

(Kładzie się i usypia).

(Wchodzi Helena).

Melena. O, ciężka nocy, wlokąca się głucho!
Skróć twe godziny. Zapal wschód, otucho!
Bym mogła odejść do Aten z pokojem,
Od tych, co gardzą towarzystwem mojem.
Śnie, który czasem koisz żal w potrzebie,
Na chwilę uwolń mię od samej siebie.

(Zasypia).

Puk. Dopiero troje. Przybądź czwarta skoro,
Dwoje z płci każdej a będzie ich czworo.
Otóż i ona, zła i smutna idzie.
Niecne twe figle, złośliwy Kupidzie,
Gdy rozum biednym niewiastom zabiorą.

(Wchodzi Hermia).

Hermia. Biedna jak nigdy, strudzona niezmiernie,
Przemokła rosą, odarta przez ciernie,
Już iść nie mogę, sił mi ciało skąpi.
Dłużej już chęć nogi me nie starczą.
Tu spocznię do dnia. Jeśli bój nastąpi,
Nieba! ostońcie Lyzandra swą tarczą!

(Kładzie się i usypia).

Puk. Na murawie
Śpij głęboko,
A wnet sprawię,
Że w twe oko
Spłynie zdrowia cud.
(Wyciska sok w oko Lyzandra).

Gdy dzień spłoszy
Widma mroku,
Skarb rozkoszy
Znajdziesz w oku
Tej, coś kochał wprzód.
I przysłowie:
»Bierz, co twoje«,
Przez was wznowią,
Gdy we dwoje
Zbudzicie się w ślub.
Janka żoną
Będzie Jagna;

Chłop zwróconą
Klacz w dom zagna.
Już nie będzie zgub.
(Puk odchodzi. Wszyscy inni śpią).

AKT CZWARTY.

SCENA I.

Las.

(Wchodzi Tytania, Spodek i grono Rusalek. Za nimi Oberon niewidzialny).

Tytania. Pójdź, siądź tu przy mnie na kwieciste łożu,
Niech się z twem lubem obliczem popieszczę;
Niech na skroń gładką wieniec róż ci włożę,
I długie uszy uściskam raz jeszcze.

Spodek. Gdzież jest Groszek?

Groszek. Na usługi.

Spodek. Podrap mi głowę, Groszku. Gdzież jest jejmość Pajęczynka?

Pajęczynka. Na usługi.

Spodek. Pani Pajęczynko, dobra moja jejmościuniu, weź broń twą do ręki, zabij mi czerwonożnego szerszenia na kwieciu ostowem, i przynieś mi, łaskawa pani, jego woreczek miodem napełniony. Tylko się zbytecznie nie zapędzaj w tym trudzie, moja panienko, a bacz, aby nie pękł woreczek z miodem. Mocno bym się zmartwił, gdybyś w miodzie skąpać się musiała. Gdzież jest pani Gorczyczka?

Gorczyczka. Na usługi.

Spodek. Daj mi twą łapkę, pani Gorczyczko. Proszę cię, porzuć wszelką ceremonię, dobra pani.

Gorczyczka. Co rozkażesz?

Spodek. Nic, dobra pani. Tylko proszę cię, pomóż kawalerowi Groszkowi w drapaniu mi głowy. Muszę pójść do balwierza, gdyż mi się zdaje, żem strasznie zarósł na twarzy, a taki delikatny osioł ze mnie, że byle włossek mię zalechtał, zaraz drapać cię muszę.

Tytania. Chciałżebyś, luby, posłuchać muzyki?

Spodek. Mam ja wcale nie złe do muzyki ucho. Niechno zagrają cęgi na kościach.

Tytania. Albo, kochanku, powiedz, co zjeść pragniesz?

Spodek. Prawdę mówiąc, zjadłbym miarkę obroku. Mógłbym też przegryźć nieco dobrego, suchego owsa. Zdaje mi się także, że miałbym wielką chętkę do wiązki siana. Dobre siano, słodkie siano, nie ma nic sobie równego.

Tytania. Mam zwinną rusałkę, ta ci poszuka Nowych orzeszków w śpichlerzu wiewiórki.

Spodek. Wolałbym raczej jedną lub dwie garście suchego grochu. Lecz proszę cię, niech nikt z twego orszaku nie przeszkadza mi. Czuję, że mi się zbiera na jakąś do snu ekspozycję.

Tytania. Śpij, ja cię w moje ramiona obejmę.

Rusałki, rozejdźcie się na wsze strony.

Tak się wiciokrzew wraz z wonnym powojem

Pieściwie spleta i tak bluszcz dziewiczy

Szorstkie konary więzu opierścienia.

Jakżeż cię kocham, o jakżeż cię wielbię!

(Oberon przysuwa się. Wchodzi Puk).

Oberon. Witaj, Robinie. Patrz, widok pocieszny!

Lecz nad jej szańcem już litość mię bierze.

Kiedym przed chwilą spotkał ją za lasem,

Gdzie wonne zioła dla osła zbierała,

Gniew zawrzał we mnie — i jątem ją gromić,

Widząc, jak głowę potwora obroszą

Stroiła w wieńce świeżych wonnych kwiatków.

Ta sama rosa, co zwykła na pączkach

Pysnić się, jakby krągłe wschodu perły,

Teraz łą stała w oczach kwieci lubych,

Jak znak boleści nad własną ohydą.

Odym tak do woli nałajała, a ona

Mej cierpliwości błagała łagodnie,

Wtędym poprosił o zmienione dziecię.

Wprost się zgodziła, rozkazując elfom,

By go przywiodły w mój kraj czarodziejski.

Teraz posiadłszy pacholę, odwiążę

Dziki ten obłęd od oczu Tytanii.

Ty, miły Puku, zdejm ten łeb zaklęty

Z tego prostaka ateńskiego głowy.

Niech się obudzi, gdy inni się zbudzą,

I niech do Aten wszyscy wrócą razem,

Więcej nie wając wypadków tej nocy,
Niż jakie przykre udręczenia we śnie.
Lecz najpierw wieszczę uwolnię królowę.

(Dotyka ziółkiem jej oczu).

Bądź, jaką byłaś poprzednio na świecie,

Patrz, jako patrzałaś wpród;

Początek Dyany, na Kupida świecie,

Ma tę władzę, zdiiała cud.

Zbudź się, Tytanio, ma królowo miła.

Tytania. Mój Oberonie, cóżem ja to śniła?

Niby z miłości weszła z osłem w stadło.

Oberon. Oto twój luby.

Tytania. Skądżeż to przypađło?

Jakżeż obrzydły on w mych oczach ninie!

Oberon. Cicho na chwilę. Zdejm ten łeb, Robinie.

Każ grać, Tytanio, i tych osób pięciu

Zwiąż zmysły w twardszem, niżli sen, ujęciu.

Tytania. Niech gra muzyka, ta, co w sen upaja.

Puk. Odzyszcz, gdy wstaniesz, własny wzrok mazgaja.

Oberon. Brzmij, muzyko.

(Daje się słyszeć cicha muzyka).

Pójdź, daj rękę, królowo.

Niech ziemia zadrży pod uśpionych głową,

Teraz nas przyjaźń kojarzy na nowo.

Jutrzejszej nocy Tezeusza gody

Uroczystymi uświetnim pochody,

Wróżąc mu szczęście w długie wnuków rody,

Z nim kochankowie ci wierni po parze

Pójdą radośnie przed ślubne ołtarze.

Puk. Prędszej, królu, zważ, już świta,

Już skowronek zorzę wita.

Oberon. Więc, królowo, cichym krokiem

Bieźmy za nocy pomrokiem;

Prędszej ziemię kołem naszym

Niż błędny księżyc opaszem.

Tytania. Pójdź. W biegu powiedz rzecz całą,

Jak się to tej nocy stało,

Żeś mi z tymi śmiertelnymi

Tu znalazł śpiącą na ziemi.

(Wychodzą. Odgłos rogów po gaju).

(Wchodzi Tezeusz, Hipolita, Egeusz i orszak).

Tezeusz. Niech mi z was który łowczego poszuka,

Bo gdyśmy teraz obrządek spełnili,

I gdy brzask dzienny świecić nam poczyna,
Psów moich granie posłyszysz, ma luba.
Ze sfor je spuście w zachodniej dolinie.
Śpieszcie się, mówię, przywołać łowczego.
Piękna królowo, wejdźmy na szczyt góry,
By schwytać uchem muzyczny rozhovor,
Gdy psom grającym echa wtórzyc zacząć.

Hipolita. Raz z Herkulesem byłem i z Kadmusem,
Gdy szczywali psiarnią spartańską niedźwiedzia
W borach kretańskich. Nigdy nie słyszała
Tak dzielnych gwarów. Zdało się, że gaje,
Nieba, jeziora, okolica cała,
Jednym brzmia dźwiękiem. Pierwszym raz słyszała
Zgiełk tak przyjemny i grzmot tak czarowny.

Tezeusz. Me psy pochodzą z spartańskich pomiotów.
Bure, pyskate, a ze łbów im wiszą
Uszy, co ranną rosę zamiatają,
Nogi w łuk, gardła jak tessalskich byków.
Wolne w pogoni, lecz w głosie jak dzwonki,
Každy w ton niżej. Grze tak harmonijnej
Nie nawoływał i rogiem nie wtórzyl
Nikt jeszcze w Krecie, Sparcie i Tessalii.
Sądź, gdy usłyszysz. Lecz cóż to za nimfy?

Egeusz. Książę, to moja córka tu uspiiona,
To jest Lyzander, a oto Demetryusz,
Tu znów starego Nedara Helena.
Dziwno, skąd oni razem się tu wzięli.

Tezeusz. Pewnie tak rano wstali, by obchodzić
Święto majowe, a znając nasz zamiar,
Przyszli uświetnić uroczystość naszą.
Lecz, Egeuszu, powiedz, czy dziś nie dzień,
W którym oznajmić Hermia wybór miała?

Egeusz. Dziś właśnie, książę.
Tezeusz. Idź, każ myśliwcom rogami ich zbudzić.

*(Dźwięk rogów i okrzyki w kniei. Demetryusz, Lyzander,
Hermia i Helena budzą się i zrywają.)*

Tezeusz. Dzień dobry, dzieci. Już święty Walenty
Przeszedł, a ptaki dopiero się parzą?
(Wszystko czworo klęka przed Tezeuszem.)

Lyzander. Przebacz nam, książę.

Tezeusz. Proszę, wstańcie wszyscy.
Wiem, żeście oba rywale i wrogci.

Skądże ta święta zgoda na świat przyszła,
Skądże nienawiść tak wolna podejrzeń,
Że śpi przy gniewie bez żadnej obawy?

Lyzander. Dam ci odpowiedź, książę, lecz bez ładu,
Jak na wpół śpiący, gdyż dotąd, przysięgam,
Pojąć nie umiem, jak w ten gaj przyszedłem.
Lecz, ile mniemam, bo chcę mówić prawdę...
Tak... tak... pamiętam... tak jest w samej rzeczy...
Społem tu z Hermią przybyłem w zamiarze,
By uciec z Aten w bezpiecznym zakątku
Przed ateńskiego prawa surowością.

Egeusz. Dość, dość już, książę, dość na tem wyznaniu.
Na jego głowę domagam się prawa.
Chcieli nam uciec, chcieli, Demetryuszu,
I mnie i ciebie przez to ogołocić:
Ciebie z twej żony, mnie zaś z woli mojej —
Z twej woli, która daje ci w niej żonę.

Demetryusz. Ich zamiar skrytej ucieczki w te gaje
Piękna Helena odkryła mi, książę.
Jam więc z zaleśnstwa pognął tu za nimi,
A za mną piękna Helena z miłości.
Lecz, dobry panie, nie wiem jaką władzą,
(Snadź władzą wyższą), ma ku Hermii miłość,
Jak śnieg stopiona, zdaje mi się teraz
Niby wspomnieniem marnej zabaweczki,
Za którą niegdyś w dzieciństwie szalałem.
Teraz mą wiarą, całą serca chlubą,
Celem jedynym, rozkoszą mych oczu,
Tylko Helena. Z nią, łaskawy książę,
Byłem zaręczon, nim Hermię poznałem.
Jakby choremu, obrzydł mi ten pokarm,
Lecz dziś mi zdrowie zwykły smak przywraca.
Teraz jej pragnę, kocham ją szalenie,
I mej wierności do śmierci nie zmienię.

Tezeusz. Szczęściem spotkani, piękni kochankowie,
Wkrótce mi wszystko bliżej opowiecie.
Muszę twą wolę złamać, Egeuszu,
Gdyż społem z nami, za chwilę, w świątyni
Te pary będą złączone na wieki;
A że już ranek nieco się zestarzał,
Więc odłożymy zamierzone łoży.
Śpieszmy do Aten. Trzej męże, trzy żony,

Uświetnim ucztą związek upragniony.

Pójdź, Hipolito.

(Wychodzi Tezeusz, Hipolita, Egeusz i orszak).

Demetryusz. Wszystko to zda się mglistem, niewyraźnym,
Jak zdala góry zmienione w obłoki.

Hermia. Zda się, że patrzę naciśniętem okiem,
W którym się wszystko dwoi.

Helena. Ja to samo —
Gdyż Demetryusza znalazłam, jak klejnot,
Co mój i nie mój.

Demetryusz. Lecz jesteścież pewni,
Żeśmy ocknięci? Bo mnie się wydaje,
Że śpimy jeszcze, marzymy. Mniemacież,
Iż był tu książe i wzywał nas z sobą?

Hermia. Był z moim ojcem.

Helena. A z nim Hipolita.

Lyzander. Kazał nam z sobą do świątyni śpieszyć.

Demetryusz. Więc my na jawie. Idźmyż przeto za nim.
W drodze sny nasze opowiemy sobie.

(Wychodzą).

(Spodek się budzi w chwili, gdy poprzedni wychodzą).

Spodek. Gdy kolej przyjdzie na moją rolę, zawołajcie mię i ja odpowiem. Przychodzi ona zaraz po słowach: Najpiękniejszy Pyramie! Ho, ho! Pietrze Pigwo! Dudko miechowniku! Ryjku kotlarzu, Głodniaku! Da-libóg, uciekli stąd i mię śpiącego opuścili. Najdziwniejsze miałem widzenie. Miałem sen, ale przechodzi rozum człowieka powiedzieć, co to był za sen. Człowiek zostałby ostem, gdyby się ośmielił taki sen wyklądać. Zdało mi się, żem był... żaden człowiek nie zgadnie, czem byłem. Zdało mi się, żem był, zdało mi się, że miałem... lecz człowiek byłby pstrym pajacem, gdyby się podjął wyrazić, co mi się zdało, żem miał. Oko ludzkie nie słyszało, ucho ludzkie nie widziało, ręka ludzka nie jest zdolną posmakować, język pojąć, ani serce wyrzec, czem był mój sen. Namówię Pietra Pigwę, by o tym śnie napisał balladę. Będzie miała tytuł Sen Spodka, ponieważ w niej nikt spodka nie dojrzy. Zaśpiewam ją w samym końcu sztuki przed księciem, a może też, dla nadania jej większego wdzięku, wyśpiewam ją po śmierci.

(Wychodzi).

SCENA II.

Ateny. Pokój w domu Pigwy.

(Wchodzi Pigwa, Dudka, Ryjek i Głodniak).

Pigwa. Posłałżeście do domu Spodka? Czyżby jeszcze do siebie nie wrócił?

Głodniak. Ani słyhać o nim. Niema wątpliwości, że został porwany.

Dudka. Jeżeli nie wróci, cała nasza sztuka zepsuta. Może iść dalej bez niego, czyż może?

Pigwa. Niepodobna. Niema w całych Atenach żadnego człowieka, co byłby zdolnym odegrać Pyrama, tylko on jeden.

Dudka. Prawda — on tylko jeden ze wszystkich rzemieślników ateńskich posiada po prostu najwykwintniejszy dowcip.

Pigwa. Tak, a przytem najokazalszą personę. Prawdziwy to amant słodyczą głosu.

Dudka. Powiedz raczej: dyament. Amant, Boże odpuść, to bzdurstwo bez wartości.

(Wchodzi Spój).

Spój. Mości panowie, książe już wraca z świątyni, a oprócz tego wzięły tam ślub jeszcze dwie lub trzy dostojne pary. Gdyby się była nasza sztuka powiodła, bylibyśmy wszyscy wyszli na ludzi.

Dudka. O, słodki junaku, ty Spodku! Tak to stracił on półzłotka na dzień przez całe życie. Nie mogło go bowiem półzłotka na dzień ominąć. Niech mię powiesz, jeśliby mu książe nie dał półzłotka na dzień za odegranie Pyrama. Sowiec byliby na to zaśluzzył, półzłotka na dzień za Pyrama albo nic.

(Wchodzi Spodek).

Spodek. Gdzież są te chłopcy? Gdzie są te zuchy?

Pigwa. Spodek! O, dniu najdzielniejszy! O, najszczęśliwsza godzino!

Spodek. Mości panowie, będę wam dziwy prawił. Lecz nie pytajcie mię o czem, bo jeśli wam powiem, tom nie prawdziwy Ateńczyk. Opowiem wam każdą rzecz dokładnie, jak się zdarzyła.

Pigwa. Mów, słuchamy, luby Spodku.

Spodek. O sobie nie rzeknę ani słówka. Wszystko, co

wam powiem, jest to, że księżę już zjadł obiad. Po-
zbierajcie wasze ubiory, przygotujcie mocne tasiemki
do bród waszych, nowe wstążeczki do trzewików. Przy-
bądźcie niebawem do pałacu. Niech każdy rzuci raz
jeszcze okiem na swą rolę. Bo, krótko długo mówiąc,
nasza sztuka została przyjęta. Na wszelki wypadek, niech
Tyzbe ma czystą bieliznę, a ten, co ma lwa odegrać,
niech nie obcina paznokci, gdyż one wisieć powinny,
jak lwie pazury. A przytem, najdrożsi aktorowie, nie
jeść ani cebuli, ani czosnku, bo należy nam mieć słodki
oddech, a wtedy nie wątpię, iż usłyszę, jak oni będą
mówili: Cóż to za słodka komedia! Ani słówka wię-
cej, ruszajcie, ruszajcie.

(Wychodzą).

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Ateny. Komnata w pałacu Tezeusza.

(Wchodzi Tezeusz, Hipolita, Filostrat, panowie i orszak).

Hipolita. O, jakże dziwna powieść tych kochanków.

Tezeusz. Więcej w niej dziwu, niż prawdy. Nie wierzę

Tym starym baśniom, gustom czarodziejskim.

W kipiącym mózgu kochanków, szaleńców,

Wre wyobraźnia tak płodna, że stwarza

Więcej, niż zdoła zimny pojąć rozum.

Waryat, kochanek i wieszcz istność całą

Ma z wyobraźni. Obłąkaniec widzi

Licniejszych czartów, niżli ogrom piekła

Zdolny pomieścić. Kochanek odkrywa

Piękność Heleny w licu Egipcjanki.

Oko poety biega w szczytnym szale

Z nieba do ziemi, a z ziemi do nieba;

I gdy zarysy nieznanych przedmiotów

Mkną z wyobraźni, w ciało je obleka

Pióro poety, nadając marzeniom

Miejsce, nazwisko i tło rzeczywiste.

Z taką to siłą działa wyobraźnia,

Że byle tylko w radość się podniosła,

Już widzi zaraz tej radości posła,
Lub gdy ją w nocy nagle strach nawiedzi,
Natychmiast krzaki przetwarza w niedźwiedzi.

Hipolita. Lecz cała powieść zgodnie powtórzona,

I dusz ich nastrój jednaki w tej zmianie,

Dowodzi czegoś więcej niżli złudzeń,

I rzeczywistość przybiera widoczną,

Chociaż niezwykłą i godną podziwu.

(Wchodzi Lyzander, Demetryusz, Hermia i Helena).

Tezeusz. Otóż radości pełni kochankowie.

Niech wam, najmiłsi, zawsze służy miłość

I szczęście stałe.

Lyzander. Stalsze niech otacza

Wasze księżęce kroki, stół i łożo.

Tezeusz. Lecz jakież tańce, jakież gry gotowe,

Aby nam skrócić długi wiek trzech godzin

Między wieczszą a porą spoczynku?

Gdzież jest nasz zwykły mistrz uciech? Zabawy

Jakież przyrządził? Jestże sztuka jaka,

By spłoszyć cikliwość tej przykrej godziny?

Wraz Filostrata przyzwać.

(Wchodzi Filostrat).

Filostrat. Jestem, księżę.

Tezeusz. Mów, jaką na ten masz wieczór rozrywkę?

Jaką muzykę? Maski? Czemże zwiedziem

Czas ten leniwy, jeśli nie zabawą?

Filostrat. Oto spis, księżę, gotowych widowisk.

Racz wybrać, które chciałbyś naprzód ujrzeć.

(Podaje papier).

Lyzander (czyta). »Z Centaurami walka, którą będzie

Śpiewał przy arfie atefski rzezaniec«.

Tezeusz. Nie chcę, bom o tem już kochance prawili

Ku czci krewniaka mego, Herkulesa.

Lyzander. »Dzikie szaleństwo pijanych bachantek,

Co rozszarpały trackiego śpiewaka«.

Tezeusz. Stara to sztuka. Wszakże graną była,

Gdym z Tebów wracał zwyciężcą przed laty?

Lyzander. »Dziewięć muz we łzach nad śmiercią nauki,

Która umarła nie tak dawno z nędzy«.

Tezeusz. Jakaś satyra ostra i dotkliwa,

Co się nie zgadza ze ślubnym obchodem.

Lyzander. »Nudny i krótki dyalog Pyrama

Z kochanką Tyzbe, śmieszny i tragiczny«.

Tezeusz. Nudny a krótki, śmieszny a tragiczny?
Raczej śnieg czarny albo lód gorący.
Jakżeż pogodzić takie niezgodności?

Filostrat. W sztuce tej, książę, ledwie słów dziesiątek.
Jeszczem tak krótkiej w mem życiu nie widział.
Lecz o te właśnie dziesięć słów za długa,
I stąd tak nudna. W całej niema słówka
Zgodnego z rzeczą, ni aktora z rolą.
Jest zaś tragiczną, miłościwy książę,
Gdyż w końcu Pyram sam siebie zabija.
Rzecz ta, wyznaję, łyzy mi wycisnęła,
Gdym był na próbie, ale też weselszych
Nigdy nie dobył śmiech najgwałtowniejszy.

Tezeusz. Cóż ci za jedni, co ją przedstawiają?

Filostrat. Twardych rąk ludzie, rzemieślnicy z Aten,
Których umysłem dotąd trud był obcym,
Lecz teraz pamięć niewprawną zaprzęgli
W jarzmo tej sztuki, by wasz ślub uświetnić.

Tezeusz. A więc ją chcemy usłyszeć.

Filostrat. Nie, książę,
To nie dla ciebie. Słyszałem ją całą:
Nic, nic nie warta, świat lichszej nie widział,
Chyba że znajdziesz uciechę w ich trudzie,
Jak się wysilać, pocić, dręczyć będą,
By was zabawić.

Tezeusz. Wystłucham tej sztuki,
Gdyż nic błędnego nigdy być nie może
W tem, co prostota i powinność składa.
Idź, przywiedź ich tu. Racztwie zasiąść panie.
(Filostrat wychodzi).

Hipolita. Przykro mi widzieć nędzę przeciążoną,
Lub gdy gorliwość pada w służb nadmiarze.

Tezeusz. Nic tu przykrego nie ujrzysz, kochanko.

Hipolita. Wszak rzekł, że wszelkich brak im sił w tym
[względzie.

Tezeusz. Tem my względniejsi, dziękując im za nic,
Bawić się będziemy, zgadując w czem błądzą.
Gdzie nieudolna usłużność szwankuje,
Tam wzgląd szlachetny ceni chęć, nie wartość.
Gdym podróżował, nieraz wielcy mistrze
Szli mię powitać wyuczoną mową,
Lecz, skorom spostrzegł błędnych i struchlałych,
Jak ucinali w połowie sentencji,

Biegłym swym głosem dławiąc się ze strachu,
I jak nareszcie umilkłszy do szczętu
Wręcz przestawali witać — wierz mi, luba,
Jam z ich milczenia snował powitanie,
I w potulności zalęknętego hołdu
Tyleż czytałem, co w gwarnym języku
Butnej, zuchwałej i szumnej wymowy.
Trwożna prostota i miłość lekliwa
Pokorą wzrasta, milcząc przekonywa.
(Wchodzi Filostrat).

Filostrat. Prolog już gotów, na wasze rozkazy.

Tezeusz. Niech wejdzie. *(Słychać trąby).*
(Wchodzi Prolog).

Prolog. Jeśli was obrazimy, w naszej jest to myśli¹⁾.
Przekonać wszystkich, żeśmy obrazić nie przyszli,
Nikt z nas nie chce. — W śmiech podać sztukę prostej
[treści,
Oto w czem zgodny z końcem początek się mieści.
Zważcie więc, myśmy przyszli do was, lecz w złym
[celu. —
Nie przyszli o zabawę i wasz poklask dbali. —
Spełnim nasz zamiar. — Gwoli waszemu weselu
Myśmy tu nie przybyli. — Byście łałowali,
Aktorowie czekają w przybocznej komnacie. —
A ich gra da wam poznać to, co wiedzieć macie.

Tezeusz. Nie dba o punkty ten człowiek.

Lyzander. Przegalopował swój prolog, jak nieujeżdżony
żrebiec. Ani wiedział, gdzie stanąć. Dobra stąd nauka,
książę. Nie dość jest mówić, trzeba mówić do rzeczy.

Hipolita. W istocie, zagrał na swym prologu, jak dziecko
na flecie. Same dźwięki, bez taktu i ładu.

Tezeusz. Mowa jego była podobna spletanemu łańcusz-
kowi, w którym niczego nie brak, ale wszystko w nie-
porządku. Cóż dalej?

*(Pyram, Tyzbe, Mur, Księżyc i Lew przechodzą w milcze-
niu, jak figuranci).*

Prolog. Może to widowisko zdziwi was, panowie.
Dziwcie się, wnet w prawdą będzie oczywistą.

¹⁾ Niewłaściwe przestanki, oddane tu mylną interpunkcją, czynią
myśl prologu wprost przeciwną zamiarowi autora. Czytałyby należało:
„Jeśli was obrazimy, w naszej jest to myśli przekonać wszystkich, żeśmy
obrazić nie przyszli“ i t. d.

Ten człowiek jest to Pyram, kto chce, niech się dowie,
A ta piękna niewiasta jest Tyzbe, zaiste.

Ten człek z gliną i wapnem znaczy ścianę lichą,
Która dzieli kochanków. Biedni a szczęśliwi,
Że choć przez tę w nim szparę mogą gwarzyć cicho,
Czemu, moi panowie, niech się nikt nie dziwi.
Ten człowiek z psem, z latarką, oraz z wiązką cierni,
Przedstawia Księżyc; bowiem, kto chce, niech się dowie,
Po księżycu, na grobie Ninusa, ci wierni
Ważyli się w zaloty schadzać kochankowie.

Ten zwierz straszny, szkaradny, który Lwem się zowie,
Wierną Tyzbę, co pierwsza przyszła porą nocną,
Spłoszył stamtąd, a raczej przestraszył tak mocno,
Że biedna, uciekając, wyzuła się z płaszcza.
Lew go podarł, a krwawą była jego paszcza.
Więc gdy wszedł Pyram, młodzian luby i wysoki,
I na płaszczu swej Tyzby ujrzał znak posoki,
Porwał wręcz za puginał, przekłęty puginał,
Pchnął w swą pierś i krwi prądy w poprzek poprze-
[rzynał.

Wtem Tyzbe z krzaków wyszła, sztylet mu wyrwała
I w własne wryła serce. Jak się ma rzecz cała,
Wnet najdokładniej Lew, Księżyc, Mur i kochankowie
Tu na scenie wyjaśnią w obszerniejszej mowie.

(Wychodzi Prolog, Tyzbe, Lew i Księżyc).

Tezeusz. Ciekawym, czy lew także będzie gadał.

Demetryusz. Czemu nie, mości książę. Wolno przecież
jednemu lwu, gdy tyle osłów przemawia.

Mur. Tak się zdarza, że w naszej ja tu krotchwili
Mur przedstawiam, ja Rykiem pospolicie zwany,
Mur, jaki pragnę, byście sobie wystawili,
Co ma otwór na wylot, czy szparę wśród ściany.
Przez nią Pyram i Tyzbe, wierni kochankowie,
Często z sobą gwarzyli w tajemnej rozmowie.
Ta tu glina, ten kamień i ten tynk dowodzi,
Żem mur ten sam, a w prawo i w lewo ta sama
Szpara, przez którą mają kochankowie młodzi
Szeptać, Pyram do Tyzby, Tyzbe do Pyrama.

Tezeusz. Niepodobna żądać, aby wapno i kłaki lepiej się
wyrzały.

Demetryusz. Nigdy jeszcze tak dowcipnej partycyi nie
słyszał, miłościwy książę.

Tezeusz. Pyram zbliża się do muru. Uciszcie się.

(Wchodzi Pyram).

Pyram. O nocy straszna, czarna od mety do mety!

Nocy, co zawsze jesteś wtedy, gdy dnia niema.

Nocy! Nocy! Niestety, Niestety, Niestety!

Może mi obietnicy Tyzbe nie dotrzyma.

A ty murze, mój luby i czarowny murze,

Który oddzielasz moją od jej ojca roli —

Ty murze, murze, luby i czarowny murze,

Niech mi twa szpara spojrzeć na przestrzał pozwoli.

(Mur roztwiera palec).

Dzięki ci, grzeczny murze, niech cię strzeże Jowisz!

Lecz cóż widzę? Mejs Tyzby nie widzę w czeluści.

Zły murze, jeśli szczęścia zaraz mi nie wznowisz,

Za zawód niech przekleństwo niebo na cię spuści.

Tezeusz. Zda mi się, że mur, jako czuciem obdarzony,
powinienby również przekleństwem odpowiedzieć.

Spodek. Nie, zaprawdę, panie, nie powinien — gdyż po
słowach: »Niebo na cię spuści«, następuje rola Tyzby.
Ona ma wejść teraz, a ja mam ją spostrzedz przez
szparę w tym murze. Zobaczycie, że kubek w kubek
tak wypadnie, jak wam powiedziałem. Otóż i ona.

(Wchodzi Tyzbe).

Tyzbe. O, murze, coś me skargi słyszał tyle razy!

Za to, żeś od Pyrama dzielił mię, nieczuły —

Całowały wiśniowe me usta twe głązy,

Głązy, które się tulą w wapno i pakuły.

Pyram. Widzę głos jakiś, przeto w otwór oko włożę,

By twarz mej lubej Tyzby usłyszeć w otworze.

Tyzbe!

Tyzbe. Tyś to mój luby, tyś to sam, jak myślę.

Pyram. Myśl, co chcesz, jam twój luby w całej tu ozdobie.

I, jak Limander, wiary dochowam ci ściśle.

Tyzbe. Jak Helena, do śmierci będę wierną tobie.

Pyram. Safandula Prokrusy nie kochał tak czule.

Tyzbe. Ni Prokrusa tak wierną była Safandule.

Pyram. Pocałuj mię przez dziurę w tym szkaradnym
[murze.

Tyzbe. Zamiast twym ustom, daję pocałunek dziurze.

Pyram. Chceszże na grób Nygusa ponieść wraz twe
[kroki?

Tyzbe. Choćbym śmierć miała spotkać, przyjdę tam bez
[zwłoki.

Mur. Gdym już odegrał rolę całą w tym sposobie,
Ja mur, rzecz ukończywszy, stąd odchodzę sobie.
(*Wychodzi Mur, Pyram i Tyzbe*).

Tezeusz. Teraz już nie będzie muru między sąsiadami.

Demetryusz. Wszystko to jedno, miłościwy książę, gdyż
i tak mury zwykle mają uszy i podsłuchują bez ostrzeżenia.

Hipolita. Nigdy większego głupstwa nie słyszała.

Tezeusz. Najlepsze z widowisk tego rodzaju są tylko oмамieniem, a najgorsze stają się dobrami, jeśli je wyobraźnia podniesie.

Hipolita. Chyba twoja, a nie ich wyobraźnia.

Tezeusz. Jeśli nasza wyobraźnia tak zechce o nich trymać, jak oni sami o sobie, mogą się wydać doskonałymi. Otóż wchodzą dwie szlachetne bestye, człowiek i lew. (*Wchodzi Lew i Księżyc*).

Lew. Wy panie, których serca drżą w niezmiernej trwodze,
Jeśli mysz najdrobniejsza pomknie po podłodze,
Abyście tu przypadkiem nagle nie struchlały,
Gdy zaryczy lew dziką wściekłością zuchwały,
Ogłaszam, że nie jestem żaden lew ni lwica,
Lecz Spój, cieśla, w lwiej skorze. Wielka to różnica,
Bo, gdybym tu zaprawdę wszedł jak lew zajadły,
Jużby dni mego życia z kretesem przepadły.

Tezeusz. Nader łagodne zwierzę i z delikatnem sumieniem.

Demetryusz. Nigdy, książę, nie widział bezpieczniejszej bestyi.

Lyzander. Z odwagi lew ten istnym wydaje się lisem.

Tezeusz. Prawda, a gęsią z rozwagi.

Demetryusz. Przepraszam, książę, gdyż jego odwaga nie zdoła tak porwać rozwagi, jak lis gęś unosi.

Tezeusz. Jestem pewiem, że jego rozwaga nie zdoła porwać odwagi, bo gęś nie porywa lisa. Zresztą zostawmy to jego rozwadze, a teraz posłuchajmy, co księżyc nam powie.

Księżyc. Ta latarnia dwurożny wyobraża księżyc.

Demetryusz. Powinien był rogi na własnej głowie osadzić.

Tezeusz. Przecież już nie młodzik — księżyc ma rogi na młodziku, w pełni żadnych nie widać.

Księżyc. Ta latarnia dwurożny wyobraża księżyc,
Ja zaś niby człowiekiem na księżycu jestem.

Tezeusz. To jest najgrubszą ze wszystkich pomyłką. Należało wsadzić go w latarnię, inaczej jakżeż wydawać się może człowiekiem na księżycu?

Demetryusz. Boi się tam wejść z powodu świecy, gdyż, jak widzisz, ona już dostała wilka ze złości.

Hipolita. Już mi nudzi ten księżyc, chciałabym, żeby się zmienił.

Tezeusz. Znać po słabem świeciaku w jego głowie, że jest na schyłku. Wszelako przez grzeczność i z wszystkich innych względów wypada nam całą porę przeczekać.

Lyzander. Dalej, księżycu.

Księżyc. Wszystko, co mam powiedzieć, kończy się na oznajmieniu wam, że ta latarnia jest księżycem, ja człowiekiem na księżycu, ten krzak cierniowy moim krzakiem cierniowym, a ten pies psem moim.

Demetryusz. A więc wszystko to powinno być w latarni, gdyż wszystko przebywa na księżycu. Lecz cicho, Tyzbe nadchodzi. (*Wchodzi Tyzbe*).

Tyzbe. Na starego Nygusa grób, a gdzież mój luby?

Lew. Och! (*Lew ryczy, Tyzbe ucieka*).

Demetryusz. Dzielnieś, lwie, zaryczał.

Tezeusz. Dzielnieś uciekał.

Hipolita. Dzielnie świecisz, księżycu. Istotnie księżyc nader świeci uprzejmie.

(*Lew rozdziera płaszcz Tyzby i odchodzi*).

Tezeusz. Dzielnieś, lwie, potargał.

Demetryusz. A wtedy nadszedł Pyram.

Lyzander. I tak lew zemknął.

(*Wchodzi Pyram*).

Pyram. Dzięki, księżycu, za twe słoneczne promienie,
Dzięki, że tak w tej chwili jasnym świecisz tokiem,
Gdyż mi twe wdzięczne, złote, błyszczące strumienie
Dadzą się wiernej Tyzby nasycić widokiem.

Lecz stój, o, rozpaczy!

Zważ, rycerzu, co znaczy

Ten tu przeraźliwy cios?

Oczy, czy widzicie,

O, kotko, o, życie!

Jakże cię ten spotkał los?

Twój płaszcz ślicznie dziany,

Co? we krwi zbrzyzany?

Furye, przyjdźcie z piekła bram!

Parko, Parko, przyjdź, przyjdź,
Przetnij włókno i nić,
Zniszcz, strzaskaj, zdruzgocz i złam!

Tezeusz. Ta rozpacz i śmierć ukochanej osoby o małego człowieka smutnym nie czynią.

Hipolita. Na me serce, żal mi nieboraka.

Pyram. O, czemuż, przyrodzenie, tyś lwy utworzyło,
Gdy się miał tu lew podły pastwić nad mą miłą,
Co jest — nie, nie — co była najpiękniejszą damą,
Nikt nie umiał tak kochać, wdzięczyci się tak samo.

Deszczu łez, twarz mą zroś!
Wyskocz, mieczu, pchnij wskroś,
Gdzie Pyram ma piersi znak,
Ej, gdzie pierś lewa ta,
Gdzie serce kołata.

Tak umieram, tak, tak, tak!
Terazem trup ciałem,
Teraz już wzleciałem,
Duch mój wszedł do niebios bram.

Języku, twój blask zwlec!
Księżycu, zmykaj precz!
Już umieram, umieram.

(Umiera. Księżyc wychodzi).

Demetryusz. Żeby tak umierać, wierutnym trzeba być osłem.

Lyzander. Mniej jeszcze, niż osłem, przyjacielu, gdyż już umarł, a więc jest niczem.

Tezeusz. Przy pomocy cyrulika mógłby jeszcze odżyć i przekonać was, że jest w istocie osłem.

Hipolita. Jakże się stało, że księżyc odszedł, zanim Tyzbe wróciła i znalazła swego kochanka?

Tezeusz. Znajdzie go przy jasnym gwiazd świetle. Otóż i ona. Jej żałość sztukę zakończy.

(Wchodzi Tyzbe).

Hipolita. Zdaje mi się, że nie powinnaby długich wywozić żalów za takim Pyramem. Spodziewam się, że krótko się sprawi.

Demetryusz. Jeden pyłek zdoła przeważyć, kto z dwojga lepszy, czy ten Pyram, czy ta Tyzbe.

Lyzander. Już go spostrzegła lubemi oczyma.

Demetryusz. I tak jęczeć poczyna, widelicet:

Tyzbe. Twe oczy się zwarły,
Czy śpisz, czyś umarły?

Wstań, Pyramie, wstań, nie zwłócz!
Czyś wręcz niemy? Mów, mów!
Trup, trup? Grobowy rów
Miałżeby skryć blask twych ócz?
Twych ust blichtr liliowy,
I twój nos wiśniowy,
I twarz żółta, jak pierwiosnek,
Już, już zgasł każdy wdzięk!
Kochankowie nuż w jęk!
On miał oczy, jak czosnek!
Do mnie, wy siostry trzy,
W skok tu przybądźcie wy,
By blade, jak mleka ciecz,
Ręce we krwi tej zmyć,
Gdy mu jedwabną nić
Przeciął waszych nożyc miecz.
Języku! skarg nie głoś,
Niech twe ostrze w mą pierś tnie.
Żegnam wszystkich co tchu,
Tak Tyzbe kończy tu.
Drużki me, adje, adje. *(Umiera).*

Tezeusz. Został Księżyc i Lew, by umarłych pochować.

Demetryusz. O i Mur także.

Spodek. Bynajmniej. Ręczę wam, że już upadł mur, który przedzielał ich ojców. Raczycież teraz ujrzeć epilog albo usłyszeć bergamski taniec, wykonany przez dwóch z naszej kompanii?

Tezeusz. Proszę was, dajcie pokój epilogowi, gdyż wasza sztuka nie potrzebuje żadnej wymówki. Nie tłómaczcie się z niczego, bo gdy wszyscy aktorowie zabici, nie został żaden do naganiania. Zaprawdę, gdyby ten, co to napisał, przedstawiał był Pyrama i powiesił się na podwiązce Tyzby, byłaby to prześliczna tragedia, a i tak jest nią w istocie, i przytem doskonale została odegrana. No, teraz dalej do waszego bergamaska, a epilogowi dajcie pokój.

(Gbury tańczą).

Już żelazny, północny język bił dwanaście.
Kochankowie, do łóżnic. Czas już wieszczy prawie.
Lękam się, byśmy jutro ranka nie zaspali,
O ileśmy tej nocy czuwali za późno.
Ta tu niezgrabna sztuka dzielnie przyśpieszyła
Ciężki krok nocy. Do łóż, mili przyjaciele.

Przez dwa tygodnie będziem obchodzić te gody
W kole nocnych hulank i lubej swobody.

(Wychodzą).

SCENA II.

(Wchodzi Puk).

- Puk.** Wnet zaryczy lew zgłodniały,
A wilk na księżyc wyc zacznie,
Gdy kmieć ciężki, zbity cały
Dziennym trudem, chrapi smacznie.
Dogorywa mdłe zarzewie,
A sowa w piskliwym śpiewie
W łoże cierpienia nasunie
Choremu myśl o całunie.
Teraz nocy chwila głucha,
Groby zieją z paszcz do koła,
Każdy swego puszcza ducha,
By płaszał podle kościoła.
My zaś elfy, przy Hekaty
Potrójnym zaprzęgu gońce,
Co jak za snem w mroków światy
Uchodzim, gdy błysnie słońce,
Teraz hulamy. Ni myszy
Ten dom błogi nie usłyszcy.
Jam wysłan z miotłą, co zmiecie
Naprzód przede drzwiami śmiecie.
(Wchodzi Oberon i Tytania z swym orszakiem).
- Oberon.** Niech mdłe, gasnące zarzewie
Półświatłem dom ten rozświeci.
Skaczcie elfy, wieszczce dzieci,
Lekko, jak ptaszki na drzewie.
I za mną tę pieśń wesołą
Nućcie, skocznie tańcząc w koło.
- Tytania.** Naprzód powtórzcie ją razem,
Godząc ton z każdym wyrazem.
Z wieszczym wdziękiem splótszy ręce,
Nućcie, a ja dom poświęcę.
- Oberon.** Teraz, nim dzień przyśle zorzę,
Błądźcie, elfy, po tym dworze.
Nad tych nowożeńców łożem
Błogosławieństw wiano złożym,

A potomstwo w niem spłodzone
Posiędzie szczęścia koronę.
Będą wszystkie te trzy pary
Wiernie się kochać bez miary.
Nigdy ich dziełek nie splami
Srom natury brodawkami;
Warg zajęczych brzydkie znaki,
Żaden liszaj, ni trąd, jaki
Urodzenia krasę szpeci,
Nigdy nie skała ich dzieci.
Niech polną święconą rosą
Elfy szczęście tu rozniosą.
Każda jeden świecąc pokój
W tym pałacu, mir mu rokuj.
Potrwa on lat miliony,
Jego pan błogosławiony.
A więc tańczcie, mili,
Nie stańcie ni chwili,
Do mnie, gdy się dzień wychyli.
(Wychodzi Oberon, Tytania i orszak).

Puk. Gdyśmy zbłądzili, my cienie,
Rzecz się cała wraz ocali,
Tylko myślcie, żeście spali,
Gdy się snuło to marzenie.
Na czyzy przedmiot, liche baśnie,
Co się tylko kończą na śnie,
Miejcie wzgląd. Gdy przebaczycie,
Odpłacimy wam sowicie.
Puk uczciwy, ręczyć gotów,
Że, gdy szczęściem, nie zasługą,
Unikniem dziś wężych grotów,
Nagrodzim wam niezadługo;
Inaczej — łgarzem mię głóście.
Więc dobranoc, mili goście.
Kłaśnijcie, gdyście łaskawi,
A Puk lepiej wnet się sprawi.
(Wychodzi).



TLÓMACZENIE L. ULRICHA.

Dramat *The Merchant of Venice*, w pośmiertnym wydaniu *in folio* wśród komedii umieszczony, posiadamy w dwóch wcześniejszych drukach z datą 1600; z tych jeden okazał się jako istotnie pochodzący z roku 1619. W roku 1598 dzieło wśród komedii Shakespeara wymienia Franciszek Meres; dalej wstecz sięgają tylko przypuszczenia. W komedii *Wily Beguiled*, o której skądinąd wiemy, że istniała już w r. 1596, jest dyalog podobny do słów Lorenza i Jessyki na początku V aktu, rozbrzmiewających refrenem: »W taką to noc jasną...«; ale niewiadomo, czy to naśladownictwo czy może raczej wzór tego ustępu. W r. 1594 przez jakiś czas wspólnie z shakespearowską gra trupa zależna od Filipa Henslowe; ten spekulant teatralny w dzienniku swoim wśród sztuk repertuarowych zapisuje jakąś »Komedję wenecką« (*Venesyon Comedy*); ale to nie musi być utwór Shakespeara. Wiadomo wręcz, że w tym samym roku 1594 wiele hałasu w Londynie narobiło stracenie żydowskiego lekarza imieniem Lopez, który rzekomo nastawał na życie królowej Elżbiety; chociaż wiemy także o jego intrygach z portugalskim pretendentem tego imienia, co kupiec u Shakespeara, jednak niczego niema w losach ich obydwoh, coby kazało przypuszczać, że Lopez dostarczył rysów do postaci Shylocka, lub że jego sprawa pobudziła poetę do rozmyślań o kwestyi żydowskiej. Drobne podobieństwa w wystowieniu, w treści i rozmiarach ogólnikowych refleksyi nakazują umieścić dramat w chronologicznem sąsiedztwie »Króla Jana« i »Ryszarda II«; pewne szczegóły stylu i akcji przypominają wcześniejsze jeszcze dzieła: dużo jest młodocianego bombastu w miłosnych deklaracjach egzotycznego

konkurenta o rękę Porcyi (II, 7)¹⁾; ona sama o »mokrem łożu śmiertelnem« łabędzia, a Bassanio o papierze poranionym atramentowemi słowy, jakby ciało przyjaciela (III, 2), mówią afektowanym językiem pierwszych tragedji Shakespeara; Porcy z Neryssą o zalotnikach (I, 2) rozprawiają, jak Julia i Lucetta w komedji »Dwaj panowie z Werony« (I, 2)²⁾; do jednego z błazeńskich służących w tej komedji z nazwiska i funkcji dramatycznej podobny jest Lancelot Gobbo: scena między nim a starym wieśniakiem ojcem (II, 2) przypomina monolog Lancy o pożegnaniu z domem rodzicielskim (»Dwaj panowie z Werony«, II, 3), a inne błazeństwa, niedbale rzucone na papier dla zaspokojenia zwykłych wymagań publiczności, tak samo jak tam, nie łączą się organicznie z akcją³⁾. Tak samo wreszcie, jak w owej młodocianej komedji, i tutaj w jednym temacie połączona jest chwała poetycka uczuć miłości i przyjaźni; choć nie przychodzi ostatecznie, jak tam, do starcia między niemi, jednak w razie takiego Bassanio, jak wyraźnie zaznacza w scenie sądu (IV, 1), poświęciłby żonę dla przyjaciela, zupełnie jak Walentyn w komedji »Dwaj panowie z Werony« (V, 4). Sama przyjaźń, łącząca kupca z młodym kawalerem weneckim, jak z niejednego ustępu w pierwszym i czwartym akcie widać, ma ten sam nerwowo-sensytywny charakter, co zachwyty poety nad pięknym przyjacielem w »Sonetach«.

O ile jednak pewne właściwości łączą dzieło z utworami wczesnych lat londyńskich, o tyle z drugiej strony

¹⁾ Przypuszczano nawet, że te słabsze części utworu, sceny z zalotnikami (II, 7, 9) i z błazeńskim służącym (II, 2; III, 5) pisane były daleko wcześniej od reszty dramatu lub pozostały z urojonego »pierwotnego szkicu«.

²⁾ Powtarzając motyw, Shakespeare umie go odmienić: tam użyty jest wiersz, tu proza; tam krytykuje służebna, tu pani; tam satyra dotyczy dziwactw osobistych, tu właściwości narodowych. We włoskiej noweli, z której ta część akcji »Kupca weneckiego« pośrednio pochodzić może, pierwsza rozmowa damy w Belmont z towarzyszką już się wyłączenie obraca około głównego amanta i jego zalet.

³⁾ Jakby własną niechęć do tych koncesyj na rzecz upodobania publiczności w błazeństwach wypowiedział Shakespeare w słowach Lorenza (III, 5): »Wkrótce przyjdzie do tego, że prawdziwy dowcip będzie się najlepiej objawiał przez milczenie, a szermowanie gębą zalecać będzie tylko u papugi«. Słowa to znamienne dla postępu w dojrzałości poety od fazy »Straconych zachodów miłosnych«, gdy się sam dzieciłnie lubował w grze słów i konceptach. Wyraźniej i dobitniej potem w okresie tragicznym potępił błazeństwa przez usta Hamleta (III, 2).

dramat jako całość przez melodyę wiersza i bogactwo doświadczenia, przemawiające z charakterystyki osób i z licznych sentencji, stoi na poziomie najdojrzalszych utworów złotego wieku męskiego: filozoficzne uwagi o muzyce (V, 1) należą do najpiękniejszych lirycznych deklamacji w poezji Shakespeara, zaś słowa Porcy o królewskim dostojęństwie łaski i miłosierdzia (IV, 1) widocznie wyrażają myśl coraz bardziej przez poetę ukochaną, bo kilkakrotnie odzywają się echem w dramacie »Miarka za miarkę« (V, 1). Nadewszystko zaś o przynależności do okresu dojrzałej już mądrości poetyckiej Shakespeara świadczy postać Shylocka, która, zupełnie tak samo jak w »Henryku IV« Falstaff, wyrasta poecie pod ręką; ożywiając się i wypuklając, rozpiera należne jej w planie dramatu rami, i w ten sposób daje dowód większego już w umyśle poety zainteresowania dla życia duszy ludzkiej z całą jego falistą różnaitością i rozległością, niż dla geometrycznych wymagań dramaturgii. Shylock co prawda zarazem łączy dramat z samemi podstawami wcześniejszej twórczości poety, jako ostatnie może w poezji Shakespeara wielkie objawienie przemożnego na jego geniusz wpływu młodo zmarłego rówieśnika latami i natchnieniem, Krzysztofa Marlowa. Jego »Bogaty Żyd maltański«, Barrabasz, podobnie jak Shylock demonicznej pełni nienawiści do chrześcijan i podobnie ją wypowiadający¹⁾, jest od początku tytanem zbrodni i coraz potworniejszymi czynami zdumiewa widza i czytelnika; Shylock, figura w założeniu i przeprowadzeniu daleko umiarkowańsza, doskonałością tej miary artystycznej i psychologicznej tak samo się wznosi nad wzór u Marlowa i tak samo dowodzi postępu w emancypacji z pod jego potęgi, jak »Ryszard II«, w tym samym okresie powstały, w porównaniu z »Edwardem II« poprzednika. Barrabasz zarówno jak Shylock bawili i bez wątpienia bawili mieli publiczność teatru shakespeareowskiego śmieszna miłością do złota; i jeden i drugi ma córkę, której kochankiem jest chrześcijanin; ale u Marlowa ona nie kradnie ojcu ukochanego złota, lecz przeciwnie, dopomaga mu do odzyskania skarbów, i cały ich dalszy do siebie stosunek bierze odmienny zgoła, daleko bogatszy w gwałtowne perypetye obrót.

¹⁾ Materyał do szczegółowego porównania dzieł Shakespeara i mistrza jego młodości posiada dziś już i czytelnik polski dzięki tłumaczeniu »Żyda maltańskiego« przez J. Kasprówicza.

Historię okrutnego lichwiarza (*the bloody mind of usurers*) z przykładem wyboru według światowych pozorów i powodów (*the greediness worldly chusers*) — jak właśnie wybór złotej i srebrnej skrzynki przez pierwszych dwóch konkurentów Porcyi u Shakespeara — łączył, według świadectwa anty-teatralnego traktatu purytańskiego z roku 1579 (Stephen Gosson, *The School of Abuse*), już jakiś starszy dramat angielski *The Jew* (»Żyd«), stanowiący może bezpośrednio źródło »Kupca weneckiego«. W braku tego dramatu sięgnąć musimy do dawniejszych datą nowel, gdzie znajdujemy poszczególne główne motywy akcji shakespeareowskiej.

Funt ciała dłużnika jako zastaw na wypadek spóźnionej zapłaty — to temat wielokrotnie się powtarzający w dawniejszej nowelistyce europejskiej; najbliższą do shakespeareowskiej formę ma w zbiorze włoskim z r. 1378 p. t. *Il Pecorone*, którego autor zwie się »Jan z Florencyi« (Giovanni Fiorentino): i tu jest kupiec wenecki, który się zadłużył na wyprawę młodego przyjaciela po żonę; i tu także wierzycielem Żyd, a warunek w skrypcie co do funta mięsa brzmi prawie dosłownie, jak u Shakespeara; i tutaj siedziba damy nazywa się Belmont, i przebrana dama na rozprawie sądowej ocala dłużnika; i tu wreszcie już znajdujemy motyw pierścienia, który Shakespeare wyzyskał na poetyczny epilog w piątym akcie. Różnice w szczegółach po części mogą być dziełem doskonałej ręki mistrza, po części pochodzić już z jakichś ogniów pośrednich między nowelą a dramatem. Pominąć więc jest jako nieprzydatny na cele dramatyczne wstęp noweli, opowiadający szeroko i długo historię przyjaźni kupca z kawalerem. Do epicznego charakteru fabuły należy dalej okoliczność, że skrypt dłużny opiewa na termin trzech miesięcy: w *Pecorone* przyjaciel kupca, pozyskawszy swą damę, żyje szczęśliwie u jej boku aż do dnia zapłaty, który mu się przez przypadek przypomina; dramaturg w interesie spoistości akcji musiał wypadki gwałtownie pośpieszać: zaraz po chwili pozyskania Porcyi, a przed połączeniem małżeńskim, które musi wieńczyć koniec dramatu, przychodzą złe wieści od kupca: ten teatralny *tour de force* łagodzi poeta, starając się w poprzednich scenach i przez ciągłą zmianę miejsca — to Belmont, to Wenecja — i przez różne drobne aluzje — jak nadchodzące z dalekich stron wiadomości o rozbiciu okrętów Antonia — wytworzyć ilu-

zyc, że dłuższy czas upływa; mimo to wszystko efekt złowieszczygo listu zaraz po tryumfie Bassania działa z pełną bezpośrednio siłą. — Dość skomplikowane przygotowania Porcyi na interwencyę w sądzie są prawdopodobnie wymysłem Shakespeara: wyszkolony w procesach jego zmysł prawniczy wymagał, by to wmieszanie się niekompetentnego doradcy prawnego formalnie uzasadnić; w noweli włoskiej dama, przebrana za sędziego, przyjeżdża do Wenecyi, oberżysta jej opowiada o wypadku, ona każe po mieście rozgłosić, *com' era venuto un giudice da Bologna, che determinarebbe ogni quistione*, i obie strony na podstawie dobrowolnej umowy stają przed tym sędzią. Shakespeare, jak zwykle w swych komedjach, dla okazałości wprowadza na scenę naczelnego przedstawiciela władzy państwowej — Dożę: tego niema w noweli — nie zasiadał też w rzeczywistości w żadnym z weneckich trybunałów naczelnych; ponadto tworzy pośrednika dla Porcyi w postaci uczonego Bellaria¹⁾. Mniej dbałym niż o prawnicze jest Shakespeare o prawdopodobieństwo literackie: bohaterka noweli włoskiej *con certe erbe s'era trasfigurata la faccia*, by nie być poznaną; dla Porcyi, jak dla tylu innych pań shakespeareowskich, przebranie męskie jest rzeczą prostą i łatwą; jak inne, robi ona żarty na ten temat; a na scenie nowożytnej już kokieteria aktorki sprawia, że trudno w niej nie poznać kobiety.

W scenie sądu szczegóły argumentacyi przeważnie przejęte są dokładnie z noweli, i to z góry odbiera wartość spekulacyom nad shakespeareowską filozofią prawa. Potępiano wyrok Porcyi jako wybieg adwokacki²⁾; to znowu zachwycano się intuicyą prawniczą poety jako odzwierciedlającą w artystycznej krystalizacyi fakt ewolucyi prawa³⁾, jako sięgającą poza formalne prawo do wiekuistej sprawiedliwości moralnej⁴⁾: ale wyższość sprawiedliwości (*equity*) nad literę ustawy (*common law*) była już wtedy uznana zasadą jurysdykcyi angielskiej, praktykowaną przez trybunał kancelaryi królewskiej (*Court of Chancery*), a po-

¹⁾ Przypuszczano, że oryginałem Bellaria był głośny i obsypany honorami przez republikę wenecką profesor uniwersytetu w Padwie za czasów Shakespeara, Ottonello Discalzio, o którym Shakespeare mógł słyszeć od licznych Anglików, co tam studia odbywali.

²⁾ R. v. Ihering, *Der Kampf ums Recht* (Wiedeń 1872).

³⁾ J. Kohler, *Shakespeare vor dem Forum der Jurisprudenz* (Würzburg, 1883).

⁴⁾ J. Strasser, *Shakespeare als Jurist* (Halle a. S., 1907).

stępu w rozwoju prawa dramat Shakespeara nie przedstawia, bo istotnie pakt między kupcem a Żydem od początku przez wszystkich uznany jest za coś nienormalnego, i sam Shylock przy zawarciu nazywa go »żartem« (*a merry jest*). W samej rzeczy u Shakespeara, jak w *Pecorone*, poprostu chytrłość niewiasty triumfuje nad chytrnością Żyda, i gdyby ton dzieła poza sceną sądu nie był przeważająco pogodny, możnaby w tem nawet widzieć symptom nadchodzącego pesymizmu, że tutaj — podobnie jak w pełnym gorczy dramacie »Miarka za miarkę« — dobra sprawa nad złą przed trybunałem sprawiedliwości światowej tylko z pomocą podstępu tryumf odnosi.

W drobnych szczegółach scen sądowej i końcowych wielokrotnie znać wysubtelniające dotknięcie ręki poety. Nie sprowadza on na scenę kata z toporem, jak to czyni autor noweli, w momencie, gdy bohaterka grozi Żydowi śmiercią, jeżeli przeleje krew lub wytnie za dużo; z drugiej strony druzgoce poeta Żyda przez dodatkowe kary — utratę majątku i religii — czego niema ani w *Pecorone* ani nigdzie indziej. Wykwintniej znowuż od Włocha traktuje Shakespeare motyw pierścienia ślubnego: w noweli podejrzenie żony, że pierścień dostała kobieta — »jakaś dawna kochanica wenecka« bohatera (*qualche vostra manza antica*) — wypowiedziane jest daleko dobitniej i uzasadnione przez przedłużenie pobytu w Wenecyi; Shakespeare poezji swego epilogu gwałtowną sprzeczką małżeńską nie mąci, a główny ciężar zazdrosnych wyrzutów z Porcyi przewala na Nerisę (choć Porcyi każe żart wymyślać); motywu, że i przyjaciel bohatera daje swój pierścień żonie, przebranej za pisarza adwokackiego, niema wcale w noweli, bo niema tam wogóle figur, odpowiadających Gracyanowi i Nerissie; ze służebnicą żony, niegdyś mu pomocną przy jej zdobyciu, przyjaciel kupca w końcu żeni kupca samego. Zamiast tego Antonio u Shakespeara otrzymuje na zakończenie od Porcyi pocieszającą wiadomość, że okręty jego szczęśliwie powróciły.

Historję o kupcu i Żydzie i o funcie mięsa, ale bez wzmianki o przyjacielu kupca i jego konkurach, opowiada także niewiadomej daty i pochodzenia stroficzna ballada angielska »Żyd wenecki Gernutus«. Niektóre drobniejsze szczegóły, jak ostrzenie noża w scenie sądu, spotykamy tylko tutaj i u Shakespeara; w innych ballada różni się od »Kupca weneckiego«: niema w niej nic

o tem, że się Żydowi zakazuje rozlewu krwi przy wycinaniu mięsa, jest tylko zastrzeżenie, żeby wyciął dokładnie funt a nie więcej. Stosunek ballady do dramatu Shakespeara, względnie do jakiegoś poprzedniego o podobnym temacie, z faktów, jakimi rozporządzamy, wyjaśnić się nie da. Inna jeszcze ballada angielska, »Pan z północy« (*The Northern Lord*), sklecona z różnych romantycznych awantur, pochwytych w teatrze i lekturze, zawiera także motyw fatalnego długu w formie shakespeareowskiej, oraz wyrok z ust żony dłużnika, przebranej za sędziego; ale dla studjum źródeł »Kupca weneckiego« ten utwór nie ma chyba żadnego znaczenia.

Dodatkowego źródła do samej sceny sądu, a mianowicie do wywodów Shylocka w obronie swego prawa, dopatrywano się w zbiorze ćwiczeń retorycznych Aleksandra Silwayna p. t. *Orator*, tłumaczonym na angielskie w roku 1596. Sytuacja tu identyczna: motyw funta mięsa, wzięty z *Pecorone* czy skądkolwiek indziej, użyty jest jako podstawa do dwóch wielkich mów sądowych: mowy wierzyciela-Żyda i dłużnika-chrześcijanina. Ale argumentacja w tych mowach nic prawie nie ma wspólnego z shakespeareowską: Żyd powołuje się na to, że nie on ma prawo wycinać funt mięsa, lecz dłużnik ma mu sam oddać wybrany dowolnie funt własnego ciała; chrześcijanin w długiej elukubracji apeluje do fanatyzmu anty-żydowskiego: Antonio u Shakespeara jest zupełnie zrezygnowany.

Pewne wreszcie drobne dane do sceny paktu między Żydem a chrześcijaninem mógł Shakespeare znaleźć w piśmianym na sposób staroświecki alegoryczno-moralizującym dramacie aktora Roberta Wilsona »Trzy władczynie Londynu« (*The Three Ladies of London*, druk. 1584), gdzie jednak żydowski wierzyciel Gerontus jest figurą szlachetniejszą od niegodziwego chrześcijańskiego dłużnika Merkatora, który go chce o całą sumę trzech tysięcy dukatów oszukać; niema tu zresztą mowy o funcie mięsa, i niema oczywiście tych nieśmiertelnych wyrazów świadomości narodowej żydowskiej, jakie Shakespeare włożył w usta Shylocka.

Wśród motywów noweli w *Pecorone* najmniej przydatnym do dramatycznego opracowania — bo i epicznym w swej przewlekłości i nie-heroicznym przez pomoc trzeciej osoby i nie-scenicznym, jako rozgrywający się w sy-pialni — był sposób pozyskania damy w Belmont przez

bohatera; wyłączył go więc z fabuły dramaturg — może już jakiś poprzednik Shakespeara — i zastąpił wyborem skrzyniek. Podobne jak motyw funta mięsa, tak i ten niezmiernie jest rozpowszechniony w różnych średniowiecznych zbiorach moralnych opowieści. W formie najpodobniejszej do shakespeareowskiej znajduje się w kolekcji, zawierającej także jedną z wersji historii o funcie mięsa, a w całej Europie przez kilka stuleci, niezmiernie popularnej, mianowicie w *Gesta Romanorum*; tłumaczenie tych łacińskich powiastek na język angielski (tak samo jak na wiele kontynentalnych) istniało już w średnich wiekach, a dla pokolenia elżbietańskiego w odnowionej formie siedem razy je wydał w latach 1577—1601 Ralph Robynson. Tu jedynie chodzi, jak u Shakespeara, o trzy skrzynki, złotą, srebrną i ołowianą; osobą wybierającą w *Gesta* jest nie mężczyzna, lecz kobieta, ale podobieństwo do sytuacji shakespeareowskiej jest w tem, że przez ten wybór bohaterka ma się okazać godną królewskiego małżonka. Najściślejsze są analogie, a zarazem najcharakterystyczniejsze odmiany, w napisach na skrzynkach: złota w noweli ma napis prawie ten sam, co shakespeareowska srebrna: »Kto mnie wybierze, znajdzie, co zasłużył«; — srebrna tylko formą obietnicy różni się od shakespeareowskiej złotej: tam ma być, »co wielu nęci«, w noweli, »czego natura ludzka pragnie«; — wreszcie ołowiana w *Gesta* temu, co ją wybierze, zapowiada, »co Bóg zarządził«, u Shakespeara każe wyborcy »stawić na hazard wszystko, co posiada«. Trudno zaiste o wspanialsze przeciwstawienie światopoglądu średniowiecznego, w którym panują autorytety religijne i świeckie, z renesansowym, którym rządzi rozmach wyzwolonej osobistości.

W *Gesta* dwie skrzynki zawierają drogie kamienie, tylko złota — kości trupie: u Shakespeara większa jest rozmaitość. O urozmaiceniu stara się także poeta w obramowaniu motywu: całe bogactwo akcesoryów tworzy sobie sam; przez osoby zamorskich gości, szczególnie księcia marokańskiego, zdobnego w całą dumę i przepych wschodniego despoty, — potęguje czar kolorytu weneckiego. Bassaniowi przy wyborze dopomagają nieco słowa piosenki, śpiewanej na rozkaz Porcyi; mimo to jednak zachowana mu jest aureola bohaterskiej samodzielności, a że mu w oczach poety ujmy nie przynosi zapowiedziana

z góry rola konkurenta o wielki posąg zarówno jak piękna osobę, — to najwymowniej stwierdza sama Porcyia w swej deklaracji uległości małżeńskiej, streszczając znane i z »Poskromienia złoŹnicy« (V, 2) zapatrywania poety na stanowisko i obowiązki żony (III, 2).

Z poważną akcją kupca i jego przyjaciela Shakespeare, zwyczajem w ówczesnej dramaturgii pospolitym, połączył dodatkową: uprowadzenie Żydówki przez chrześcijanina. Sprawa Jessyki, jak cała jej figura, wyraźnie ma charakter konwencyjonalno-dekoracyjny: czemże byłaby »komedia wenecka« bez jednego choćby uprowadzenia, bez masek i serenady, — czem typowa komedia shakespeareowska bez ucieczki panny w przebraniu męskim? Historyk powieści Dunlop znalazł podobną do dziejów Jessyki nowelę włoską w kolekcji Masuccia Salernitańczyka z XV wieku: i tam jest uprowadzenie córki skąpca z kradzieżą kosztowności przy pomocy kogoś ze służby; i tam rozpacz ojca podzielona między utratę córki a skarbów, jak u Shylocka. Ale poza tem — jeżeli wogóle motyw przez jakieś pośrednictwo ze zbioru Masuccia pochodzi — dużo jest samodzielnego mistrzostwa poety, szczególnie w obrazie typowo żydowskiej miłości rodzicielskiej Shylocka. Jessyka w tym względzie wydać się musi rażąco płytką; nieliczne słowa współczucia dla ojca wtrąca jakby tylko dla przywoitości; ale i Rozalinda w sielance »Jak się wam podoba« nie chce mówić o wygnanym ojcu, gdy w lesie ardeńskim jest kochanek (III, 4). Lorenzo chwali roztropność swej żydowskiej oblubienicy: istotnie, uciekając z domu z pieniędzmi, okazała ona, że nie gorzej od ojca zna się na ich wartości, choć je potem lekkomyślnie trwoni. Wogóle nie jest Jessyka bynajmniej tą wyzwoloną od wymagań moralności, eteryczną istotą, jaką w niej podziwiają niektórzy miłośnicy poezyi Shakespeara; prostym instrumentem jego liryki staje się dopiero w akcie końcowym.

Uprowadzenie Jessyki prócz swego celu ornamentalnego służy przedewszystkiem i głównie charakterystyce Shylocka, która wbrew może pierwotnej intencji poety wyrasta na jeden z głównych problemów dramatu. Zapewne Shakespeare nie zamierzał uczynić Shylocka niczem innym, jak jedynie komicznym intrygantem, i niejednokrotnie w ciągu dramatu, dolepiając do poważnych jego słów efekty komiczne, jakby sam się do tego początko-

wego zamiaru nawoływał¹⁾. Że jednak Żyd wenecki dla dzisiejszego człowieka jest postacią wzruszającą, tego z pewnością nie wyłączenie dokonały nowożytnie interpretacje przez pisarzy jak Heine i rozlicznych wielkich aktorów; Shakespeare nie byłby dał jego ekspozycji, a potem wyrzekaniom, tyle miejsca w dramacie, gdyby się nie był choć chwilami głęboko przejmował krzywdą jego narodu i osoby. Poetyckiem streszczeniem całej historii żydostwa w średniowiecznej i jeszcze w renesansowej Europie²⁾ jest wszystko, co do siebie i do panów weneckich mówi Shylock, i co oni mówią do niego, w trzeciej scenie pierwszego aktu; później, po utracie córki, już nie tyle jest historyczno-reprezentatywnym co indywidualnym w swej psychologii: litość naszą budzi nie uosobienie wzgardzonej rasy, lecz skrzywdzony i spragniony zemsty człowiek. Przejście od typowej do ogólnoludzkiej postawy Shylocka geometrycznie prawie określić można jako zawarte w pojętych jego słowach z początkiem trzeciego aktu, gdzie sam Żyd stawia się na równi z chrześcijanami w chęci pomsty za osobistą krzywdę. Tak samo, jak w akcji Shylocka, tak i w sprawie Porcyi i Bassania akt trzeci jest decydującym i zwrotnym; w jednej i drugiej akt drugi przygotował wypadki na tę perypetję w trzecim; jedną akcję z drugą łączy w scenie sądu akt czwarty; piąty w całości jest epilogiem, pierwszy cały wypełniony ekspozycją. Podziwiać więc należy w tym dramacie obok tylu innych doskonałości także skończoną symetrię architektury zewnętrznej.

Podobnie jak na rysunek postaci Shylocka składają się cechy dwojakie: narodowo-żydowskie i ogólnoludzkie, tak i Antonio zbudowany jest z dwóch elementów, tylko jeszcze sprzeczniejszych, wprost przeciwnych sobie. Przekiętny widz i czytelnik w jego spokojnej, małomównej męskości, w jego rozsądku i doświadczeniu widzi żywioł statecznej rozważi i świadomej siły woli wśród gry afek-

¹⁾ Tak się n. p. dzieje, gdy Shylock, usłyszawszy, że córka dała jego pierścień za małpę, wzrusza nas wzmianką, że pierścień był darem zaręczynowym od zmarłej żony, — a zaraz potem śmieszny zapewnieniem, że nie oddałby go „za cały las małp” (III, 1).

²⁾ Nawet światły Giordano Bruno, jeden z najliberalniejszych ludzi Odrodzenia, mówi o Żydach z fanatyczną, staroświecką nienawiścią (Stoll, *Shylock*, w amerykańskim czasopiśmie *Journal of English and German Philology*, 1911).

tów ludzkich wokoło; figura tytułowa, to jakby *der ruhende Pol in der Erscheinungen Flucht*. Z drugiej strony jednak już pierwsza scena utworu ukazuje nam Antonia jako trochę dziwaka, podlegającego nieuzasadnionym humorom melancholijnym, histerycznie nerwowego w entuzjazmie uczuć przyjacielskich. Połączyć taki portret na wstępie z takim ostatecznym efektem, to prawdziwa próba siły artysty psychologicznego. I tu więc sam sobie poeta wystawia świadectwo dojrzałości.

Dojrzałą równowagę i harmonię w stosunku do otaczającego świata podziwiamy na postaciach Porcyi i Bassania, szczególnie gdy je porównamy z nieszczęsną parą kochanków w tragedii młodocianej miłości „Romeo i Julia”. Wyobrażamy ich sobie jako starszych; tamci giną w rozpaczliwej walce z rzeczywistością, ci spokojnie patrzają jej w oczy i ponad poezję tej rzeczywistości samej nie sięgają. Porcyę¹⁾ przedewszystkiem wielbimy jako niewiastę głęboko mądrą, pewną w sądzie o ludziach i rzeczach; niedarmo w jej usta włożył poeta najszczytniejsze może słowa ludzkiej mądrości w dramacie — słowa o litości (IV, 1); porównanie wynurzeń Julii w scenie balkonowej (II, 2) z oświadczeniem Porcyi po wyborze skryzki przez Bassania (III, 2) w całej pełni ukazuje godność jej dojrzałego intelektu i charakteru. Ta większa dojrzałość, ta zgoda z życiem, a nawet upodobanie w jego bogactwie i piękności, jak je objawiają Porcyia i Bassanio, — to wszystko z pewnością także cechy właściwe poecie samemu w tym okresie życia osobistego.

Ten sam przejściowy stan zupełnej równowagi, w środku między przesadą ornamentalną młodości a przesadą refleksyjną lat późniejszych, wyraża także s t y l „Kupca weneckiego”; wyraża przedewszystkiem właściwość stylistyczną u poety z latami coraz obfitsza i w końcu często tłumiąca siłę dramatyczną, mianowicie g n o m i k a. Ogólne uwagi i refleksje więcej w tym dramacie zajmują miejsca, niż w którymkolwiek poprzednim, prócz podobnego i bogactwem i treścią medytacji „Ryszarda II”. Ta mnogość sentencji już zapowiada późniejsze stadyum twórczości,

¹⁾ Wykluczeniem nie jest, że Porcyia, jasnowłosa można pani, do której z całego świata zjeżdżają się dostojni konkurenci, mogła i poniekąd miała budzić u shakespeareowskiej publiczności wyobrażenie o królowej Elżbiecie. Ale tak ukryty komplement nie byłby spełniał swego celu.

gdy ludzie Shakespeara wciąż ponuro dumają nad najwyższymi zagadnieniami bytu. Tutaj jednak — i w tem charakterystyczna różnica — treścią rozmyślań nie jest metafizyka; obracają się one głównie wokoło faktów życia i doświadczenia i, jak soczyste owoce, wiszą na drzewie akcji dramatycznej. Czy to Gracyano dowcipnie charakteryzuje ludzi udrapowanych w sztuczną powagę (I, 1); — czy ten sam rozprawia o rozkoszy pragnienia a przesycie posiadania (II, 6); — czy Bassanio medytuje o znikomości pozorów zewnętrznych (III, 2); — czy Porcyca wielbi królewskie dostojeństwo miłosierdzia (IV, 1); — czy wreszcie Lorenzo deklamuje cuda filozoficzne o świetle księżycy, potędze muzyki i platońskiej harmonii sfer (V, 1): wszędzie jest doskonałe zastosowanie myśli do tego, co się dzieje na scenie; spekulacye nie narzucają się tyrańsko człowiekowi, jak w późniejszych dramatach Shakespeara, hamując jego zdolność do czynu; przeciwnie, same z jego postępów i przygód się wywiązują; a tak się rodząc, jak Afrodyte z piany morskiej, wychodzą w kształtach nieskazanej symetrii poetyckiej. Jaka była zasługa dramaturgiczna Shakespeara, gdy pisał »Kupca weneckiego«, — nie wiemy dokładnie, bo nie znamy bezpośredniego źródła; to jednak orzec możemy na pewno, że jako poemat utwór ten jest wśród jego dzieł jednym z najbardziej skończonych i doskonałych.

OSOBY:

Doża wenecki.
 Książę Maroka.
 Książę Aragonii.
 Antonio, kupiec wenecki.
 Bassanio, jego przyjaciel.
 Solanio, }
 Salarino, } przyjaciele Antonia i Bassania.
 Gracyano, }
 Lorenzo, zakochany w Jessyce.
 Szajlok (Shylock), Żyd.
 Tubal, Żyd, jego przyjaciel.
 Lancelot Gobbo, błazen, sługa Szajloka.
 Stary Gobbo, ojciec Lancelota.
 Leonardo, sługa Bassania.
 Baltazar, }
 Stefano, } słudzy Porcy.
 Porcyca, bogata dziedziczka.
 Neryssa, jej służąca.
 Jessyka, córka Szajloka.

Panowie weneccy, Urzędnicy trybunału, Odźwierny więzienia, Studzy.

Scena częścią w Wenecyi, częścią w Belmont, majątku Porcy na stałym lądzie.

KUPIEC WENECKI.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Ulica w Wenecyi.

*(Wchodzą: Antonio, Salarino i Solanio).***Antonio.** Prawdziwie, nie wiem, dlaczegom tak smutny;

I siebie i was, jak mówicie, nudzę;
 Ale jak na mnie spadła ta tęsknota,
 Z czego się składa, jak się wyrodziła,
 Sam nie wiem dotąd.

Smutek ten wszystkie myśli mi tak mąci,
 Że sam się nieraz ledwo poznać mogę.

Salarino. Myśl twa z morskimi tłucze się falami,
 Gdzie twe okręty z rozpuszczonym żaglem,
 Jak oceanu bogaci mieszczanie,
 Lub, że tak powiem, morskie dziwowisko,
 Z pogardą patrzą na kramarskie barki,
 Które pokorne biją im pokłony,
 Gdy je tkanemi mijają skrzydłami.

Solanio. Gdybym ja wodzie me powierzył mienie,
 Wierzał mi, lepsza uczuć moich cząstka
 Tamby za moją pobiegła nadzieją;
 I ciągle trawę wyrwałbym z ziemi,
 Ażeby odkryć, skąd wiatr teraz wieje;
 Po mapach ślepił porty, groble, tamy;
 I wszystko, co mym statkom grozić może,
 W duszyby mojej smutek rozbudzało.

Salarino. Sam oddech, którym studziłbym mą zupę,
 Febryczne zimno w serceby mi wlewał
 Na myśl, co może wielki wiatr wśród morza.
 Nie mógłbym patrzeć na klepsydry piasek
 I wraz nie myśleć o morskich mieliznach,
 Nie widzieć, jak tam bogaty mój *Andrzej*
 Niżej swych boków pochylonym masztem
 Grób swój całuje. Nie stawiałbym nogi
 W kamiennych ścianach świętego kościoła,
 I wraz nie myślał o skałach podwodnych,
 O które statek mój trącając piersią,
 Wonne korzenie rozsiałby po morzu,
 Fale ryczące w jedwab' mój ustroił;
 Słowem, przed chwilą być panem tak wielkim,
 Po chwili — niczem. Kiedy o tem myślę,
 Czyż mogę zaraz nie myśleć i o tem,
 Że jeśli moja sprawdzi się obawa,
 Długiego smutku dnie na mnie czekają?
 Darówno przeczyć; Antonio jest smutny,
 Bo myśli o swych towarach na morzu.

Antonio. Nie, przyjaciele. Dzięki mojej doli,
 Niejeden statek majątek mój niesie,
 W niejednym miejscu, i cobądź wypadnie,
 Rok ten mojego losu nie jest panem.
 Smutków mych źródłem nie myśl o towarach.

Salarino. To może miłość?**Antonio.** Co za przypuszczenie!**Salarino.** Ani też miłość? Więc pozwól powiedzieć:

Dłategoś smutny, żeś nie jest wesoły;
 I równie łatwo byłoby ci tańczyć.
 Mówić, żeś wesoły, bo nie jesteś smutny.
 Przysięgam na dwie janusowe głowy,
 Natura lepi zabawne figury:

U jednych radość ciągle z ocz wygląda,
 Śmieją się ciągle, jakgdyby papugi
 Na kobzy odgłos; drudzy, z kwaśną miną,
 Nigdy w uśmiechu zębów nie pokażą,
 Choć Nestor świadczy, że żart śmiechu godny.

(Wchodzą: Bassanio, Lorenzo i Gracyano).

Solanio. Otóż szlachetny twój krewny Bassanio,
 Gracyan, Lorenzo. Bywajcie więc zdrowi,
 W lepszem was teraz zostawiamy kole.

Salarino. Gdyby nie przyszli godniejsi ode mnie,

Byłbym tu został, żeby cię rozerwać.

Antonio. Waszą obecność zawsze drogo cenię.

Przypuszczam teraz, że wam interesa

Korzystać każą z pierwszej sposobności.

Salarino. Więc do widzenia, łaskawi panowie.

Bassanio. Kiedyż się znowu pośmiejemy razem?

Rzadcy z was goście od pewnego czasu.

Salarino. Będziem korzystać z pierwszej sposobności.

(*Wychodzą: Salarino i Solanio*).

Lorenzo (do Bassania). Skoro znalazłeś Antonia, odchodzim,

Ale pamiętaj, że razem na obiad

Spotkać się mamy.

Bassanio. Nie chybię godziny.

Gracyano. Antonio, w twarzy twojej czytam cierpienie;

Światowe rzeczy zbyt wysoko cenisz:

Traci je, kto je kupuje tak drogo.

Wierzaj mi, wielka, dziwna w tobie zmiana.

Antonio. I ja też świat ten, ile wart jest, cenię,

Jak scenę, kędy każdy gra swą rolę;

A mnie tragiczna rola się dostała.

Gracyano. To ja znów śmieszka wolę przyjąć rolę:

Niech przyjdą marszczki wśród tańców i śmiechu.

Wolę, niech wino śledzionę przepali,

Niż żeby serce zmroziły westchnienia.

Czemuż ma człowiek z gorącą krwią w żyłach

Siedzieć, jak posąg starego pradiadka?

I spać czuwając, ciągle w złym humorze,

Zawlec się w końcu w królestwo żółtaczeki?

Słuchaj, Antonio, a słowa te przyjaźni

Natchnęła szczerą: są na ziemi ludzie,

Na których twarzy, jak stojącej wodzie,

Rozmyślna ciszy zsiada się skorupa,

Aby ich ubrać w mądrość i powagę,

Nadać im pozór głębokości myśli;

Zda się, że prawią: »Jam jest pan Wyrocznia,

A gdy ja mówię, niech i pies nie szczeka«.

O, mój Antonio, niemało znam ludzi,

Którzy dlatego za mądrych uchodzą,

Że ciągle milczą; a nie wątpię wcale,

Że byle tylko otworzyli usta,

Będą przeszkodą zbawieniu słuchacza,

Bo swoim bliźnim głupców da on imię.

Lecz później o tem pogadamy dłużej;

Teraz cię proszę, na ten smutny haczyk

Nie tów kiełbika głupców — próżnej chwały.

Śpieszmy, Lorenzo. Bądź zdrów, przyjacielu,

Moje kazanie skończę po obiedzie.

Lorenzo. Więc zostawiamy cię aż do obiadu.

I ja być muszę jednym z niemych mędrców,

Gracyano bowiem mówić mi nie daje.

Gracyano. Żyj tylko ze mną przez dwa lata dłużej,

A brzmień własnego zapomniesz języka.

Antonio. I mnieby przedmiot ten gadułą zrobił.

Gracyano. Co daj ci Boże! ja chwałę milczenie

Tylko w wędzonym wołowym orozie,

Tylko w dziewczynie, co nie jest na sprzedaż.

(*Gracyano i Lorenzo odchodzą*).

Antonio. I cóż to wszystko znaczy?

Bassanio. Gracyano plecie nie do rzeczy bardziej, niż kto-

kolwiek w całej Wenecyi. Rozsądne myśli są u niego,

jak dwa ziarenka pszenicy w dwóch korcach plew scho-

wane; trzeba ci szukać dzień cały, nim je znajdziesz,

a gdy znajdziesz, zobaczysz, że nie było czego szukać.

Antonio. Powiedz mi teraz, co to za kobieta,

Do której tajną ślubujesz pielgrzymkę?

Wszak dziś mi wszystko wyjawić przyrzekłeś.

Bassanio. Wiesz o tem dobrze, kochany Antonio,

Jak zadłużyłem dziedziczny majątek,

Życie na wyższą trochę wiodąc skalę,

Niż dozwalały szczupłe me dochody.

A nie myśl, proszę, bym się na to zalił,

Że mi z dawnego spuścić trzeba tonu.

Dziś myślę tylko, jakbym mógł z honorem

Wyptacić długi, w które mnie lat młodych

Zbyttnia rozrzutność ciężko uwikłała.

Tobie najwięcej winienem w miłości,

Tobie w pieniądzech; w przyjaźni twoją ufny,

Dziś ci wyjawię plany i zamiary,

Jak się uiszczyć ze wszystkich chcę długów.

Antonio. Dobry Bassanio, mów ze mną otwarcie;

A jeśli plan twój, jak życie twe dotąd,

Z drogi honoru nie zejdzie w manowce,

Moja szkatuła, osoba, me wszystko

Stoi otwarte na twoje rozkazy.

Bassanio. Kiedym był dzieckiem, a straciłem strzałę,

W też samą stronę wystrzelilem drugą,
 Z tą samą siłą, lecz większą bacznością,
 A tak, na stratę narażając obie,
 Nieraz mi obie znaleźć się udało.
 Dziecinny przykład dlatego przywodzę,
 Że, co mam mówić, równie jest niewinne.
 Wielem ci winien; jak pusty młodzieniec,
 Wszystkom to stracił; lecz jeżeli zechcesz
 W tę samą stronę strzałę cisnąć drugą,
 Ja, z niej mojego nie spuszczać oka,
 Nie wątpię wcale, że lub obie znajdę,
 Albo przynajmniej drugą ci powrócę,
 Za pierwszą wdzięcznym zostając dłużnikiem.

Antonio. Wszak znasz mnie dobrze, i tylko czas tracisz,

Do mego serca mówiąc z ogródkami.
 Szczerze ci wyznam, że mnie krzywdzisz więcej,
 Wątpiąc na chwilę o mej gotowości,
 Niż gdybyś całe me zmarnował mienie.
 Powiedz otwarcie, co w twojem mniemaniu
 Dla twej usługi zrobić jestem zdolny,
 A jestem gotów. Czekaam na odpowiedź.

Bassanio. Jest w Belmont młoda, bogata dziedziczka,

Piękna, piękniejsza nad wszelkie wyrazy,
 A cnoty pełna. Kiedyś, z jej żrenicy
 Nieme poselstwa szczęsny odbierałem.
 Imię jej Porcyą; a mierzyć się godna
 Z córką Katona, Brutusową Porcyą.
 Piękność jej znana całemu jest światu,
 Bo cztery wiatry, z czterech krańców ziemi,
 Zwiewają do niej świetnych zalotników.
 Jasne jej włosy wiją się na skroniach
 W bogatych splotach, jakby złote runo,
 Zmieniają Belmont na kolchidzkie brzegi,
 Do których Jazon niejeden się puszcza.
 O, gdybym tylko wynalazł sposoby
 Dotrzymać placu mym współzalotnikom,
 Jakież przecucie szepce mi do ucha,
 Że tam, że w Belmont szczęście na mnie czeka.

Antonio. Wiesz, że na morzu całe moje mienie,
 Że nie mam teraz w domu gotowizny,
 Ani sposobów zebrać jej dość śpiesznie,
 Lecz próbuj, co mój kredyt w mieście może;
 Wszystkie ofiary ponieść jestem gotów,

Byle cię godnie do Belmont wyprawić.
 Szukajmy tylko, gdzie gotowy pieniądz,
 A ja pożyczki znajdę już sposoby
 Na mą rękojmię, lub dla mej osoby.

(*Wychodzą*).

SCENA II.

Belmont. — Pokój w domu Porcyi.

(*Porcyą i Neryssa*).

Porcyą. Wierzaj mi, Nerysso, ten wielki świat znudził już
 małą moją osobę.

Neryssa. Wcaleby mnie to nie dziwiło, droga pani, gdyby
 twoje utrapienia równie były liczne, jak twoje pomyśl-
 ności. A jednak, wnosząc z tego, co widzę, przekony-
 wam się, że przesył, równie jak głód, szkodzi zdrowiu.
 Niemale to więc szczęście stać w pośrodku: dostatek
 siwieje wcześniej, lecz mierność żyje dłużej.

Porcyą. Dobrze i dobrze wyrażone maksymy.

Neryssa. Byłyby lepsze, gdyby się stosowano do nich le-
 piej.

Porcyą. Gdyby wykonać tak łatwo było, jak wiedzieć, co
 do wykonania dobre, od dawna kaplice zmieniłyby się
 w kościoły, a ubogich lepianki w książęce pałace. Do-
 bry ten pleban, który własne pełni nauki. Łatwiej mi
 radzić dwudziestu, jak postępować należy, niż być jedną
 z dwudziestu, gotową iść za moją radą. Mózg może
 dla krwi pisać prawa, lecz gorący temperament zimne
 przepisy przeskoczy; jak zając, szalona młodość prze-
 sadzi sidła koślawca, dobrej rady. Ale wszystkie te
 piękne rozumowania nie będą mi pomocą w wyborze
 małżonka. Ach, nieszczęśliwa! co ja mówię o wybo-
 rze, gdy mi nie wolno ani wybrać, kogo pragnę, ani
 odrzucać, kogo nienawidzę. Tak więc wola żyjącej
 córki poddać się musi woli umarłego ojca. Nie jestże
 to, Nerysso, twarda dola, że ani wybrać, ani odrzucić
 nie mogę?

Neryssa. Ojciec twój, pani, zawsze był cnotliwy, a święte
 osoby, w godzinę śmierci, mają dobre natchnienia. Lo-
 terya więc, którą wymyślił w tych trzech szkatułkach
 ze złota, srebra i ołowiu (z których kto po jego myśli

wyberze, ciebie wyberze), nie da, bez wątpienia, szczęśliwego losu tylko temu, który szczerze kochać cię będzie. Ale jestże w twojem sercu gorętsze jakie uczucie dla kóregookolwiek z przytomnych tu książęcych twoich zalotników?

Neryssa. Mianuj ich po kolei, a na każdego imię dam ci jego opis; z opisu bierz uczuć moich miarę.

Porcyą. Naprzód, jest tu książę neapolitański.

Neryssa. To prawdziwy żróbek, w stajni wychowany; nie mówi o niczem, tylko o swoim koniu, a główną ze swoich doskonałości w tem widzi, że go sam potrafi okuć. Boję się, czy jego pani matka nie zapatrzyła się na kowala.

Neryssa. Następnie, jest tu hrabia Palatyn.

Porcyą. Ten marszczy się tylko, jakby chciał mówić: »jeśli mnie nie chcesz, wybieraj«. Słucha wesołych powieści, a nie uśmiecha się. Lękam się, aby na stare lata nie został płaczącym filozofem, gdy za młodu tak w smutku jest niepomiarkowany. Wolałabym raczej wziąć za męża trupią głowę z piszczelą w zębach, niż z dwóch tych jednego. Od obu zachowaj mnie, Panie!

Neryssa. A co mówisz o szlachcicu francuskim, monsieur le Bon?

Porcyą. Bóg go stworzył, niech więc uchodzi za człowieka. Wiem ja, że to grzech jest szdyzić; aleć on! on lepszego ma konia, niż Neapolitańczyk, lepszy zły niż łóg marszczenia czoła od hrabi Palatyna; posiada wszystkich ludzi przymioty, choć nie jest człowiekiem; niech drozd świśnie, on już wybija hołupce; gotów fechtować się z własnym cieniem. Biorąc go za męża, wzięłabym dwudziestu mężów. Gdyby mną wzgardził, przebaczyłabym mu chętnie, bo choćby mnie kochał do szaleństwa, nie znajdzie nigdy wzajemności.

Neryssa. A co mówisz o Falconbridge'u, młodym baronie angielskim?

Porcyą. Wiesz, że do niego nie mówię wcale, bo się nie możemy zrozumieć. On nie umie ani po łacinie, ani po francusku, ani po włosku, a co do mnie, możesz przysiądz w trybunale, że nie umiem za grosz po angielsku. Ładny z niego obrazek; ale, niestety! kóż potrafi z lalką rozmawiać? A jak dziwacznie ubrany! Zdaje mi się, że we Włoszech kupił kamizelkę, rajtuzy we Francyi, w Niemczech kapelus, a maniery wszędzie.

Neryssa. Co myślisz o młodym lordzie szkockim, jego sąsiedzie?

Porcyą. Że ma wielką miłość chrześcijańską, bo u Anglika pożyczyl policzka, a przysiągl, że odda, gdy będzie w możności: myślę, że Francuz był mu poręczycielem i dla pewności swoją także pieczęć przyłożył.

Neryssa. Jak ci się podoba młody Niemiec, synowiec księcia saskiego?

Porcyą. Bardzo mało — rano, kiedy trzeźwy, a najmniej po południu, kiedy pijany. W najprzychylniejszych dla siebie okolicznościach trochę gorszy od człowieka, w najprzeciwniejszych trochę lepszy od bydłęcia. W najgorszym razie mam otuchę, że mu się wymknąć potrafię.

Neryssa. Gdyby jednak chciał wybierać, a wybrał szczęśliwą szkatułkę, pogwałciłabyś wolę ojca, gdybyś go przyjąć nie chciała.

Porcyą. To też, dla bezpieczeństwa, postaw kufel wina reńskiego na innej, bo wiem, że, gdyby sam dyabeł siedział wewnątrz, a zewnątrz ta pokusa, wyberze ją. Gotowa jestem zrobić wszystko przódy, Nerysso, nim rękę moją oddam gąbce.

Neryssa. Nie lękaj się, pani, by którykolwiek z tych pretendentów twoim został mężem. Już mnie uwiadomili o swoim postanowieniu, że wrócą do domów i dręczyć cię zalotami przestaną, jeżeli dla otrzymania twojej ręki trzeba koniecznie, stosownie do woli twojego ojca, między szkatułkami wybierać.

Porcyą. Choćbym dożyła wieku Sybilli, umrę czystą, jak Dyana, jeśli nie znajdę męża wedle ojcowskiego rozkazu. Cieszę się, że ta część zalotników tyle pokazała rozsądku, bo niema jednego między nimi, o kórego odjeździe nie marzyłabym z rozkoszą. Niechże Bóg szczęśliwie ich prowadzi!

Neryssa. Czy nie przypominasz sobie, pani, młodego Weneccyanina, ćwiczzonego w książkach a żołnierza, który tu przybył, jeszcze za życia twojego ojca, w towarzystwie markiza Montferratu?

Porcyą. O, bardzo dobrze; zdaje mi się, że się nazywa Bassanio?

Neryssa. On właśnie. Ze wszystkich mężczyzn, na których biedne moje oczy poglądały kiedykolwiek, on najgodniejszy pięknej żony.

Porcya. Pamiętam go dobrze; o ile pamiętam, pochwały twojej godny. (*Wchodzi służący*).

Służący. Czterej cudzoziemcy pytają się o panią, chcą ją pożegnać. Przyjechał także goniec piątego, księcia Maroka, z doniesieniem, że książę, pan jego, dziś wieczór tu przybywa.

Porcya. Gdybym tak szczerze powitać mogła piątego, jak mogę czterech pierwszych pożegnać, cieszyłabym się z jego przyjazdu. Jeśli ma przymioty świętego, ale cerę dyabła, wolałabym go za spowiednika, niż za zalotnika.

Idźmy, Nerysso. Prowadź nas do sali.

Gość nowy zjeżdża, nim ci odjechali.

(*Wychodzą*).

SCENA III.

Publiczny plac w Wenecyi.

(*Bassanio i Szajlok*).

Szajlok. Trzy tysiące dukatów, dobrze.

Bassanio. Tak jest, na trzy miesiące.

Szajlok. Na trzy miesiące, dobrze.

Bassanio. Za które, jak ci już powiedziałem, ręczy Antonio.

Szajlok. Za które ręczy Antonio, dobrze.

Bassanio. Czy możesz oddać mi tę usługę? czy chcesz zrobić mi tę przyjemność? czy dasz mi nakoniec odpowiedź?

Szajlok. Trzy tysiące dukatów, na trzy miesiące, na zaręczenie Antonia.

Bassanio. Twoja odpowiedź?

Szajlok. Antonio jest dobry człowiek.

Bassanio. Albożes kiedykolwiek słyszał co przeciw niemu?

Szajlok. O nie, nie, nigdy! Jeśli powiedział, że Antonio dobry jest człowiek, to rozumiałem przez to, że jego zaręczenie jest dostateczne. Ale jego zamożność tylko domniemana. Jeden z jego okrętów w drodze do Trypolisu, drugi do Indyi, a, jak słyszałem na Rialto, trzeci jest w Meksyku, czwarty płynie do Anglii, inne rozproszone po innych stronach świata. Ale okręty, to deski, a majtkowie, to ludzie; są też szczury lądowe i szczury wodne, złodzieje lądowi i złodzieje morscy, to

jest rozbójnicy; a prócz tego niebezpieczna jest woda i wiatry i skały. Mimo tego jednak zaręczenie jego dostateczne; trzy tysiące dukatów — myślę, że mogę przyjąć jego oblig.

Bassanio. Możesz bez obawy.

Szajlok. Chciałbym nie mieć obawy; ale żebym nie miał obawy, potrzebuję namysłu. Czy mogę mówić z Antoniem?

Bassanio. Jeśli chcesz z nami dziś obiadować.

Szajlok. Tak, i wachać wieprzowinę i jeść to pomieszkanie, w które wasz prorok Nazarejczyk wpędził dyabła! Będę kupował z wami, sprzedawał z wami, przechadzał się z wami i tam dalej, ale nie chcę jeść z wami, pić z wami, ani modlić się z wami. Co tam nowego na Rialto? Kto się do nas przybliży?

(*Wchodzi Antonio*).

Bassanio. To Antonio.

Szajlok (*na str.*). Co za fałszywa mina publikana!

On chrześcijanin, już go nienawidzę,

Lecz stokroć więcej, że w głupiej prostocie

Darmo pieniądze biednym rozpożycza,

I zniża procent na giełdzie weneckiej.

O, jeśli kiedy chwycę go za biodro,

Dawną urazę nakarmię do syta!

On nienawidzi święte plemię nasze,

I szydzi ze mnie pośród kupców tłumu,

Ze mnie i moich godziwych zarobków,

Które zwie lichwą. Niech przekleństwo spadnie

Na ród mój cały, jeśli mu przebaczę!

Bassanio. Szajlok, czy słyszysz?

Szajlok. Właśnie teraz myślę,

Jak stoją rzeczy z moją gotowizną.

O ile mogę z pamięci miarkować,

Nie będę w stanie całych trzech tysięcy

Zebrać natychmiast; ale cóż to znaczy?

Bankier z mojego pokolenia, Tubal,

Doda mi więcej. Na ile miesięcy

Ma być pożyczka? (*Do Antonia*). Uniżony sługa!

Właśnie o panu mowa teraz była.

Antonio. Choć to mym nigdy zwyczajem nie było

Brać albo dawać pieniądze na procent,

Dziś, dla naglących potrzeb przyjaciela,

Zwyczaj ten łamię. (*Do Bassania*). Czy wie, co ci trzeba?

Szajlok. Wiem, trzy tysiące trzeba mu dukatów.

Antonio. Na trzy miesiące.

Szajlok. Prawda, zapomniałem;

Na trzy miesiące, jak mi pan powiada.

Co do obligu — o, tak — słuchaj, panie,

Wszak mi mówisz, jeśli się nie mylę,

Że ani płacisz, ni bierzesz procentów?

Antonio. Do dziś przynajmniej taki był mój zwyczaj.

Szajlok. Gdy Jakób wuja Labana pasł trzody,

Jakób ten, z świętej linii Abrahama

(Przez mądrą sztukę swej roztropnej matki)

Był trzecim, tak jest, trzecim był dziedzicem.

Antonio. I cóż stąd? czyliż Jakób brał procenty?

Szajlok. Nie, nie brał, to jest raczej bezpośrednio

Nie brał procentu, lecz słuchaj, co robił.

Kiedy z Labanem, wujem, się ułożył,

Że z trzody wszystkie pstrokate jagnięta

Dla niego będą, pod koniec jesieni,

Kiedy do owiec przypuszczono tryki,

I gdy wełniste matki płód poczęły,

Rozumny pasterz drzew pewne gałęzie

Z kory obłupał i tak obłupane

Przed kotnych owiec wystawił oczami;

A kiedy przyszedł czas, młode jagnięta

Były pstrokate, były Jakóbowe.

Tak rósł w bogactwo mąż błogosławiony,

Bo wszelki dochód jest błogosławieństwem,

Jeżeli nie jest kradzieży owocem.

Antonio. Jakób był sługą za przygodną płacę,

Za rzecz od jego niezawisłą woli,

Lecz kierowaną bożym tylko palcem.

Jakto? więc tekst ten bronić ma lichwiarzy?

Lub czy twe złoto owcą jest i trykiem?

Szajlok. Nie wiem, lecz równie rozmnażam je szybko.

Słuchaj mnie, panie.

Antonio. Uważaj, Bassanio,

Że biblię może i dyabeł cytować.

Zła dusza, święte przywodząca teksty,

Jest jak rozbójnik z uśmiechem na twarzy,

Lub piękne jabłko, ale zgnite w jądrze.

O, jakże piękną fałsz przybiera postać!

Szajlok. Hm, trzy tysiące — okrągła to sumka!

A trzy miesiące z dwunastu; to zrobi...

Antonio. Powiedz, możemyż na ciebie rachować?

Szajlok. Panie Antonio, nie raz, nie dwa razy,

Szzydziłeś sobie ze mnie na Rialto,

Ze mnie, z pieniędzy moich i procentów;

Ja wszystko jednak znosiłem cierpliwie,

Bo Izraela przeznaczeniem cierpieć.

Zwałeś mnie kundlem, niewiernym rabusiem,

Płwałeś na moją żydowską opończę

Za to, żem mojej używał własności.

Dziś, zda się, mojej trzeba ci pomocy;

Dobrze więc, dzisiaj przychodzisz i mówisz:

»Szajlok, potrzeba nam teraz pieniędzy«.

Tak mówisz do mnie, ty, co płwałeś na mnie,

Deptaleś po mnie, odganiałeś nogą,

Jak psa od progu. Teraz chcesz pieniędzy!

A ja co na to? Mamże odpowiedzieć:

Jak to być może, by miał pies pieniądze,

By mógł pożyczyć kundel trzy tysiące?

Lub, czy z pokłonem, głosem niewolnika,

Wstrzymując oddech w uczuciu pokory,

Mam odpowiedzieć: panie, w przesłą środę

Plunąłeś na mnie, przed kilkoma dniami,

Psem mnie nazwałeś, potraćciłeś nogą;

Za tyle łaski daję ci pieniądze.

Antonio. Jak dawniej byłem, tak dziś jestem gotów

Nogą cię kopać i pluć ci na brodę.

Jeśli nam zechcesz pożyczyć pieniędzy,

To nie pożyczaj, jak przyjacielowi,

(Bo kiedyż przyjaźń niepłodne metale

Rozmnażać pragnie w przyjaciela rękę?)

Lecz daj je raczej nieprzyjacielowi,

Na którym, jeśli na czas nie wypłaci,

Będiesz miał prawo zemstę swą nasycić.

Szajlok. Na co te gniewy? Ja z całego serca

Chciałbym na waszą zarobić przychylność,

Zabyć krzywd starych i starej urazy,

Wyliczyć sumę, nie żądać procentu:

A wy tu nawet słuchać mnie nie chcecie;

Możnaż przyjaźni komu lepiej dowieść?

Antonio. Byłby to dowód prawdziwej przyjaźni.

Szajlok. Otóż ten dowód Szajlok dać jest gotów.

Teraz chodź ze mną pan do notaryusza,

I podpisz oblig, w nim, jakby dla żartu,

Wyraź, że jeśli na tę lub tę datę,
 Tam lub tam, wiernie nie zapłacisz sumy,
 Na jaką w swym się podpiszesz obligu,
 Oddasz mi jeden funt twojego mięsa,
 Który odkraję, gdzie mi się spodoba.

Antonio. Więc zgoda: oblig taki podpisuję,
 I powiem jeszcze: uczciwy Żyd z ciebie.

Bassanio. Ja nie przystaję na takie warunki,
 Wolę na zawsze w nędzy mojej zostać.

Antonio. Dobry Bassanio, daremnie się trwożysz;

Za dwa miesiące (to jest przed terminem
 Na miesiąc cały) statki me wracają
 Z sumą od długu dziewięć razy większą.

Szajlok. O, Abrahamie! jak ci chrześcijanie,
 Własnego serca twardością uczeni,
 I cudze myśli mają w podejrzeniu.
 Toż mi powiedzcie, gdy na termin chybi,
 Jaką mi korzyść oblig ten zapewnia?
 Funt mięsa, z ciała jego odkrojony,
 Mniej wart daleko, niż funt baraniny.

Co robię, robię dla waszej przyjaźni.
 Przyjmuje, dobrze; nie, to bądźcie zdrowi;
 Proszę was tylko, nie krzywdźcie mnie odtąd.

Antonio. Twoje warunki chętnie podpisuję.

Szajlok. Więc czekaj na mnie pan u notaryusza,
 Zabawny oblig każ mu przygotować,
 A ja tymczasem biegnę po dukaty,
 Zajrzę do domu, który zostawiłem
 W niepewnej straży wierutnego łotra,
 I wnet powracam.

Antonio. Śpiesz się, dobry Żydzie.
 Żyd ten się przechrzci — żyć począł uczciwie.

Bassanio. Gdzie myśl łotrowska, groźna mowa święta.

Antonio. Wierzaj mi, wszystko skończy się szczęśliwie:

Miesiąc przed czasem wrócą me okręty.

(Wychodzą).

AKT DRUGI.

SCENA I.

Belmont. Pokój w domu Porcyi.

(Przy odgłosie trąb wchodzą: księżę Maroka i jego świta, wszyscy w bieli; Porcyia z Neryssą i dworem).

Ks. Maroka. Dla mojej cery nie miej do mnie wstrętu;
 To ciemny kolor palącego słońca,
 W którego blizkiem urosłem sąsiedztwie.
 Niech tu najbielszy przyjdzie syn północy,
 Dla twej miłości żyły otworzymy,
 A ujrzysz, czyja krew czerwiejsza będzie.
 Wierzaj mi, pani, na widok tej twarzy
 Waleczni drżeli, i dla niej miłością
 Piękne mej ziemi płonęły dziewice.
 Nie chciałbym zmienić mojego koloru,
 Chyba w nadziei skradzenia twych myśli.

Porcyia. W moim wyborze nie słucham jedynie
 Błahych podszeptów dziewczęcego oka;
 Prócz tego, moich przeznaczeń loterya
 Wszelkie wyboru odjęła mi prawo.
 Gdyby mnie ojca nie zmuszała wola
 Do dania ręki mojej temu tylko,
 Który mnie wygra w sposób ci wiadomy,
 Waleczny księżę, równe miałbyś prawo
 Do moich uczuć, jak inni przybysze,
 Których do dzisiaj w mym domu widziałam.

Ks. Maroka. I za te nawet dziękuję ci słowa.
 Prowadź mnie teraz do twoich szkatułek,
 Dozwól mi próbę fortuny mej zrobić.
 Przysięgam, pani, na ostrze tej szabli,
 Od której Sofi i perski legł książę,
 Trzykroć pierzchnęły wojska Solimana,
 Że gotów jestem, aby cię pozyskać,
 Najśmielszych żrenic wytrzymać spojrzeń,
 Najśmielsze serca przewyższyć odwagą,
 Szczenię od piersi niedźwiedzicy wydrzeć,
 I ze lwa szydzić, gdy zgłodniały ryczy.
 Ale, ach! kiedy Lichas z Herkulesem,

Kto z nich dzielniejszy, w kostki chcą rozstrzygnąć,
Rzut może lepszy z słabszej wypaść ręki,
I giermek może Alcyda zwyciężyć.
I ja tak, pani, ślepych losów dziełem,
Utracić mogę, co mniej godny zyska,
I umrzeć z żalu.

Porcyą. Musisz jednak, książę,
Albo natychmiast wyrzec się wyboru,
Lub wprzódy przysiądz, że, jeśli się zmylisz,
Nigdy już później, do żadnej kobiety,
Nigdy nie rzekniesz słowa o zamężciu.
Namyśl się dobrze.

Ks. Maroka. Idźmy do szkatulek!

Porcyą. Lecz wprzódy, książę, śpieszmy do świątyni,
A po obiedzie wybór będzie wolny.

Ks. Maroka. Niech los przyjazny wiedzie moją rękę
Na szczęście wieczne albo wieczną mękę!
(*Trąby. — Odchodzą.*)

SCENA II.

Ulica w Wenecyi.

(*Lancelot i Gobbo.*)

Lancelot. Bez wątpienia, sumienie pozwoli mi drapnąć od tego Żyda, mojego pana. Dyabeł stoi mi przy boku i kusi mnie, mówiąc: Gobbo, Lancelocie Gobbo, albo dobry Gobbo, albo dobry Lancelocie Gobbo, dalej, nogi za pas i zmykaj! Ale sumienie woła: Nie, strzeż się, uczciwy Gobbo, albo, jak wyżej, uczciwy Lancelocie Gobbo, nie uciekaj, gardź ucieczką z nogami za pas! Ale szatan, niezmiészany, wciąż prawi swoje: Pakuj manatki! dalej! woła szatan, w drogę! woła szatan; przez Boga, nabierz serca! woła szatan, i zmykaj! Ale sumienie moje, wieszając się na szyi mojego serca, mówi do mnie bardzo mądrze: Uczciwy mój przyjacielu Lancelocie, ty, co jesteś synem uczciwego człowieka, albo raczej synem uczciwej niewiasty, (bo ojciec mój, wyznać muszę, trochę czemś trąci i z czasem dostał pewnego smaku), więc tedy sumienie mówi: Lancelocie, nie ruszaj! Ruszaj! mówi szatan. Nie ruszaj! powtarza sumienie. Sumienie, mówię ja, i ty radzisz dobrze;

szatanie, mówię ja, i ty radzisz dobrze. Idąc za głosem sumienia, zostałbym z Żydem, moim panem, który, odpuść Panie! jest rodzajem dyabła; ale uciekając od Żyda, poszedłbym za głosem szatana, który, uczciwszy uszy, jest dyablem w własnej osobie. Zapewne, i Żyd też dyablem jest wcielonym, i, na sumienie, sumienie moje twardem jest sumieniem, gdy mi radzi zostać z Żydem. Szatan daje mi przyjaźniejszą radę. Ucieknę, szatanie, moje pięty na twoje rozkazy, ucieknę.
(*Wchodzi stary Gobbo z koszykiem.*)

Gobbo. Hej, młody paniczu, powiedz mi, proszę, którą drogą do pana Żyda?

Lancelot (*na str.*). O nieba, to prawowity mój ojciec! Ale że bielmem zasłży mu oczy, nie poznaje mnie. Zrobię więc na nim parę doświadczeń.

Gobbo. Młody paniczu, powiedz mi, proszę, którą drogą do pana Żyda.

Lancelot. Przy pierwszym skręcie weź się na prawo, ale przy pierwszym skręcie na lewo; ale pamiętaj, że- byś przy najbliższym skręcie nie brał się ani na prawo, ani na lewo, lecz poszedł prosto bokiem do żydowskiego domu.

Gobbo. No, Boże drogi, ciężka będzie sprawa do niego trafić. Nie mógłbyś mi powiedzieć, czy niejaki Lancelot, który z nim mieszka, mieszka z nim, czy nie?

Lancelot. Czy mówisz o młodym panu Lancelocie? (*Na stronie.*) Bacność! teraz nastroję minę. Czy mówisz o młodym panu Lancelocie?

Gobbo. Nie, paniczu, ale o synu chudego pachotka. Ojciec jego, choć ja to mówię, jest uczciwy, bardzo biedny człowiek, choć zdrów dotąd, dzięki Bogu.

Lancelot. Niech ojciec jego czem chce będzie, my teraz mówimy o młodym panu Lancelocie.

Gobbo. O pańskim słudze i Lancelocie.

Lancelot. Więc proszę cię, ergo, staruszku, proszę cię, powiedz, czy mówisz o młodym panu Lancelocie?

Gobbo. O Lancelocie, z pańskim przeproszeniem.

Lancelot. Ergo, o panu Lancelocie. Ojczy, nie mów o panu Lancelocie. Młody ten pan, przez zrządzenie losów i przeznaczeń i podobnych dziwacznych woka- buł i trzech siostr i innych gałęzi umiejętności, za- prawdę, pan ten umarł, albo, jakbyś po prostu powie- dział, przeniósł się do wieczności.

- Gobbo.** Uchowaj Boże! chłopak ten był kijem mojej starości, moją podporą.
- Lancelot.** Mamże minę pałki lub drąga, kija lub podpory? Czy poznajesz mnie, ojczu?
- Gobbo.** Nie, nie poznaję cię, młody paniczu. Ale powiedz mi, proszę, czy mój chłopiec (Panie, świeć nad jego duszą!) umarł, czy żyje?
- Lancelot.** Nie poznajesz mnie, ojczu?
- Gobbo.** Ach, paniczu! oczy moje bielmem zaszyły; nie poznaję cię.
- Lancelot.** Choćbyś miał i zdrowe oczy, mógłbyś się łatwo omylić; mądry ojciec, który zna własne dzieci. Słuchaj, staruszku, powiem ci nowinę o twoim synu: daj mi twoje błogosławieństwo; prawda wyjdzie na jaw; zabójstwo nie może się długo utaić, choć syn człowieczy może, ale nakoniec prawda wyjdzie na jaw.
- Gobbo.** Proszę cię, wstań, paniczu, bo jestem pewny, że ty nie Lancelot, mój chłopak.
- Lancelot.** Proszę cię, skóńczmy te żarty; daj mi twoje błogosławieństwo. Ja jestem Lancelot, chłopak twój kiedyś, syn twój dzisiaj, a twoje dziecię na przyszłość.
- Gobbo.** Nie mogę wierzyć, żebyś był moim synem.
- Lancelot.** Nie wiem, co o tem myśleć; ale wiem, że nazywam się Lancelot, że jestem Żyda pacholkiem, i jestem pewny, że Magda, żona twoja, moją jest matką.
- Gobbo.** Prawda, że imię jej Magda. Jeśli ty Lancelot, to mogę przysiąc, że ty ciało i krew moja. Niech będzie błogosławione imię Pańskie! jakże ci broda porosła! Wszak ty masz więcej włosów na podbródku, niż Dobbin, moja szkapa, na ogonie.
- Lancelot.** To chyba ogon jego na wspak rośnie, bo jestem pewny, że więcej miał włosów na ogonie, niż ja na twarzy, kiedyś go ostatni raz widział.
- Gobbo.** Chryste! jak się zmieniłeś! A z panem twoim jak jesteś? Przynoszę mu podarek. Jak teraz z nim jesteś?
- Lancelot.** Tak, niezgorzej. Ale co do mnie, kiedy już na tem stanęło, że mam dać drapaka, nie stanę, aż dobry kawał ziemi udrapię. Prawdziwy Żyd z mojego pana. Przynosisz mu podarek? przynieś mu stryżek. Uschłem na jego służbie; mógłbyś każdy mój palec na moich żebrach rachować. Rad jestem, ojczu, że przyszedłeś: daj mi twój podarek pewnemu panu Bassanio; to mi pan, który daje przepyszną nową barwę. Jeśli u niego

- służby nie znajdę, będę pędził, póki mi ziemi stanie. Co za szczęście! to on się zbliża. Do niego, ojczu! bo jestem Żydem, jeśli temu Żydowi służyć będę dłużej.
(*Wchodzi Bassanio, za nim Leonardo i służba.*)
- Bassanio.** Możesz tak zrobić; staraj się tylko, żeby wieczera była gotowa najpóźniej na godzinę piątą. Odeślij te listy, komu należy, daj barwę do roboty i proś Gracyana, żeby natychmiast do mnie przyszedł.
(*Jeden ze sług wychodzi.*)
- Lancelot.** Mówże do niego, ojczu!
- Gobbo.** Niech Pan Bóg zesła wszystkie błogosławieństwa na jaśnie wielmożnego pana!
- Bassanio.** Dziękuję. Czy masz co do mnie?
- Gobbo.** Oto mój syn, jaśnie panie, biedny chłopak...
- Lancelot.** Nie biedny chłopak, panie, lecz pachotek bogatego Żyda, któryby pragnął, panie, jak to mój ojciec wyspecyfikuje...
- Gobbo.** Wielką ma infekcję, panie, że tak powiem, służyć.
- Lancelot.** Krótko mówiąc, służę Żydowi, a pragnę, jak to mój ojciec wyspecyfikuje...
- Gobbo.** Pan jego i on, z przeproszeniem jaśnie pana, żyją, jak pies z kotem.
- Lancelot.** Słowem, aby powiedzieć prawdę, Żyd mnie pokrzywdził i spowodował, jak to mój ojciec, będąc, jak spodziewam się, staruszkiem, jaśnie panu wyruferuje...
- Gobbo.** Przyniosłem parę gołąbków, którą chciałbym ofiarować jaśnie panu, a moja prośba...
- Lancelot.** Krótko mówiąc, prośba jest w despekcie do mej osoby, jak się jaśnie pan dowie od tego uczciwego staruszka, a choć ja to mówię, choć staruszka, chudego przecie pacholka, mojego ojca.
- Bassanio.** Niechże jeden mówi za obu. Czego żądasz?
- Lancelot.** Służby u pana.
- Gobbo.** To jest defekt naszej prośby.
- Bassanio.** Znam ciebie dobrze; masz, czego żądałeś. Szajlok o tobie mówił mi przed chwilą. Masz u mnie służbę, jeżeli przynosisz Opuścić Żyda bogacza mieszkanie, A pójść za biednym tak jak ja szlachcicem.
- Lancelot.** Stare przysłowie rozdzieliło się dobrze między mojego pana Szajloka, a jaśnie pana: pan ma błogosławieństwo Boże, a on ma dostatek.
- Bassanio.** Dobrześ powiedział. Staruszku, idź z synem,

Niech z swoim dawnym pożegna się panem,
A potem śpieszcie do mojego domu.

(Do służby).

Dajcie mu barwę od innych bogatszą.

Lancelot. Ojczy, wygrana! — Nie, nie mogę znaleźć służby, nie, nie mam w gębie języka! *(Patrząc na swoją dłoń).* Dobrze, znajdź mi człowieka we Włoszech z piękniejszą dłonią. Patrz tylko: tu ciągnie się prosta linia życia; tu mała żon bagatela; niestety! piętnaście żon, to nie — jedenaście wdów, a dziewięć panien, to zwykła porcja dla jednego męża. A prócz tego potem: trzy razy uratowany od mokrej śmierci, raz w niebezpieczeństwie życia od ostrza pierzyny — to zwykłe ludzkie koleje! Jeśli prawda, że fortuna jest niewiastą, to uczciwie z niej kobiecisko. W drogę, ojczy! Pożegnanie z Żydem odbędzie się w mgnieniu oka.

(Lancelot i stary Gobbo wychodzą).

Bassanio. Myśl tylko o tem, dobry Leonardo.
Gdy wszystko zbierzesz, wszystko upakujesz,
Wracaj do domu, bo wiesz, że wieczorem
Moich najlepszych częstują przyjaciół.

Leonardo. Będę się śpieszył, o ile wydołam.

Gracyano *(wychodząc).* Gdzie pan twój?

Leonardo. Tam się samotnie przechodzi.

(Leonardo wychodzi).

Gracyano. Signor Bassanio!

Bassanio. O drogi Gracyano!

Gracyano. Mam cię o łaskę prosić.

Bassanio. Otrzymałeś.

Gracyano. Muszę do Belmont jechać z tobą razem.

Bassanio. Więc musisz. Słuchaj jednak, mój Gracyano,

Zbyt jesteś dziki, zbyt śmiały w wyrazach,
Co wszystko, prawda, bardzo ci do twarzy,
I w oczach naszych wadą nawet nie jest,
Lecz, gdzieś mniej znany, to wydać się może
Zbytkiem rozpusty; staraj się więc studzić
Kilku chłodnemi skromności kroplami
Wrzący twój umysł, żeby twoja śmiałość,
Na mój rachunek czasem zapisana,
Wszystkich nadziei moich nie zniszczyła.

Gracyano. Jeżeli skromnej nie przywdzieję miny,
Jeśli kłać będę częściej, niż potrzeba,
Jeśli nie będę Ołtarzka nosił,

A przy modlitwach, jeśli moich oczu
Nie spuszczę skromnie, i nie westchnę: amen!
Jeśli nie będę chował praw grzeczności,
Jak mąż ćwiczony w formach uroczystych,
Aby na względy babki swej zarobić:
Nie wierz mi nigdy.

Bassanio. Będziemy widzieli.

Gracyano. Ale dzisiejszą tylko noc wyjmuję:
Z dzisiejszej nocy nie przesądź jutra.

Bassanio. Byłaby szkoda. I owszem, tej nocy
Przywdziej rozpusty szatę najweselszą,
Bo mam przyjaciół, którzy chcą się bawić.
Bądź zdrow; mam jeszcze roboty niemało.

Gracyano. Ja do Lorenca i przyjaciół śpieszę;
Lecz nie chybimy godziny wieczery.

SCENA III.

Wenecya. — Pokój w domu Szajłoka.

(Jessyka i Lancelot).

Jessyka. Smutno mi bardzo, że tak ojca rzucasz.

Dom nasz jest piekłem, a tyś był dyabełkiem,

Coś go choć z cząstki nudoty okradał.

Lecz bywaj zdrowy! — Dukat ten dla ciebie.

Słuchaj, jak tylko zobaczysz Lorenca,

Który dziś z nowym twym panem wieczerza,

Proszę cię, list ten oddaj mu tajemnie.

A teraz bądź zdrow! Nie chcę, by mój ojciec

Widział nas razem.

Lancelot. Bądź zdrowa! Izy są moim językiem. Najpiękniejsza poganko, najśłodsza Żydóweczko! jeżeli jaki chrześcijanin figla nie wypłata, żeby cię zyskać, omyliłbym się grubo. Ale bądź zdrowa! w głupich kroplach tonie trochę męski mój umysł. Bądź zdrowa!

(Wychodzi).

Jessyka. Bywaj mi zdrowy, dobry Lancelocie.

O, co za ciężki grzech na mem sumieniu,

Że ojca mego córką się być wstydzę!

Ale choć jestem krwi jego dziecięciem,

Nie jestem córką jego charakteru.

Lorenzo, jeśli nie jestem zwiedziona,
Wnet chrześcijanką będę i twą żoną.
(*Wychodzi*).

SCENA IV.

Wenecya. — Ulica.

(*Gracyano, Lorenzo, Salarino, Solanio*).

Lorenzo. Podczas wieczerzy wymknijemy się skrycie,
W mojem mieszkaniu maski pobierzemy,
I za godzinę będziemy z powrotem.

Gracyano. Jeszcze nam braknie wiele przygotowań.

Salarino. Nie mamy jeszcze giernków do pochodni.

Solanio. Jeżeli wszystko nie jest jak należy,
Mem zdaniem, lepiej rzecz całą odłożyć.

Lorenzo. Wszakże dopiero co czwarta wybiła,
Mamy więc jeszcze całe dwie godziny.

(*Wchodzi Lancelot z listem*).

Jakie nowiny niesiesz, przyjacielu?

Lancelot. Niech pan list ten odpieczętuje, może tam znaj-
dzie jakie nowiny.

Lorenzo. Ach, znam tę rękę! o, piękna to ręka!

I bielsza, bielsza, aniżeli papier,

Na którym pisze.

Gracyano. Nowiny miłości.

Lancelot. Z pozwoleniem wielmożnego pana.

Lorenzo. Gdzie idziesz?

Lancelot. Zaprosić mego dawnego pana Żyda na wie-
czerzę do mego nowego pana chrześcijanina.

Lorenzo. Weź to dla siebie. A pięknej Jessyce

Powiedz tajemnie, niechaj na mnie liczy.

(*Wychodzi Lancelot*).

Proszę, czy będzie co z tej maskarady?

Co do mnie, mam już giernka do pochodni.

Salarino. Ja mego idę szukać.

Solanio.

I ja także.

Lorenzo. W domu Gracyana zbierzemy się wszyscy.

Salarino. Rzecz ułożona.

(*Salarino i Solanio wychodzą*).

Gracyano.

Czy list od Jessyki?

Lorenzo. Powiem ci wszystko. W liście tym mi pisze,

Jak ją mam wykraść z ojcowskiego domu;
Co bierze w złocie, a co w dyamentach;
Jakiego pazia ubiór ma gotowy.

Jeśli się Żyd ten do nieba dostanie,
To przez zasługi słodkiej swojej córki;

A gdy ją troska w życiu kiedy spotka,

To chyba tylko dlatego jedynie,

Że jest potomstwem niewiernego Żyda.

A teraz idźmy; list przeczytasz w drodze.

Jessyka będzie mej pochodni giernkiem.

(*Wychodzą*).

SCENA V.

Przed domem Szajloka.

(*Szajlok i Lancelot*).

Szajlok. Na własne oczy zobaczysz różnicę

Między Szajlokiem starym a Bassaniem. —

Hej, ho! Jessyka! — Nie będziesz się spasał,

Jak w moim domu. — Czy słyszysz, Jessyka! —

I spał i chrapał i dał piękną odzież. —

Jessyka, śpiesz się!

Lancelot.

Hejże tam, Jessyka!

Szajlok. A to co znowu? kto wrzeszczeć ci kazał?

Lancelot. Wasza wielbność miała zwyczaj ciągle łąać
mnie za to, że nie mogłem nic zrobić bez rozkazu.

(*Wchodzi Jessyka*).

Jessyka. Wołasz mnie, ojcze? co masz mi rozkazać?

Szajlok. Jessyko, jestem na obiad proszony.

Weź moje klucze. Ale czemuż idę?

Z pochlebstwa proszą mnie, a nie z przyjaźni.

Lecz pójdę jednak, pójdę z nienawiści,

Rozrutnych chrześcijan pójdę jeść fortunę.

Ty, moje dziecko, dobrze pilnuj domu.

Z niechęcią idę; dla mej spokojności

Jakieś tu groźne warzy się nieszczęście,

Bo mi się śniło o workach pieniędzy.

Lancelot. Proszę cię, śpiesz się, mój panie, bo mego
pana niecierpliwi twoja nieobecność.

Szajlok. Jak mnie jego.

Lancelot. Jest między nimi zmowa. Nie mówię, że zoba-

czysz maskaradę; jeśli zobaczysz jednak, to nie darmo puściła mi się krew z nosa, o szóstej rano, w ostatni czarny poniedziałek ¹⁾, jest cztery lata temu, po południu we wstępną środę.

Szajlok. Co? maskarada? Słuchaj mnie, Jessyko, Drzwi mi zarygluj; a jeśli usłyszysz Odgłos bębenków, piszczałek świstanie, Pamiętaj, proszę, okna nie otwieraj, I na ulicę nie wychylaj głowy, Aby szalonych chrześcijan, pośród gwaru, Lakierowanym przyglądać się twarzom. Zatkaj mi uszy domu, to jest okna, Ażeby puste waryatów tych wrzaski Skromnej komnaty ścian nie obrażały. Nie mam ochoty ucztować dziś w mieście, Nie mam, przysięgam na łaskę Jakóba, Lecz pójdę. Ruszaj i powiedz, że przyjdę.

Lancelot. Pójdę i powiem. A ty, młoda panno, Pomimo przestróg wychyl oknem głowę; Chrześcijanina ujrzysz na ulicy Godnego spojrzeć pięknej Żydowicy.

(Wychodzi).

Szajlok. Co ci Hagary potomek ten szeptał?
Jessyka. Powiedział tylko: pani, bądź mi zdrowa!

Szajlok. Dobre chłopczysko, tylko żartok straszny, Ciężki do pracy, a we dnie śpi więcej, Niż żbik wśród boru. Nie chcę w moim ulu Trutni hodować, chętnie go też dałem Rozpusznikowi, któremu, daj Panie! Niech dopomoże do przemarnowania Sum pożyczonych. Bądź zdrowa, Jessyko; Może być bardzo, że za chwilę wrócę. Zrób, jak mówiłem: zamknij drzwi na rygiel, Bo strzeżonego Pan Bóg, mówią, strzeże; Mądry naukę i z przysłówia bierze.

(Wychodzi).

Jessyka. Bądź zdrow! Jeżeli losy mnie nie zwiodą, Ja tracę ojca, a ty córkę młodą.

(Wychodzi).

¹⁾ Czwartego kwietnia 1360 r., drugiego dnia Wielkanocy, gdy woj- sko Edwarda III obozowało pod Paryżem, mróz przypadł tak ciężki, że jazda na koniach umierała od zimna. Odtąd Anglicy poniedziałek wielkanocny nazywali czarnym poniedziałkiem.

SCENA VI.

Ulica. — Przed domem Szajloka.

(Gracyano i Salarino w maskach).

Gracyano. Oto poddasze, pod którym Lorenzo Zejść się miał z nami.

Salarino. Już przeszła godzina.

Gracyano. Bardzo się dziwię, że go jeszcze niema: Kochanek zwykle przed zegarem bieży.

Salarino. Dziewięćkroć chyżej Wenery gołębie Lecą zatwierdzać nowych uczuć węzły, Niżli dochować raz już danej wiary.

Gracyano. Tak zawsze będzie. Kto wstaje od uczt Z tym apetytem, z którym zasiadł do niej? Gdzie rumak, który z równym będzie ogniem Wracął po drodze, którą raz przemierzył? Każdy z nas ziemi tej wszystkich piękności Pragnie goręcej, niżeli używa.

Jak młody panicz, lub jak marnotrawnik, Wypływa z portu okręt strojny w flagi, Gnany zalotnych wiatrów uściskami; Ale powraca, jak syn marnotrawny, Z podartym żaglem, z piersią skofataną, Odarty z bander przez swych zalotników.

(Wchodzi Lorenzo).

Otóż Lorenzo. Później więcej o tem.

Lorenzo. Ach, przyjaciele, przebaczcie spóźnienie;

Nie mnie, lecz moje wińcie interesy. Kiedy kraść żony kolej na was przyjdzie, Jestem gotowy równie długo czekać.

Tu Żyd, mój ojciec, mieszka. Hej! czy słyszysz?

Jessyka *(w oknie, ubrana po męsku).* Kto tam? odpowiedz [dla mojej pewności,

Choć przysiądz mogę, że głos ten znam dobrze.

Lorenzo. Lorenzo, twoja miłość.

Jessyka. O tak, Lorenzo! o tak, miłość moja!

Bo kogóż więcej kocham? a prócz ciebie, Któż wie, Lorenzo, czyli jestem twoją?

Lorenzo. Niebo i twoje myśli są świadkami, Że jesteś moją.

Jessyka. Lorenzo, co pędzej
Weź tę szkatułkę; warta bacznej straży.
Dziękuję nocy, że mnie nikt nie widzi,
Bo sama własnej przemiany się wstydzę.
Lecz miłość ślepa; młodzi kochankowie
Nie mogą widzieć własnych pięknych szaleństw,
A gdyby mogli, sam nawet Kupido,
Widząc mnie chłopcem, płonąłby ze wstydu.

Lorenzo. Śpiesz się, bo musisz moją nieść pochodnię.

Jessyka. Jakto? czy własnej hańbie mam przyświecać?
I tak już dosyć jest hańba ta jasna.
Służbę jawności polecasz mi, drogi,
A mnie potrzeba cienia i ukrycia.

Lorenzo. Dosyć cię kryje twoja piękna odzież
Młodego chłopca. Lecz śpiesz się, kochana,
Bo noc ucieka, a na nas Bassanio
Od dawna czeka w przyjaciół swych kole.

Jessyka. Idę drzwi zamknąć, więcej dukatami
Palce ozłocić i za chwilę wrócę.

(Znika).

Gracyano. Na honor, co za wierna z niej niewierna!
Lorenzo. Niech zginę, jeśli nie kocham jej z duszy;
Bo jest roztropna, ile sądzić mogę,
Bo piękna, jeśli oczy me nie kłamią,
I wierna, czego dowody mi dała;
A jak roztropna i piękna i wierna
W mem wiernem sercu władać będzie wiecznie.

(Wchodzi Jessyka).

Jesteś gotowa? podwójmy więc kroki,
Bo maskarada nie cierpi już zwłoki.

(Wychodzi z Jessyką i Salarinem. — Wchodzi Antonio).

Antonio. Kto tam?

Gracyano. Antonio? czy też głos mnie zwodzi?
Antonio. Wstydzicie się, wstydzicie! gdzie reszta przyjaciół?
Już po dziewiątej; was tylko brakuje.
Nic z maskarady. Wiatr pomyślny wieje,
Bassanio wsiada na okręt za chwilę:
Dwudziestu posłów wypchnąłem za wami.

Gracyano. Nie ja się smucę, że płyniem tak nagle:
Już rozwinięte chciałbym widzieć żagle.

(Wychodzą).

SCENA VII.

Belmont. — Sala w domu Porcyi.

(Przy odgłosie trąb wchodzi: Porcyia, księżę Maroka i ich orszaki).

Porcyia. Rozsuń firanki i pokaż szkatułki.
Szlachetny księżę, wybieraj w nich teraz.

Ks. Maroka. Pierwsza ze złota, a na niej te słowa:
»Mnie biorąc, weźmiesz, czego wielu pragnie«.
Druga jest srebrna z taką obietnicą:
»Mnie biorąc, weźmiesz, ile zasługujesz«.
Trzecia z ciężkiego ołowiu z napisem:
»Mnie biorąc, wszystko na szwank musisz stawić«.
Po czemże poznam, żem wybrał szczęśliwie?

Porcyia. W jednej szkatułce jest portret mój, księżę;
Gdy tę wybierzesz, żoną jestem twoją.

Ks. Maroka. Kieruj mną, Boże! — Wszystkie te napisy
Raz jeszcze jeden rozważmy głęboko.
Cóż ta szkatułka ołowiana mówi?
»Mnie biorąc, wszystko na szwank musisz stawić«.
Co? wszystko stawić? a za co? za ołów?
Napis ten grozi. Kto wszystko naraża,
Naraża w wielkich nadziejach wygranej.
Nie do ołowiu myśl zniży się złota;
Nie dla ołowiu wszystko na szwank stawię.
Co mówi srebro w swej dziewiczej bieli?
»Mnie biorąc, weźmiesz, ile zasługujesz«.
Pomyśl, Maroku! Ile zasługujesz!
Zważ własną cenę sprawiedliwą ręką;
Jeśli sam twoją stanowić masz wartość,
Wart jesteś wiele; a jednak, to wiele
Jestże już godne tak pięknej nagrody?
Wątpiąc jednakże o mojej zasłudze,
Sam siebie własną potępiam śmiałością.
Ilem zasłużył! Na nią zasłużyłem
Przez urodzenie i przez posiadłości,
Przez moje cnoty, moje wychowanie,
A nadewszystko przez miłość mą ku niej.
Gdybym tu przestał? gdybym srebrną wybrał?
Rozważmy jednak jeszcze złotej napis.
»Mnie biorąc, weźmiesz, czego wielu pragnie«.

A więc ją wezmę; jej świat cały pragnie.
 Z czterech stron świata schodzą się pielgrzymi
 Całować ołtarz tej świętej śmiertelnej.
 Hirkańskie puszcze i arabskie piaski
 Są teraz bitym gościńcem, po którym
 Śpieszą książęta ujrzyć piękną Porcyę.
 Wodne królestwa, co usty dumnymi
 W twarz plują niebu, nie mają dość grozy,
 Aby odstraszyć błądzących żeglarzy,
 Co po nich, jakby po mrużącej strudze,
 Płyną, ażeby ujrzyć piękną Porcyę.
 W jednej z nich boski jej obraz spoczywa.
 Czy wśród otowiu? Niech będzie przeklęty,
 Kto śmie tak sądzić! Byłoby potwornie,
 W tak ciemnym grobie blasku tyle zamknąć.
 Lub miałbym myśleć, że zamknięta w srebrze
 Dziesięćkroć tańszem od czystego złota?
 O grzeszne myśli! Kiedyż perła taka
 W gorszej od złota świeciła oprawie?
 W Anglii jest pieniądz z postacią anioła
 Na złocie rytą, tylko na powierzchni;
 Ale tu anioł na złotej pościeli
 Uśpiony leży. Skończyłem wahanie;
 Daj klucz, tum wybrał, niech się, co chce, stanie!

Porcyą. Jeśli w szkatułce tej portret mój leży,
 Żoną twą jestem.

(Książę Maroka otwiera szkatułkę).

Ks. Maroka. Na ognie piekielne!
 Co widzę, tylko hydny szkielet śmierci,
 A w pustych oczach papier się bieleje.
 I cóż mi powie?

(Czyta).

Nie wszystko ma wagę złota,
 Co jak złoto czyste świeci;
 Niejeden, kosztem żywota,
 Za jasnym pozorem leci.
 W złotym grobie robak gości.
 Gdybyś rozum dał krewkości,
 Młode serce, stara głowa
 Znalazłyby inne słowa.
 Teraz opuść te podwoje,
 Bo zimne zaloty twoje.

Wszystko stracone! Niechże moja głowa
 Od dnia ucieka, wieczne wita cienia!
 Bądź zdrowa, Porcyo! wśród duszy cierpienia
 Żegnać nie umiem. Na wieki, bądź zdrowa!
(Wychodzi).

Porcyą. Zapuść firanki. Szczęśliwej podróży!
 Ludziom twej cery niech szczęście twe służy!
(Wychodzi).

SCENA VIII.

Ulica w Wenecji.

(Salarino i Solanio).

Salarino. Widziałem okręt Bassania pod żaglem,
 Z nim na pokładzie stał i nasz Gracyano,
 Lecz jestem pewny, nie było Lorenca.

Solanio. Ten Żyd przeklęty krzykiem zbudził dożę,
 Poszedł z nim okręt Bassania przetrząsając.

Salarino. Poszedł za późno; okręt był pod żaglem.
 Lecz w samym porcie zapewnił ktoś dożę,
 Że z swą kochanką, Jessyką, Lorenca
 Widział w gondoli na jakimś kanale;
 Antonio także przysiągł uroczyście,
 Że ich nie było na Bassania statku.

Solanio. Nigdy nie słyszał tak sprzecznych, tak dziwnych,
 Tak pomieszanych namiętności krzyków,
 Jak były tego psa Żyda wołania:

»O moja córka! o moje dukaty!
 Z chrześcijaninem uciekła! ma córka!
 Me chrześcijańskie dukaty! ma córka!
 Sprawiedliwości! o moje dukaty!
 Worek z pieczęcią, dwa worki dukatów,
 Samych dublonów! przez córkę skradzione!
 Przytem klejnoty, dwa drogie kamienie,
 Drogie kamienie! przez córkę skradzione!
 Sprawiedliwości! znajdź mi córkę moją,
 A z nią dukaty me, klejnoty moje!«

Salarino. Toż dzieci za nim biegają i krzyczą:
 »Moje klejnoty, ma córka, dukaty!«

Solanio. Niechże Antonio terminu nie chybi,
 Bo za to wszystko drogo mu zapłaci.

Salarino. Słuszna uwaga. Rozmawiałem wczora
Z francuskim kupcem, który mi powiedział,
Że na rękawie morskim, co rozdziela
Francję od Anglii, niedawno zatonał
Wenecki okręt z bogatym ładunkiem.
Słyszając to, w duszy do nieba westchnąłem:
Byle Antonio statku nie był panem!

Solanio. Powinienbyś mu nowinę tę zanieść,
Ostrożnie tylko, by go zbyt nie zmartwić.

Salarino. Duszy piękniejszej nie nosi ta ziemia.
Widziałem, kiedy żegnał się z Bassaniem.
Bassanio mówił, że, o ile zdoła,
Powrót przyspieszy; ale on mu na to:
»Nie naglij tylko interesów dla mnie,
Czekaj cierpliwie, aż czas twój dojrzeje.
Co się zaś tycze układów mych z Żydem,
Niech myśl ta twojej nie chmurzy miłości.
Baw się i całą swoją obróć bacnością
Ku twym zalotom, miłosnym oznakom,
Które ci w Belmont jedynie przystoją.«
Gdy mówił, tzy mu błyszczały w źrenicach;
Podał mu rękę z odwróconą twarzą,
A z głębokiego uczucia wyrazem
Ścisnął mu dłonie — i tak się rozstali.

Solanio. Dla niego tylko życie zda się kochać.
Idźmy do niego, szukajmy rozrywek,
Któreby mogły wyгнаć czarne myśli
Z jego umysłu.

Salarino. Nie traćmy więc czasu.
(*Wychodzą*).

SCENA IX.

Belmont. — Sala w domu Porcyi.

(*Neryssa i służący*).

Neryssa. O, śpiesz się, śpiesz się! rozsuń te firanki,
Bo już wykonał książę aragoński
Swoją przysięgę i wybieraćć dąży.
(*Przy odgłosie trąb wchodzą: Porcy, książę Aragoński
i ich dwory*).

Porcy. Szlachetny książę, oto są szkatułki.
Jeśli tę, w której portret mój, wybierzesz,

Książd na nas czeka u ślubnych ołtarzy;
Lecz jeśli zbłądzisz, to pałac ten, książę,
Musisz bez zwłoki na zawsze opuścić.

Ks. Aragoński. Do trzech przysięgą związałem się rzecz:
Naprzód, nikomu nigdy nie wyjawię,
Którą szkatułkę wybrałem; powtóre,
Jeśli się w moim wyborze omyłę,
Nie szukać innej dziewicy za żonę;
Nakoniec, jeśli zawiodą mnie losy,
Natychmiast dom ten opuścić na zawsze.

Porcy. Na te warunki każdy przysiędź musi,
Co mnie, niegodną, za żonę chce dostać.

Ks. Aragoński. Teraz, fortune, wspieraj me nadzieje!
Widzę tu złoto, srebro, podły ołów.
»Mnie biorąc, wszystko na szwank musisz stawić.«
Przód jaśniejszy blask musisz rozniecać,
Zanim dla ciebie wszystko na szwank stawię.
Zobaczmy teraz, co powiada złoto:
»Mnie biorąc, weźmiesz, czego wielu pragnie.«
Wielu; lecz może napis ten przez wielu
Rozumie tłumy głupiego motłochu,
Który z pozorów o wyborze sądzi,
Nie widzi tylko, co mu w oczy bije,
W głąb nie przenika, ale jak jaskółka
Na zewnątrz muru gniazdo swe buduje,
Na wielkiej drodze przygody i burzy.
Nie ja wybiorę, czego wielu pragnie,
Bo nie chcę, razem z barbarzyńską tłuszcza,
Z pospolitymi umysły iść w parze.
Do ciebie teraz, srebrny idę skarbie;
Powiedz mi jeszcze raz, jaki twój napis.
»Mnie biorąc, weźmiesz, ile zasługujesz.«
Głębokłe słowo! Bo i któżby gonił
Za uśmiechami zwodniczej fortuny,
Gdyby znaczony nie był zasług piętnem?
Niech nikt godności znamion nie przybiera,
Jeśli zasługa prawa mu nie daje.
O, gdyby ziemie, stopnie i urzędy
Nie były ręką przedajną dzielone!
Gdyby honory płaciła zasługa!
Iluż, co stoi z odstonionem czołem,
Wdziałoby czapki! iluż, co rozkazy
Dzisiaj wydaje, słuchaćby musiało!

Ileż podłego znalazłbym metalu
W czystego niegdyś honoru nasionach!
A ile znowu wyrwałbym honoru
I z plew i z gruzów zawistnego czasu!
Lecz do wyboru! Szkatułka ta mówi:

»Mnie biorąc, weźmiesz, ile zasługujesz«.
Co zasłużyłem, biorę; daj mi klucze,
Niech się natychmiast rozstrzygną me losy.

Porcyą. Wybór twój niewart tak długiej rozważki.

Ks. Aragoński. Co widzę? Szpetny idyoty portret,
Z obłądnem okiem, papier trzyma w ręku.

Jakżeś do pięknej niepodobny Porcyi,
Do mej nadziei i do zasług moich!

»Mnie biorąc, weźmiesz, ile zasługujesz«.
Tylkoż na głupca głowę zasłużyłem?
Toż me zasługi? toż moja wygrana?

Porcyą. Błądzić i sądzić, księżę, są dwie role
Różnej natury.

Ks. Aragoński. Co powiada karta?
(*Czyta*).

Jak metal, co jest bez skazy,
Tak być musi siedem razy
Hartowany sąd człowieczy,
Aby dobrze wybrać wszędzie;
Ten, co bierze cień za rzeczy,
Dola jego cieniem będzie.
Znasz ty głupstwo posrebrzone?
Takiem głupstwem było twoje:
Jakąkolwiek pojdziesz żonę,
Będziesz nosił głowę moją.
A więc opuść te podwoje.

Gdybym w tym domu pragnął zostać dłużej,
Dawnej głupocie przydam tylko nową;
Wjechałem tutaj z jedną głupią głową,
Ale ze dwiema powrócę z podróży.
Dotrzymam wiernie danego ci słowa,
W milczeniu cierpiąc. Porcyo, bywaj zdrowa!

(*Wychodzi*).

Porcyą. Spaliła świeca skrzydełka motyle.
Przemądre głupcy! którym dały nieba
Dowcipu w głowach tylko właśnie tyle,
Ile do zguby własnej im potrzeba.

Neryssa. Raz jeszcze stare przysłowie sprawdzone:
Stryczek i żona z góry przeznaczone.
(*Wchodzi służący*).

Służący. Gdzie nasza pani?

Porcyą. Co masz za nowiny?

Służący. Przed bramą zamku tej chwili zsiadł z konia

Młody Weneczyk, który zapowiada
Swojego pana niebawne przybycie,
Przynosi razem piękne pozdrowienie,
To jest, prócz grzecznych i słów i zaleceń,
Bogate dary. Dotąd nie widziałem
Równie pięknego posłańca miłości.
Nigdy dzień słodszy w kwietniu nie zabłysnął,
Zapowiadając blizkie drogie lato,
Jak ten przed panem swoim młody biegun.

Porcyą. O, dosyć na tem, bo lękam się bardzo,
Abyś nie dodał, że krewnym jest twoim,
Gdy tak marnujesz dowcip twój święteczny
Śpieszmy, Nerysso; posłaniec tak grzeczny
Wart, żeby jego przyjąć powitanie.

Neryssa. Niech to Bassanio będzie, daj, o Panie!
(*Wychodzą*).

AKT TRZECI.

SCENA I.

Ulica w Wenecyi.

(*Solanio i Salarino*).

Solanio. Co nowego na Rialto?

Salarino. Utrzymuje się dotąd pogłoska, że bogato ładowny okręt Antonia rozbił się na kanale, w miejscu zwanem, zdaje mi się, Goodwins. Niebezpieczna to i fatalna mielizna, w której kadłuby wielu wysmukłych okrętów leżą pogrzebane, jeśli kumoszka wieść nie kłamie.

Solanio. Chciałbym, żeby tym razem kłamała, jak wdowa, która chce wmówić w sąsiadki, że płacze po śmierci trzeciego męża. Prawda jednak, żeby mówić bez ogród-

dek, a nie mijać się z prostym gościńcem szczerości, prawda, że dobry Antonio, uczciwy Antonio — o, gdybym znalazł przymiotnik godny nazwisku jego towarzyszyć! —

Salarino. Skończ, proszę.

Solanio. Ha, nie wiesz, o co pytasz; ale skończę — stracił okręt.

Salarino. Gdyby się na tem straty jego skończyły!

Solanio. Amen! wołam co prędzej, żeby dyabeł nie zaszedł drogi w modlitwie, bo widzę, że się zbliża w postaci Żyda. (*Wchodzi Szajlok*). Dzień dobry, Szajloku. Co za nowiny między kupcami?

Szajlok. Wyście wiedzieli — nikt lepiej, och! nikt od was lepiej — wyście wiedzieli o ucieczce mojej córki.

Salarino. Bez wątpienia. Ja przynajmniej znałem krawca, który jej uszył skrzydła do lotu.

Solanio. A Szajlok wiedział także ze swojej strony, że ptaszek porósł już w pierze; a w naturze podlotków, że odlatują z gniazda.

Szajlok. Potępiona za to!

Salarino. Bez wątpienia, jeśli dyabeł jest jej sędzią.

Szajlok. Ciało moje i krew moja zbuntowane!

Solanio. Wstydz się! stare ścierwo buntuje się jeszcze w twoim wieku?

Szajlok. Mówię o córce, która jest ciałem i krwią moją.

Salarino. Większa jest różnica między twojem a jej ciałem, niż między hebanem a stoniową kością; większa między krwią waszą, niż między czerwonym a reńskim winem. Ale powiedz, czy słyszałeś o jakich statkach Antonia na morzu?

Szajlok. I tu znowu zły interes. Bankrut, mańnotrawnik, który ledwo śmie głowę na Rialto pokazać; żebrak, który zwykle tak wymuskany na plac przychodził. Niech baczy na swój oblig; zwykle mnie lichwiarzem nazywał; niech baczy na swój oblig; zwykle pieniądze przez chrześcijańską miłość rozpozyczał; niech baczy na swój oblig!

Salarino. Pewny jestem, że, jeśli się nie uiści, nie weźmiesz przecie jego mięsa; i na cóżby ci się przydało?

Szajlok. Na rybią ponętę. Jeśli nie nasyci nikogo, to nasyci moją zemstę. Zniesławił mnie; przeszkodził pół

miliona zarobić; śmiał się ze strat moich, sztydził z moich zysków, gardził moim narodem, moje spekulacje krzyżował, ziębił moich przyjaciół, moich nieprzyjaciół zagrzewał; a dla jakich powodów? bo jestem Żydem. Alboż Żyd nie ma oczu? alboż Żyd nie ma rąk, członków, organów, zmysłów, uczuć i namiętności? alboż się nie żywi tym samym pokarmem, ran nie odbiera od tej samej broni, nie ulega tym samym chorobom, nie leczy się temi samymi lekarstwami, nie grzeje się i nie oziębia tem samem latem i tą samą zimą, co chrześcijanin? Gdy nas ukłujesz, czy nam krew nie ciecze? czy nie śmiejemy się, kiedy nas łechcesz? kiedy nam truciznę zadasz, czy nie umieramy? a gdy nas pokrzywdzisz, nie mamyż pomsty szukać? Podobni wam we wszystkim i w tem będziemy podobni. Pokrzywdzony przez Żyda chrześcijanin czem swoją pokorę objawia? zemstą. Żyd przez chrześcijanina pokrzywdzony, wierny chrześcijańskiemu przykładowi, czem swojej cierpliwości dowiedzie? zemstą. Złość, której mnie uczycie, do was zastosuję, a źleby było, gdybym nie ulepszył nauki.

(*Wchodzi służący*).

Służący. Pan mój, Antonio, czeka na was u siebie i pragnie z wami mówić.

Salarino. Właśnie szukaliśmy go wszędzie.

(*Wchodzi Tubal*).

Solanio. Otóż i drugi z pokolenia; trzeciego im nie dobiedziesz, chyba sam dyabeł stanie się Żydem.

(*Salarino i Solanio wychodzą*).

Szajlok. I cóż, Tubalu? Jakie nowiny z Genui mi przynosisz? Czy znalazłeś moją córkę?

Tubal. Słyszałem o niej często, lecz nie mogłem jej znaleźć.

Szajlok. Ach, ach, ach! przepadł dyament, który mnie w Frankfurcie dwa tysiące dukatów kosztował! Teraz dopiero spadło przekleństwo na nasz naród; nie czułem go dotąd. Jeden dyament dwa tysiące dukatów! a prócz tego inne drogie, drogie klejnoty! Chciałbym córkę trupem u nóg mych widzieć, a klejnoty w jej uszach! chciałbym, żeby w trumnie u nóg mych leżała, a klejnoty były w trumnie! Żadnej o nich wiadomości! jakto? a ja tu, nie wiem już jak wiele, na szukanie ich wydałem! Strata goni za stratą! Złodziej uniósł tyle,

a tyle na znalezienie złodzieja! a żadnego zadosyćczy-
nienia, żadnej zemsty! Niema nieszczęścia, tylko na
moich barkach, niema westchnień, tylko w moich pier-
siach, niema łez, tylko w moich oczach!

Tubal. O nie, i na innych spadają nieszczęścia. Antonio,
jak słyszałem w Genui...

Szajlok. Co? co? nieszczęście? nieszczęście?

Tubal. Stracił bogaty okręt, wracający z Trypolisu.

Szajlok. Dzięki Bogu! dzięki Bogu! Ale czy to tylko
prawda? czy prawda?

Tubal. Rozmawiałem z majtkami, którzy uratowali się
z rozbicia.

Szajlok. Dziękuję ci, uczciwy Tubalu. Dobre nowiny, do-
bre nowiny! ha! ha! gdzie? w Genui?

Tubal. Córka twoja przetrwoowała w Genui, jak słyszałem,
w jednej nocy, ośmdziesiąt dukatów.

Szajlok. Utopiłeś mi sztylet w sercu. Nie zobaczę się już
nigdy z mojem złotem! Ośmdziesiąt dukatów naraz!
Ośmdziesiąt dukatów!

Tubal. Przybyłem do Wenecyi w towarzystwie kilku wie-
rzycieli Antonia; wszyscy zapewniają, że musi zban-
krutować.

Szajlok. Co za radość! Będę go dręczył, będę go męczył.
Co za radość!

Tubal. Jeden z nich pokazywał mi pierścień, który dostał
od twojej córki za małpę.

Szajlok. Ha, żeby ją!... Męczysz mnie, Tubalu. To był
mój turkus; dostałem go od Lii, kiedym był jeszcze
kawalerem. Za całą puszcę małp byłbym go nie
dał.

Tubal. Ale Antonio niezawodnie zrujnowany.

Szajlok. Prawda, wielka prawda! Idź, Tubalu, najmij mi
woźnego, zamów go na dwa tygodnie przed terminem.
Wydrę mu serce, jeśli się nie uiszi. Bylem się jego
pozbył z Wenecyi, będę mógł jakie zechcę kontrakty
zawierać. Idź, Tubalu. Znajdziesz mnie w bóżnicy; idź,
dobry Tubalu; w bóżnicy, Tubalu.

(*Wychodzą*).

SCENA II.

Belmont. — Sala w domu Porcyi.

(*Bassanio, Porcyja, Gracyano, Neryssa, dwór. — Widać
odkryte szkatułki*).

Porcyja. Wstrzymaj się, proszę, dzień lub dwa jeszcze;

Bo jeśli w nagłym zmylisz się wyborze,
Utracam miłe twoje towarzystwo.

Coś mi tu szepce, (ale to nie miłość)

Żebym cię stracić nie chciała; wiesz dobrze,
Podobnej rady nie daje nienawiść.

Bojąc się, żebyś źle mnie nie zrozumiał,
(Choć dziewic myśli dziewic są językiem)

Chciałabym parę wstrzymać cię miesięcy,
Nim pójdziesz ręki mej szukać w wyborze.

Wprowadzilibym mogła wskazać ci szkatułkę,
Ale byłoby to krzywoprzysięgać,

A nie chcę winną być krzywoprzysięstwa.
Więc możesz w twoim pobłądzić wyborze,

A wtedy, wtedy wolałabym zgrzeszyć
I krzywoprzysiędź. Przekłete twe oczy

Swoim mnie czarem rozcięły na dwoje;
Część jedna twoją i druga jest twoją,

Chcę mówić, moją; lecz moje jest twoje,
Więc wszystko twoje. O, czasy okrutne,

Co właściciela od praw jego dziela,
I chociaż twojej bronią zostać twoją!

Jeśli tak będzie, niech do piekła za to,
Nie ja, lecz moja zapadnie fortuna!

Tak długo mówię, tylko by czas zwlekać,
Wybór twój wstrzymać.

Bassanio. Pozwól mi wybierać,
Bo teraz żyję, jakby na męczarniach.

Porcyja. Jak na męczarniach? Więc wyznaj, Bassanio,
Jaka się zdrada z twą miłością miesza.

Bassanio. Ach! tylko szpetna zdrada wątpliwości,
Czy zdołam osiąść, co kocham tak wiernie;

Bo równie łatwo śnieg z ogniem sprzyjażnić,
Jak miłość moją zjednoczyć ze zdradą.

Porcyja. Ty może mówisz, jak człek na męczarniach,
W boleściach mówić, co kto chce, gotowy.

Bassanio. Zaręcz mi życie, a wyznam ci prawdę.

Porcyą. Więc żyj a wyznaj.

Bassanio. Raczej żyj a kochaj,

Jest całą treścią mojego wyznania.

Drogie męczarnie, kiedy kat mój własny

Sam mi zbawienia podsuwa odpowiedź!

Lecz pozwól moim rozstrzygnąć się losom.

Porcyą. Zamknięta jestem w jednej z tych szkatulek;

Jeśli mnie kochasz, odkryjesz mnie łatwo.

A teraz wszyscy na bok się usuńcie.

Niech wyborowi pieśni towarzyszą;

Jeśli pobłądzi, niech jak łabędź kona,

Mdleje wśród pieśni. Żeby porównanie

Było zupełne, lzy me strugą będą

I mokrym grobem jego; jeśli wygra,

Pieśni wtedy będzie jako trąb odgłosy,

Kiedy poddani, w dzień koronowania,

Swego nowego witają monarchę;

Jak słodkie tony, które w dniu poranku

Z rozkosznych marzeń budzą oblubienica,

I do ołtarza wołają. — Już idzie,

Z równą powagą, lecz większą miłością,

Niż młody Alcyd, gdy płaczącą Troję

Od dziewiczego wyzwolił haraczu,

Który potworze morskiej opłacała.

Jam jest ofiarą; to dardańskie córki,

Co, trwogą blade, przyszły widzieć koniec

Strasznej rozprawy. Śmiało, Herkulesie!

Żyj, a ja żyję. Na bóg patrząc srogi,

Więcej się lękam, niż szermierz mój drogi.

(Bassanio rozważa w milczeniu napisy szkatulek. — Muzyka).

Pieśń. Powiedz, gdzie się miłość rodzi?

Czy w głowie, czy w sercu wschodzi?

Co ją żywi, co ją płodzi?

Powiedz! Powiedz!

W jasnych oczach urodzona,

Blaskiem oczu wykarmiona,

A w kolebce swojej kona.

Więc miłości dzwońmy zgon;

Ja zaczynam: don, dyn, don!

Wszyscy. Don, dyn, don!

Bassanio. Boć blask pozorny może nicość słońc.

Świat ciągle zwodzi ozdoba powłoka.

Bo w sądach naszych gdzież jest tak zła sprawa,

Któraby, słodkimi okraszona słówkiem,

Wad swych nie skryła? a jestże w religii

Herezya taka, co nie ma kapłana

Z poważną miną, zawsze gotowego

Pobłogosławić i tekstem ją stwierdzić,

Pięknem ubraniem słońc jej ohydę?

Niema występku, któryby zarazem

Na zewnątrz cnoty jakiej nie miał piętna.

Iluż to tchórzów, których pierś zwodnicza

Jest wałem z piasku; choć na twarzy noszą

Brodę Alcyda lub gniewnego Marsa,

To serce mają tak białe, jak mleko?

Tylko narosty odwagi przybrali,

Aby świat trwożyć. Przyjrzyj się piękności,

A znajdziesz, że jest na wagę kupiona,

Że towar cuda z kobietami robi,

Że te się właśnie najłżejsze wydają,

Które najwięcej nabrały towaru.

Te złote, jak wąż wijące się sploty,

Z którymi wiatry rozkosznie igrają,

Blaskiem zwiedzone, wprzód należały

Do czaszki, która dawno w grobie leży.

Tak więc strój tylko zwodniczym jest brzegiem

Zdradnego morza, lub szarfą uroczą,

Indyjską piękność przed okiem słońcą,

Pozorną prawdą, przez którą czas chytry

I mędrców zwodzi. Więc błyszczące złoto,

Mijam cię, twardy Midasa pokarmie,

I ciebie, blade, zwykły pośredniku

Ludzkich układów. Ty, biedny ołowiu,

Co raczej grozisz, niżli obiecujesz,

Ja nad wymowę cenię twoją bladeść,

Ciebie wybieram, daj mi złotą radość!

Porcyą. Jak wszystkie inne uczucia topnieją!

Rozpacz, co już się zegnała z nadzieją,

Trwoga i zazdrość z żrenicą zieloną!

Hamuj, miłości, radość twą szaloną!

Sącz po kropelce rozkosz do mej duszy,

Albo jej zbytek wąż ciału skruszy!

Lękam się zbytku.

Bassanio *(otwierając ołowianą szkatulkę).*

O Boże! co widzę?

Porcy oblicze! I jakież pół-bożek
 Na ziemię zstąpił? Czy oko jej mruga?
 Lub czyli tylko w oczu moich stoku
 Ruszać się zdaje? Usta jej rozdziela
 Cukrowy oddech; tak słodka przegroda
 Tak słodkich dzielić powinna przyjaciół.
 Włosa jej malarz, jak pająk, powikłał,
 Złote ich sploty przemienił w tkaninę,
 Co ludzkie serca niezawodnie chwytą,
 Niż sieć pajęcza muchy i komary.
 Jej oczy! Jakże oddać mógł te oczy?
 Kiedy z nich jedno, wiernie przedstawione,
 Dość miało siły ukraść jego oba,
 I w środku pracy zatrzymać malarza?
 Lecz jak pochwały me niżej są wdzięków
 Tego tu cienia, tak daleko znowu
 Ten cień jest niżej wdzięków swego wzoru.
 Lecz pismo jakież los mi zapowiada?

(Czyta).

Ty, coś nie sądził z pozoru,
 Wniosłeś szczęście do wyboru.
 Skarbem takim wzbogacony,
 Czego szukać ci potrzeba?
 Jeśliś rad jest z takiej żony,
 Z takich błogosławieństw nieba,
 Na jej licach koralowych
 Wyciśń pieczęć swych praw nowych.

Jak słodki rozkaz! postuszeństwo skore.

(Czuje ją).

Na rozkaz, pani, i daję, i biorę.
 Jak na igrzyskach, kiedy szermierz młody
 Czuje w zapasach, że wart jest nagrody,
 Gdy grzmot oklasków wstrząsł teatru ściany,
 Niepewne oko toczy, jak pijany,
 Niby się pyta: »Mnież to powitanie?«
 W równym, o piękna, wątpliwości stanie,
 Ufności nie mam w mojem szczęściu nowem,
 Póki ty, droga, nie stwierdzisz je słowem.

Porcy. Bassanio, widzisz mnie teraz przed sobą
 Taką, jak jestem. Choć dla siebie samej
 O niczym więcej nie prosita nieba,
 Dla ciebie jednak pragnęłabym stać się
 Stokroć piękniejszą, tysiąckroć bogatszą;

Żeby w twych oczach większą zyskać cenę,
 Chciałabym wszelki prześcignąć rachunek
 W cnotach, piękności, skarbach, przyjaciółach.
 Ale, ach! cała wartości mej suma
 Wynosi — zero. Bo i cóż ją składa?
 Dziewczyna prosta i bez doświadczenia,
 Szczęśliwa tylko, że młoda jest jeszcze,
 Kształcić się zdolną; a stokroć szczęśliwsza,
 Że ma zdolności, które kształcić może,
 A najszcześniejsza, że giętki swój umysł
 Pod twój, Bassanio, oddaje kierunek,
 Byś jej był panem, rządzą jej i królem.
 Ja i co moje teraz się przemienia
 W ciebie i twoje. Krótka chwila temu,
 Tego pałacu, sług tych byłam panią,
 Własną królową; lecz teraz, już teraz
 Ten dom, ci słudzy, a nawet ja sama,
 Wszystko to twoje, wszystko ci oddaję
 Wraz z tym pierścieniem. Jeśli pierścień stracisz,
 Albo dasz komu, to będzie mi znakiem,
 Że twoja dla mnie miłość przeminęła,
 Że będę mogła skarżyć się na ciebie.

Bassanio. Słowa twe, pani, niemył mnie zrobiły,
 Tylko w mych żyłach krew ci odpowiada.
 W mych wszystkich myślach takie zamieszanie,
 Jakie się rodzi po wymownym głosie
 Drogiego księcia wśród szemrzących tłumów,
 Gdy szmer tysięcy, pomieszany razem,
 Rośnie w ton dziki głośniego wesela,
 Wyraźnych uczuć znamię niewyraźne.
 Pierścień ten z palca tylko z życiem spadnie;
 Mów wtedy śmiało: »Bassanio mój skonał«.

Neryssa. Pani ma, panie, teraz na nas kolej,
 Cośmy na wasze patrzyli wesele:
 Więc szczęść wam, Boże! mój panie, ma pani.

Gracyano. Dobry Bassanio, i ty, dobra pani,
 Niech wszystkie wasze spełnią się życzenia,
 Bo i wy moich spełnienia pragniecie.
 Gdy czas nadejdzie, w którym zamierzacie
 Ślubować sobie wiarę, pozwolicie,
 Że i ja z żoną stanę przed ołtarzem.

Bassanio. I owszem, jeśli żonę tę znalazłeś.

Gracyano. Dzięki ci, panie; tobie ją winienem.

Żrenice moje tak, jak twoje, bystre;
 Tyś ujrzał panią, ja jej powiernicę;
 W jednym spojrzeniu, jak ty, pokochałem,
 Bo, jak ty, równie zwłoki nienawidzę.
 Twój los był w tamtych zamknięty szkatułkach;
 Tam moje także były przeznaczenia.
 Bo gdy w umizgach poty na mnie były,
 Gdy mi schło w gardle wśród przysiąg miłosnych,
 Po długiej walce otrzymałem przecie
 Słowo nadziei — jeśli godna wiara —
 Że mi odplaci miłość wzajemnością,
 Byleś ty zdołał wygrać pani rękę.
Porcyca (*do Neryssy*). A ty, co na to?
Neryssa. Wszystko prawda, pani,
 Byle to z twoją zgadzało się wołą.
Bassanio. A ty, Gracyano, czy chcesz w wierze dotrzeć?
Gracyano. Chcę, na mój honor.
Bassanio. Ślub wasz, Gracyano,
 Niemało blasku i naszemu przyda.
Gracyano. Założmy się z nimi, kto będzie miał pierwszego
 chłopca, o tysiąc dukatów.
 Lecz któż to? Ze swą niewierną Lorenzo,
 A z nimi stary przyjaciel Solanio.
 (*Wchodzą: Lorenzo, Jessyka, Solanio*).
Bassanio. Witaj, Lorenzo! witaj mi, Solanio!
 Jeśli mi młode szczęście prawo daje
 Witac mi tutaj. Przebacz, droga Porcyo,
 Jeśli tak witam dwóch moich współziomków,
 Starych przyjaciół.
Porcyca. I ja, razem z tobą,
 Przyjaciół twoich szczerem witam sercem.
Lorenzo. Dzięki ci, pani. Co do mnie, Bassanio,
 Nie miałem myśli odwiedzić cię tutaj,
 Ale, gdym spotkał Solania wśród drogi,
 Nie mogłem jego oprzeć się życzeniom.
Solanio. Prawda, a miałem do tego natręctwa
 Ważne powody. Dobry nasz Antonio
 Twej się poleca pamięci.
 (*Oddaje mu list*).
Bassanio. Solanio,
 Nim list otworzę, zaspokój mnie wprzód,
 Mów mi o zdrowiu mego przyjaciela.
Solanio. Jeśli jest chory, to chyba na duszy,

Chyba na duszy, jeżeli jest zdrowy.
 List powie resztę.
Gracyano. Proszę cię, Nerysso,
 Idź i powitaj tę obcą kobietę.
 Daj dłoń, Solanio. I cóż tam w Wenecyi?
 Co tam porabia królewski nasz kupiec?
 Wiem, że go nasza ucieszy pomyślność:
 Jak nowy Jazon, zyskaliśmy runo.
Solanio. Bodaj to było runo, które stracił!
Porcyca. Papier ten musi niezwyklej być treści:
 Wszystek rumieniec z jego liców kradnie.
 Czy przyjaciela śmierć? bo cóż innego
 Tak nagle może twarz całą przemienić
 Silnego męża? Coraz, coraz gorzej!
 Pozwól, Bassanio, jestem twą połową,
 Mam przeto prawo do jednej połowy
 Utrapięń twoich.
Bassanio. Słodka moja Porcyo,
 Ach, to są słowa najczarniejszej treści,
 Co kiedykolwiek papier pokalały!
 Kiedym ci pierwszy raz miłość mą wyznał,
 Nie kryłem prawdy, że całym mym skarbem
 Była w mych żyłach moja krew szlachecka.
 Mówiłem szczerze. Jednak, droga moja,
 Ujrzyś, że nawet ceniąc się tak nisko,
 Jeszcze zbyt wiele samochwalstwa miałem.
 Mówiąc, że mienie moje było niczem,
 Winienem dodać: było mniej, niż niczem,
 Bo zaciągnąłem dług u przyjaciela,
 Który, by mojej dogodzić potrzebie,
 Z śmiertelnym wrogiem wejść musiał w układy.
 Ten list, jak mego przyjaciela ciało,
 Każde w nim słowo jest otwartą raną,
 Z której krew ciecze! — Lecz powiedz, Solanio,
 Czy wszystkie statki, czy wszystkie przypadły?
 Z Anglii, Trypolis, Meksyku, Lizbony,
 Indyi, Algieru? Czy żaden nie uszedł
 Morderczych dotknięń skał przykrytych wodą?
Solanio. Żaden, Bassanio. Zdaje się, prócz tego,
 Że, gdyby nawet i miał dziś pieniądze,
 Żydy ich przyjąć nie chciał. Nigdy jeszcze
 Nie widział wilka pod człeka postacią,
 Coby łakomszy był na krew bliźniego.

We dnie i w nocy uprzykrza się doży,
 Oskarża prawa Rzeczypospolitej,
 Jeśli odmówią mu sprawiedliwości.
 Dwudziestu kupców, doża i najpierwsi
 Senatorowie próżno go błagali,
 Zawsze i zawsze on powtarza swoje:
 Prawo i kontrakt i złamane słowo.

Jessyka. Pamiętam, kiedy jeszcze byłam w domu,
 Jak przed Tubalem i Chusem przysięgał,
 Że woli mięsa jego drobną cząstkę,
 Niżli dwadzieścia razy wartość sumy,
 Którą mu winien; wiem zbyt dobrze tylko,
 Że, jeśli prawo zapory nie stawi,
 Twardy los będzie biednego Antonia.

Porcya. Twójże przyjaciel w takich jest kłopotach?

Bassanio. O, mój najlepszy, najdroższy przyjaciel,
 Szlachetne serce, dusza nieznużona
 W czynieniu dobrze! jak Włochy szerokie,
 Mąż nie oddycha, któregoby czyny
 Wskrzesały lepiej stary rzymski honor.

Porcya. Jak wielką sumę zaciągnął u Żyda?

Bassanio. Trzy mu tysiące winien jest dukatów,
 A winien za mnie.

Porcya. Jakto? i nic więcej?

Więc sześć mu zapłać, byle oblig zniszczyć;
 Lub podwój, potrój sumę, jeśli trzeba,
 Wprzód, nim przyjaciel tak dobry, tak rzadki,
 Włos jeden straci dla mego Bassania.
 Naprzód, w kościele daj mi żony imię,
 Do przyjaciela potem, do Wenecyi!
 Bo nie położysz głowy przy twej żonie,
 Póki w twej duszy niepokój ten gości.
 Będziesz miał złota dosyć, jeśli trzeba,
 Aby dwadzieścia razy dług ten spłacić.
 Zapłać, a potem wracaj z przyjacielem.
 Ja tu z Neryssą, jakby dwie dziewice,
 Jakby dwie wdowy czekać was będziemy.
 Śpieszmy! bo musisz w dzień ślubu mnie rzucić;
 Pozdrów przyjaciół, a przestań się smucić;
 Drogi mi będziesz, boś drogo kupiony.
 Ale odczytaj mi list przyjaciela.

Bassanio (*czyta*). Kochany Bassanio, wszystkie moje okręty
 przepadły; moi wierzyciele co dzień niemiłosierniejsi,

moje położenie co dzień gorsze. Termin wypłaty Ży-
 dowi już przeminął; a że, dopełniając następnych wa-
 runków, żyć nie mogę, wszystkie rachunki między nami
 będą pokwitowane, byłem cię ujrzał raz jeszcze przed
 śmiercią. Mimo tego jednak, słuchaj własnego tylko
 natchnienia; jeśli cię przyjaźń nie będzie naglić do po-
 wrotu, niech cię mój list nie nagli.

Porcya. Mój drogi, odłóż wszystkie interesy
 A śpiesz się!

Bassanio. Droga, żegnam się więc z tobą;
 Śpieszę do miasta, do mych przyjacieli;
 Nie będzie winą snu ani pościeli,
 Jeśli choć jedną powróć spóźnią dołą.
 (*Wychodzą*).

SCENA III.

Ulica w Wenecyi.

(*Szajlok, Salarino, Antonio i stróż więzienia*).

Szajlok. Strózu, bądź baczny. Nie mów o litości.
 Głupi, kto pieniądź gratis rozpozycza.
 Strózu, bądź baczny.

Antonio. Słuchaj mnie, Szajloku...

Szajlok. Chcę mieć mój oblig, muszę mieć mój oblig,
 Przysięgałem na to — próżna gadanina.
 Psem mnie nazwałeś, przód nim miałeś powód;
 Gdy więc psem jestem, strzeż się moich zębów.
 Doża wymierzyć musi sprawiedliwość.
 Dziwię się, strózu, że tak lekkomyślnie,
 Na więźnia prośbę po mieście z nim chodzisz.

Antonio. Proszę cię, słuchaj mnie, dobry Szajloku...

Szajlok. Muszę mieć oblig, a nie chcę cię słuchać.
 Muszę mieć oblig — nie mów do mnie więcej.
 Nie chcę być miękkim, zapłakanym głupcem,
 Potrząsać głową, wzdychać i ustąpić
 Mych chrześcijańskich nieprzyjaciół prośbom.
 Próżne gadanie — muszę mieć mój oblig!
 (*Wychodzi*).

Salarino. Żyd ten przeklęty, ach, to pies najtwardszy,
 Co kiedykolwiek żył pomiędzy ludźmi!

Antonio. Dość tego; prośb tych daremnych już dosyć!

Śmierci mej pragnie: wiem dobrze dlaczego:
Nieraz ja z szponów jego wyzwoliłem
Biednych, co na czas zgłosili się do mnie;
Stąd ta nienawiść.

Salarino. Doża nie zezwoli
Na wykonanie takiego obliżu.

Antonio. Doża hamować biegu praw nie może,
By cudzoziemcom nie dać w podejrzenie
Sprawiedliwości naszych trybunałów,
Pomny, że miasta naszego bogactwo
Spoczywa całe na ufności kupców.
Straty i troski tak mnie wycieńczyły,
Że mi zaledwo funt mięsa zostanie
Na wierzyciela mego dług krwawy.
Stróżu, wracajmy. Bylebym przed śmiercią
Bassania ujrzał, o resztę nie stoję.
(*Wychodzą*).

SCENA IV.

Belmont. — Pokój w domu Porcyi.

(*Porcyą, Neryssa, Lorenzo, Jessyka i Baltazar*).

Lorenzo. Pani, choć mówiąc skromność twą obrażę,
Wyznam, że w myślach szczytne masz pojęcie
Boskiej przyjaźni, czego dziś dowodzisz,
Tak stale znosząc męża twego odjazd.
A gdybyś jeszcze wiedziała, o pani,
Ile szlachetnej pomagasz osobie,
Ile do męża twego przywiązanej,
Wiem, żebyś w sercu więcej czuła dumy,
Więcej, niż dobroć pospolita wzbudza.

Porcyą. Nie żałowałam nigdy dobrych czynów,
I dziś nie będę. W towarzyszach bowiem,
Którzy pospołu dnie żywota pędzą,
Których myśl jedno jarzmo uczuć sprzęga,
Musi być równa miara i stosunek
Ducha, zwyczajów, chęci i skłonności;
To mi więc każe sądzić, że Antonio,
Jako serdeczny przyjaciel Bassania,
Musi być jemu podobny; w tym razie
Jakże niewielkim, jak ubogim kosztem

Duszę pokrewną mojej wykupiłam
Od piekielnego okrucieństwa Żyda.
Ale to wszystko zbyt technie samochwalstwem,
Więc przejdźmy raczej do innej rozmowy.
Słuchaj mnie teraz; Lorenzo, w twych ręku
Zostawiam cały zarząd mego domu
Aż do powrotu Bassania. Co do mnie,
Tajną przysięgą niebu ślubowałam,
Że na modlitwach i na rozmyślaniu,
Z Neryssą, jedną tylko towarzyszką,
Czas będę pędzić do powrotu męża.
Jest cichy klasztor, odległy dwie mile,
Tam się zamknijemy. Nie odmawiaj, proszę,
Usługi, którą przyjaźń i konieczność
Wkładają na cię.

Lorenzo. Pani, całym sercem;
Słusznych rozkazów zawsze słuchać gotów.

Porcyą. Mój dwór, o mojej uprzedzonej woli,
Będzie poważał ciebie i Jessykę,
Jak mnie i męża mego Bassania.
Więc bądźcie zdrowi aż do zobaczenia!

Lorenzo. Szczęśliwe myśli niech ci towarzyszą!
Jessyka. Niech radość spłynie na serce twe, pani!

Porcyą. Dobre życzenia życzeniem odpłacam:
Bądźcie szczęśliwi! Jessyko, bądź zdrowa!
(*Lorenzo i Jessyka wychodzą*).

Słuchaj, Baltazar: zawsześ był mi wierny,
Bądź nim i teraz. Weź list ten i zaraz,
O ile tylko siły twoje starczą,
Śpiesz się do Padwy, tam oddaj go w ręce
Mego krewnego, doktora Bellaryo,
A ubiór, który da ci, i papiery
Z równym pośpiechem przynieś do przewozu
Na wielkim trakcie weneckim; śpiesz tylko,
A wracaj; ja tam przed tobą już będę.

Baltazar. Bądź pewna, pani, że nie stracę czasu.
(*Wychodzi*).

Porcyą. Śpieszmy, Nerysso. Mam na myśli dzieło,
O którym pewno nie śniłaś; małżonków
Ujrzymy prędzej, niż się spodziewają.

Neryssa. A oni będąż nas widzieć?

Porcyą. Zapewne,
Lecz tak przebrane, iż będą mniemali,

Że mamy wszystko, na czem nam dziś zbywa.
 O zakład, że gdy wdziemy przebranie,
 Ja będę chłopcem piękniejszym od ciebie,
 Z dzielniejszą gracyą nosić będę sztylet,
 Piskliwym głosem wyrostka rozmawiać,
 Wąziuchne kroki na chód zmieniać męski,
 Prawić o bójkach, jak młodzik chepliwy,
 Kłamać, jak wielkie kochały mnie damy,
 Jak je w grób moja wypychała oziębłość;
 »Nie moja wina«, dołożę ze skruczą,
 »Byłoby lepiej, gdybym ich nie zabił«.
 Dodam dwadzieścia innych kłamstw wierutnych,
 Tak, że słuchacze zdziwieni powiedzą:
 »Młokos ten ze szkół wymknął się przed rokiem«.
 Mam w głowie mojej nosić różnych figłów,
 Które im płać zamierzam.

Neryssa. Więc w mężczyzn
 Zmienić się mamy?

Porcyca. Fe, co za pytanie!
 A gdyby jaki słytał nas rozpustnik?
 Lecz idźmy! powóz u bramy nas czeka,
 Śród drogi resztę planów ci wyłożę.
 Pamiętaj, że, nim gwiazdy zaczną świecić,
 Dziesięć mil drogi musimy przelecieć.
(Wychodzą).

SCENA V.

Belmont. — Ogród.

(Lancelot i Jessyka).

Lancelot. Bez wątpienia; bo słuchaj, grzechy ojca nawiedzone będą na dzieciach; i dlatego to boję się o ciebie. Byłem zawsze z tobą szczerzy i w tym więc przedmocie nie zataję ci prawdy; nie trać przeto serca, bo zdaje mi się, że jesteś potępiona. Jedna tylko pozostaje ci nadzieja ratunku, a i ta nawet jest gatunkiem bękarcej nadziei.

Jessyka. Cóż to za nadzieja, proszę?

Lancelot. Co za nadzieja? Możesz się trochę spodziewać, że cię nie twój ojciec spłodził, że nie jesteś córką Żyda.

Jessyka. Byłaby to niezawodnie bękarcia nadzieja; ale wtedy grzechy mojej matki byłyby na mnie nawiedzone.

Lancelot. To prawda. Widzę więc, że jesteś potępiona po kądzieli i po mieczu. Kiedy chcę uciekać od Scylli, twój ojca, wpadam w Charybdę, twoją matkę. Na obu drogach przepadłaś.

Jessyka. Mój mąż mnie zbawi i on mnie zrobił chrześcijanką.

Lancelot. I bardzo źle zrobił. I tak już było dosyć chrześcijan, właśnie ilu się mogło wyżywić uczciwie jedni przy drugich. Ta fabrykacya chrześcijan podniesie cenę wieprzowiny. Jeśli wszyscy zostaniemy wieprzoadami, niedługo człowiek za żadne pieniądze kawałka sperki nie dostanie. *(Wchodzi Lorenzo).*

Jessyka. Powiem to wszystko mojemu mężowi, który właśnie nadchodzi.

Lorenzo. Zacznę być zazdrosnym, Lancelocie, jeśli tak po kątach będziesz z żoną moją rozmawiał.

Jessyka. Nie masz się czego obawiać, Lorenzo! Lancelot jest w otwartej ze mną wojnie. Powiada mi bez ogródki, że niema dla mnie miłosierdzia w niebie, bo jestem córką Żyda, a ciebie nazywa złym obywatelem rzeczypospolitej, bo, nawracając Żydów, podnosisz cenę wieprzowiny.

Lorenzo. Łatwiej mi z tego będzie usprawiedliwić się przed rzeczpospolitą, niż tobie z uwiedzenia murzynki, która przez ciebie zaszła w ciążę.

Lancelot. Stuszenie, aby zyskała w objętości, co straciła w uczciwości; a zresztą od czegoż byłaby murzynką, gdyby nie nosiła ciąży?

Lorenzo. Jak każdy błazen igrać może ze słowami! Zdaje mi się, że niedługo milczenie będzie najlepszą zaletą dowcipu, a mowa tylko w papugach będzie miała wartość. Idź teraz i powiedz sługom, żeby się gotowali do obiadu.

Lancelot. Wszyscy od dawna gotowi, wszyscy mają żołądki.

Lorenzo. Ach, co za koncepcista! Więc powiedz, niech przygotują obiad.

Lancelot. Już przygotowany, brak tylko zastawy.

Lorenzo. To zastaw.

Lancelot. Co i u kogo?

Lorenzo. Coraz niezdolniejszy! Czy chcesz od razu pokazać wszystkie skarby twojego dowcipu? Proszę cię, zrozumiej po prostu proste wyrazy. Idź do twoich towarzyszy, niech stół nakryją, zastawią potrawy, bo chcemy zaraz obiadować.

Lancelot. Stół, panie, będzie zastawiony, potrawy będą nakryte, a co do pańskiego obiadowania, to zależy od humoru i fantazyi. (*Wychodzi.*)

Lorenzo. Co za gaduła bez myśli i sensu! Błazen ten w swojej zaszczerpił pamięci Armię konceptów. Znam niemało błaznów, Na wyższym, niż on, postawionych szczeblu, Konceptnikami tak, jak on, wypchanych, Co śmiesznym słowem pragną sens zastąpić. — Słodka Jessyko! powiedz mi otwarcie, Jak ci się żona Bassania podoba?

Jessyka. Brak mi słów na to. Słusznie się należy, Aby cnotliwe Bassanio wiódł życie, Bo w żonie mając błogosławieństw tyle, Rozkosze nieba znalazł już na ziemi; Jeśli na ziemi ceny ich nie pozna, Nie wart jest, żeby i w niebie je znalazł. Gdyby dwa bóstwa o zakład niebieski Dwie postawiły ziemi tej niewiasty, A Porcyą jedną z nich była, do drugiej Skarb jeszcze jaki dodaćby musiały: Świat biedny drugiej Porcyi nie posiada.

Lorenzo. Czem wśród żon Porcyą, tem ja pośród mężów.

Jessyka. O, co do tego, pytaj mnie o zdanie.

Lorenzo. Tylko nie teraz, idźmy przed na obiad.

Jessyka. Słuchaj twych pochwał, póki masz apetyt.

Lorenzo. Nie, nie, zachowaj to aż do obiadu,

Żebyśmy mogli strawić razem z potrawami

Wszystko, co powiesz.

Jessyka. Usłyszysz nowiny.

(*Wychodzą.*)

AKT CZWARTY.

SCENA I.

Wenecya. — Trybunał.

(*Doża, Senatorowie, Antonio, Bassanio, Gracyano, Solanio, Salarino i inni.*)

Doża. Gdzie jest Antonio?

Antonio. Czekam na rozkazy.

Doża. Z boleścią widzę, że masz odpowiedzieć Na kamiennego przeciwnika skargi, W którego nędznem sercu nadaremnie Szukałbyś kropli ludzkiego uczucia.

Antonio. Książę, wiem dobrze, ileś zażył trudów, By żądań jego surowość złagodzić; Ale gdy w chęciach swoich trwa upornie, Skoro prawnymi nie mogę środkami Wyrwać się z szponów jego nienawiści, Niechaj cierpliwość tarczą moją będzie. Jestem gotowy spokojnym umysłem Wytrzymać jego wściekłości męczarnie.

Doża. Niech Żyd się teraz przed trybunał stawi.

Solanio. Żyd czeka przy drzwiach na sędziów rozkazy.

(*Wchodzi Szajlok.*)

Doża. Zróbcie mu miejsce. Przybliź się, Szajloku!

To jest i świata i moje mniemanie,
Że choć się srożysz do ostatniej chwili,
W końcu pokazesz większe miłosierdzie,
Niż jest pozorne twoje okrucieństwo;
Że chociaż teraz, wedle słów obliżu,
Chcesz z ciała jego funt mięsa wykroić,
Nietylko prawa twojego się zrzeczesz,
Lecz, uczuć ludzkich duchem przenikniony,
Odstąpisz jednej części kapitału,
Litosnem okiem rzucając na straty,
Które na jego zwały się barki,
Pożarty mienie królewskiego kupca,
Zbudziły litość nad jego niedolą
W żelaznych piersiach i kamiennych sercach
Synów Tartaryi, niećwiczonych nigdy

W szlachetnej szkole uczuć delikatnych.
Czekamy na twą litosną odpowiedź.

Szajlok. Książę, wiadome ci są me zamiary.

Ja na nasz święty szabas poprzysiągłem,
Że mieć to muszę, co mi oblig daje.
Odmowa twoja groźbą razem będzie
I prawom waszym i waszej wolności.
Jeśli mnie spytasz, dlaczego przenoszę
Funt złego ścierwa nad moje pieniądze?
Choć odpowiedzieć nie mam obowiązku,
Lecz cóż, gdy powiem: to me przywidzenie;
Odpowiedź taka nie będzie wam dosyć?
Czyliż, gdy w domu moim szczur plądruje,
Dać mi nie wolno, jeśli mam ochotę,
Dziesięć tysięcy dukatów za trutkę?
I ta odpowiedź jeszczeż wam nie dosyć?
Jedni znieść kota widoku nie mogą,
Kwiczącej świni ci nie mogą słuchoć,
Inni, gdy kobza zaskrzypi im w uszach,
Daremnie pragną zatrzymać urynę,
Bo antypaty i sympaty władza
Po swojej woli myśli ich nastraja.
I ja też powiem w mojej odpowiedzi:
Jak ty nie możesz dobrej dać przyczyny,
Dlaczego jeden znieść nie może kota,
Kwiczącej świni ten nie może słuchoć,
A tamten kobzy, by się pomścić nie chciał
Na mimowolnej słabości przyczynie,
Tak ja nie mogę dać wam i dać nie chcę
Innej przyczyny mojego uporu,
Jak zastarzała moja doń nienawiść.
Odpowiedź moja jestże dostateczna?

Bassanio. Taka odpowiedź, kamienny człowieku,
Dzikich popędów nie usprawiedliwia.

Szajlok. Nic mnie nie zmusza, abym w odpowiedziach
Pragnął na twoją zasłużyć pochwałę.

Bassanio. Mamyż zabijać, czego nie kochamy?

Szajlok. Któż nie chce zabić, czego nienawidzi?

Bassanio. Pierwsza uraza maż rodzić nienawiść?

Szajlok. Chcesz więc, by dwakroć ten sam wąż cię ukłuł?

Antonio. Nie zapominaj, że spierasz się z Żydem;

Że równie łatwo mógłbyś nad wyrbrzeżem
Rozkazać fali rosnącej ustąpić,

Że z równym skutkiem mógłbyś wilka pytać,
Dlaczego jagnię od owcy wydziera,
Równiebyś łatwo leśnym kazał sosnom,
Aby bez szumu kołysały zoła,
Gdy je niebieskie trącają oddechy;
Łatwiejbyś spełnił najtrudniejsze dzieło,
Niż tego Żyda twarde zmiękczył serce.
Więc cię zaklinam, przestań próżno błagać,
I dozwól, proszę, ażeby bez zwłoki
Sąd wydał wyrok, a Żyd dostał swoje.

Bassanio. Za trzy tysiące daję szept, Szajloku.

Szajlok. Z sześciu tysięcy gdyby każdy dukat
Na sześć się nowych dukatów rozdzielił,
Jeszczebym moich praw ci nie odstąpił.

Doża. Jeśli dla bliźnich miłosierdzia nie masz,
Jak możesz liczyć sam na miłosierdzie?

Szajlok. Żyjąc uczciwie, czego mam się lękać?
Wszak macie u was kupnych niewolników,
Których, jak osłów, jak psów, lub jak koni,
Do niewolniczych posług używacie,
Bo to wasz pieniądź. Mamże wam powiedzieć:
Dziedziczki wasze dajcie im za żony;
Wróćcie im wolność; niech pościel ich będzie
Miękką, jak wasza; niech ich podniebieniu
Równie wykwintne pochlebiają dania.
Wy odpowiecie: to własność jest nasza.
To samo teraz i ja odpowiadam.

Mięso, o które przed wami się spieram,
Drogo kupiłem, moją jest własnością.

Jeżeli przegram, hańba prawom waszym!

Wyroki wasze czczą są gadaniną.

Wymagam sądu; czyliż mi go dacie?

Doża. Mocą praw moich odraczam trybunał,
Dopóki doktor uczony, Bellaryo,
Którego zdania w sprawie tej zasięgam,
Nie będzie z nami.

Salarino. Książę, właśnie z Padwy
Przybył posłaniec z listami doktora.

Doża. Przynieś mi listy, zawołaj posłańca.

Bassanio. Drogi Antonio, dobrej bądź otuchy;

Przód Żyd zabierze mą krew, mięso, kości,

Zanim ty dla mnie krwi kropelkę stracisz.

Antonio. Jam jest śród trzody zarażoną owcą,

Na śmierć skazaną; jak najśłabszy owoc
Najpierwszy spada, tak ja niechaj spadnę,
A ty nie możesz nic lepszego zrobić,
Jak żyć i dla mnie nagrobek napisać.

(Wchodzi Neryssa w ubiorze dependenta).

Doża. Czy od Bellarya, czy z Padwy przybywasz?
Neryssa. Księżę, Bellarya niosę pozdrowienia.

(Oddaje list).

Bassanio. Dlaczego nóż twój tak żarliwie ostrzysz?

Szajlok. By dług wykroić na bankruta ciele.

Gracyano. Nie na rzemieniu, ale na sumieniu

Nóż ten zaostrzasz; ale żaden metal,

Nie, żaden, nawet katowska siekiera

Połowy ostrza złości twojej nie ma.

Żadna więc prośba wzruszyć cię nie zdoła?

Szajlok. Żadna, przynajmniej, którą ty zanosisz.

Gracyano. Bądźże przeklęty, psie nieubłagany!

Twe życie sądów wieczną jest satyrą!

Prawie zachwiałeś moją silną wiarę,

Przyjąc mnie zmuszasz Pitagora zdanie,

Że się zwierzęce przelewają dusze

W człowieka ciało; że psia twoja dusza

W wilku mieszkała, gdy go powieszono,

Wpłynęła w ciebie prosto z zubienicy,

Gdyś jeszcze w matki przeklętem był tonie,

Bo wszystkie twoje skłonności i żądze

Są wilcze, krwawe, głodne i żarłoczne.

Szajlok. Póki szyderstwem nie zniszczysz obligu,

Daremnie krzykiem płuća twoje męczysz.

Radzę ci z serca, dowcip twój poataj,

Bo jest dziurawy. Domagam się sądu.

Doża. Bellaryo listem poleca doktora

Młodego, ale pełnego nauki.

Gdzie jest ten doktor?

Neryssa. Czekaj niedaleko

Na twą odpowiedź i twoje rozkazy.

Doża. Niech się więc śpieszy. Z pomiędzy was kilku

Niech go uprzejmie wprowadzi do sali.

Tymczasem listu słuchajmy Bellarya.

Sekretarz (czyta). Księżę, w dzień odebrania waszego listu
łożony byłem ciężką chorobą. Ale razem z waszym
posłańcem przybył do mnie z Rzymu w odwiedziny
młody doktor, nazwiskiem Baltazar. Opowiedziałem mu

całą sprawę Żyda i kupca Antonia. Przerzuciliśmy ksiąg
niemało; Baltazar wie moje zdanie, a dopełniając je
własną nauką, której głębokości dostatecznie zalecić
nie jestem w stanie, śpieszy w mojem zastępstwie,
aby żądaniu waszemu zadosyć uczynić. Proszę was,
niech brak lat nie naraża go na brak waszego sza-
cunku, bo nigdy jeszcze widzieć mi się nie zdarzyło
z tak młodem ciałem tak starej głowy. Polecam go
więc waszej uprzejmości, przekonany, że próba będzie
dla niego lepszą, niż moje słowa, rekomendacją.

Doża. Tak pisze do nas uczony Bellaryo.

Właśnie i młody doktor nasz przychodzi.

(Wchodzi Porcyo w ubiorze doktora prawa).

Daj rękę. Stary przysłał cię Bellaryo?

Porcyo. Tak jest.

Doża. Więc witaj! Siądź przy moim boku.

Znaszli treść sprawy, która tu się toczy,

W której dziś wyrok trybunał ma wydać?

Porcyo. Wszystkie szczegóły znane mi dokładnie.

Teraz gdzie Żyd jest? gdzie kupiec Antonio?

Doża. Antonio, Szajlok, przybliżcie się oba.

Porcyo. Imię twe Szajlok?

Szajlok. Szajlok imię moje.

Porcyo. Dziwnej natury proces wytoczyłeś,

Lecz w takiej formie, że weneckie prawa

Oprzeć się twoim nie mogą żądaniom.

(Do Antonia).

Tobie zagraża to niebezpieczeństwo?

Antonio. Tak jest, mnie, panie!

Porcyo. Czy uznajesz oblig?

Antonio. Uznaję.

Porcyo. Żydzie, bądź więc miłosierny.

Szajlok. A czemu, proszę, mam być miłosierny?

Porcyo. Dla miłosierdzia nikt przymusu nie ma;

Ono, jak kropla niebieskiego deszczu,

Spływa na ziemię, dwakroć błogosławi

Tego, co daje, i tego, co bierze.

Ono z potężnych jest najpotężniejsze;

Przystoi królom lepiej, niż korona.

Berło ich świadczy doczesną potęgę,

Obudza w sercach bojaźń majestatu

I groźne myśli o królów potędze;

Lecz miłosierdzie od władzy tej wyższe,

W królewskich sercach jego panowanie;
 Ono jest Boga samego przymiotem:
 Najpodobniejszy jest Bogu król ziemski,
 Gdy sprawiedliwość sładzi miłosierdziem.
 Dlatego, Żydzie, choć prawo za tobą,
 Pomnij, że nikt z nas zbawienia nie znajdzie
 W sprawiedliwości sądzie nieugiętym.
 W modlitwach Boga o litość błagamy;
 Czyż ta modlitwa nie uczy nas razem,
 Żeśmy bliźniemu winni miłosierdzie?
 Mówię tak długo, aby cię przebłagać,
 Bo jeśli zechcesz uprzeć się przy prawie,
 Trybunał musi Antonia potępić.

Szajlok. Zdam w swoim czasie liczbę z moich czynów;
 Teraz chcę sądu wedle słów oblięu.

Porcyą. Czy nie jest w stanie uiścić się z dłuęu?

Bassanio. I owszem. Ja mu w przytomności sądu

Daję podwójną sumę; gdy to mało,
 Dziesięćkroć więcej zapłacić przyrzekam
 Pod ręki, serca, pod głowy utratą.
 Jeśli mu na tem nie dosyć, to widać,
 Że nad uczciwym złość dziś tryumfuje.
 Powagą twoją złam prawo, wykonaj
 Z niewielką krzywdą wielką sprawiedliwość,
 I ugnij dyabła okrutnego wolę.

Porcyą. Nie mogę. Niema w Wenecyi potęęi,
 Mogącej łamać stanowione prawo.

Sąd taki byłby złym tylko przykładem,
 Za którym liczna gromada nadużyć
 W prawaby nasze wkradła się. Nie mogę.

Szajlok. Daniel, o, Daniel przyszedł nas rozsądzić!

O, mądry sędzio, jakże cię uwielbiam!

Porcyą. Pozwól mi, proszę, oblię ten odczytać.

Szajlok. Oto jest, zacny, przewielebny sędzio!

Porcyą. Trzykroć ci większą ofiaruje sumę.

Szajlok. Przysięęa moja w niebie zapisana;
 Krzywoprzysięstwem mamże się obciężać?
 Tego nie zrobię za Wenecyę całą.

Porcyą. Oblię jest jasny; niewątpliwe prawo

Żydowi służy funt mięsa wykroić
 Z Antonia piersi, z pod samego serca.
 Ale, Szajloku, pokaż miłosierdzie,
 Weż, co ci dają; dozwól oblię podrzeć.

Szajlok. Jak go zapłaci wedle jego treści.

Widzę, że jesteś dostojnym doktorem,
 Prawo znasz dobrze, jasno je wykładasz,
 A więc cię teraz wzywam w imię prawa,
 Którego jesteś potężnym filarem,
 Przystąp do sądu. Na duszę przysięęam,
 Niema języka zdolnego mnie zachwiać
 W moich zamiarach, a przy mnie jest prawo.

Antonio. I ja z mej strony błagam was, sędziowie,
 Wydajcie wyrok.

Porcyą. Wyrok tej jest treści:

Do noża jego pierś przygotuj twoją.

Szajlok. Szlachetny sędzio! wyborny młodzieńcze!

Porcyą. Bo i duch prawa i jego litera

Upoważniają wykonanie kary,

Którą twój oblię wyraźnie zastrzęęa.

Szajlok. To wielka prawda. O, przemądry sędzio!

Jakże twój rozum lata tve prześciga!

Porcyą. Odśłoń więc piersi.

Szajlok. Tak jest, odśłoń piersi:

Tak mówi oblię; czy nie, zacny sędzio?

«Najblięej serca»; to są własne słowa.

Porcyą. Czyli masz wagi, by mięso odważyć?

Szajlok. Mam je gotowe.

Porcyą. Zarazem, Szajloku,

Miej w pogotowiu dobrego chirurga,

By go krwi ujście o śmierć nie przywiodło.

Szajlok. Czyś i to także w oblięu wyczytał?

Porcyą. Choć oblię żadnej nie ma o tem wzmianki,

Zrób to przez proste ludzkości uczucie.

Szajlok. Warunku tego darmo w piśmie szukam.

Porcyą. A ty, Antonio, czy masz co powiedzieć?

Antonio. Tylko słów kilka. Umrzeć jestem gotów.

Bądź zdrów, Bassanio! daj mi twoją rękę;

Niech dola moja łez ci nie wyciska.

Uznaj w tem wszystkim fortuny przychylność

Większą, niż zwykle. Kiedy bowiem innych

Przymusza bogactw swych przeżyć ruinę,

Z zapadłem okiem, pomarszczonem czołem

Patrzyć na nędzę samotnej starości,

Mnie, naraz, z długich wyzwała męczarni.

Poleć mnie pięknej żony twej pamięci,

Powiedz jej koniec procesu Antonia,

- Mów, jak cię kochał, powiedz, jak umierał,
A potem żądaj, niech rozsądzi sama,
Czyli Bassanio przyjacieli nie miał.
Nie żałuj, proszę, że stracić mnie musisz;
Ja, dług twój płacąc, życia nie żałuję.
Byleby Żyd ten pchnął nóż dość głęboko,
Dług mój, bez trwogi, chętnem płacę sercem.
- Bassanio.** Wiesz, mój Antonio, że pojąłem żonę,
Która mi droższa, niżli moje życie;
Lecz życie, żona, ale świat ten cały
Mniej mi są drogie od twego żywota,
I chciałbym wszystko utracić, poświęcić
Temu tu dyabłu, byle cię ocalić.
- Porcyą.** Gdyby twa żona słyszała ofiarę,
Nie wiem, jak bardzo byłaby ci wdzięczną.
- Gracyano.** I ja mam żonę, którą z duszy kocham,
Lecz chciałbym, żeby w niebie teraz była,
Błagała Boga, by psa tego zmiękczył.
- Neryssa.** Dobrze, że robisz ofiarę za oczy,
Boby inaczej wojna była w domu.
- Szajlok** (*na str.*). To chrześcijańscy męże. Ja mam córkę,
Wolałbym, żeby z rodu Barabasza
Dostała męża, niż chrześcijanina.
(*Głośno.*)
Lecz czas tracimy na próżno. Do rzeczy!
- Porcyą.** Funt jego mięsa własnością jest twoją;
Tak prawo mówi, a stwierdza trybunał.
- Szajlok.** O wielki sędzio!
- Porcyą.** Wykroisz je z piersi;
Tak prawo mówi, a stwierdza trybunał.
- Szajlok.** O sędzio mądry! uczony! Do dzieła!
- Porcyą.** Poczekaj chwilę — jedno jeszcze słowo.
Oblig nie daje ci krwi ani kropki;
Funt jeden mięsa, powiada wyraźnie.
Weźże, co twoje; weź jeden funt mięsa;
Lecz biorąc mięso, jeżeli rozlejesz
Krwi chrześcijańskiej choć jedną kropelkę,
Wszystkie twe dobra prawo konfiskuje
Na rzecz Wenecyi.
- Gracyano.** Uczony sędzia! Szajlok, co za sędzia!
- Szajlok.** Czy to jest prawo?
- Porcyą.** Pokażę artykuł.

- Sprawiedliwości domagasz się ciągle,
Dam ci jej więcej, niżeli sam żądasz.
- Gracyano.** Uczony sędzia! he, czy nie uczony?
- Szajlok.** Więc wolę, niech mi potrójnie zapłaci
I z Bogiem idzie.
- Bassanio.** Oto są pieniądze.
- Porcyą.** Nie; sprawiedliwość musim mu wymierzyć;
Chciał jego mięsa, niechże mięso weźmie.
- Gracyano.** O wielki sędzia! Żydzie, mądry sędzia!
- Porcyą.** Dlatego śpiesz się zabrać twoje mięso,
Lecz strzeż się rozlać krwi, albo odkroić
Mniej albo więcej jak jeden funt mięsa;
Bo jeśli weźmiesz, albo mniej lub więcej,
Choćby o setną tylko cząstkę grama,
Ba, choćby tylko i o włosą wagę,
Czekają na cię: śmierć i konfiskata.
- Gracyano.** O, drugi Daniel! Żydzie, drugi Daniel!
Teraz, niewierny, złapałem cię w szpony.
- Porcyą.** Czemu się wahasz, Szajloku? do dzieła!
- Szajlok.** Zwróć mi kapitał, a kwituję z reszty.
- Bassanio.** Czekam od dawna z sumą odliczoną.
- Porcyą.** Nie chciał jej przyjąć w przytomności sądu,
Sprawiedliwością niech się teraz cieszy.
- Gracyano.** O Daniel, Daniel, Żydzie, drugi Daniel!
Dzięki ci za to, żeś to imię znalazł!
- Szajlok.** Nie mogę dostać choćby kapitału?
- Porcyą.** Dostaniesz tylko, co oblig waruje,
A biada tobie, jeśli weźmiesz więcej!
- Szajlok.** A więc niech dyabeł zapłaci mu za mnie!
Ja się wyrzekam praw moich.
- Porcyą.** Poczekaj!
Jeszcze wszystkiego nie skończyłeś z prawem.
W weneckich prawach stoi zapisane,
Iż cudzoziemiec każdy, przekonany,
Że lub pośrednio, albo bezpośrednio
Godził na życie Wenecyi mieszkańca,
Dóbr swych połowę na rzecz jego traci,
Drugą połowę skarb publiczny bierze,
A w końcu życiem samem winowajcy
Doża dowolnie może rozporządzić.
Dziś ten artykuł potępia cię, Żydzie,
Bo z procedury całej się wykrywa,
Że tak pośrednio jak i bezpośrednio

Groziłeś życiu obżałowanego;
Dlatego wyżej przytoczona kara
Dotrąca cię i twe posiadłości.
O miłosierdziu błagaj u stóp doży.

Gracyano. Błagaj, niech ci się powiesić dozwoli.

Ale gdyś cały utracił majątek,
Gdy nie masz grosza na kupno postronka,
A więc publicznym kosztem będziesz wisiał.

Doża. Byś uczuć naszych sam poznał różnicę,
Wprzód, niżli błagasz, daruję ci życie.
Twych dóbr połowę zabiera Antonio,
Ale część tego, co do skarbu wpływa,
Jeszcze pokorą możesz uratować.

Porcyą. Z Antonia części nic odjąć nie wolno.

Szajlok. Nie, zabierz życie; nie błagam o życie;
Dom mój zabierasz, zabierając słupy,
Co go wspierają; wydzierasz mi życie,
Gdy mi z rąk bierzesz wszystko to, czem żyję.

Porcyą (do Antonia). A ty, czem twoją pokażesz mi litość?

Gracyano. Daj mu postronek gratis, lecz nic więcej.

Antonio. Niech wyrok sądu, miłosierdziu doży,
Wrócą Żydowi połowę majątku.
Drugą połowę, aż do jego śmierci,
Na zwykły procent zatrzymam u siebie,
A potem wszystko temu wiernie spłacę,
Który niedawno córkę jego wykradł.
Dwa jednak inne dołożę warunki:
Za tyle łaski chrzest przyjmie natychmiast,
I w trybunale urzędownie stwierdzi
Donację wszystkich swoich posiadłości
Córce i swemu synowi Lorencu.

Doża. Jeśli warunków obu nie dopełni,
Ja odwołuję słowo przebaczenia.

Porcyą. Żydzie, czy na to przystajesz?

Szajlok. Przystaję.

Porcyą. Więc, sekretarzu, akt wygotuj śpiesznie.

Szajlok. Pozwólcie teraz, żebym się oddalił,
Bo mi jest słabo. Akt przysłijcie za mną,
Podpiszę w domu.

Doża. Możesz się oddalić.

Gracyano. Dwóch chrzestnych ojców do chrztu cię po-
[wiedzie;

Gdybym był sędzią, dodałbym dziesięciu¹⁾,
Żeby powiedli cię na szubienicę.

(*Wychodzi Szajlok.*)

Doża (do Porcy). Racz dzisiaj przyjąć obiad w moim domu.

Porcyą. Z żalem nie mogę przyjąć zaproszenia,
Bo mnie do Padwy obowiązek woła;
Wenecję muszę bez zwłoki opuścić.

Doża. Boleję, że tak nagle nas opuszczasz.

(*Do Antonia.*)

Pokaż się wdzięcznym temu doktorowi,
Bo wielkiej ceny oddał ci usługę.

(*Wychodzą: Doża, Senatorowie i służba.*)

Bassanio. Drogi doktorze, ja i mój przyjaciel
Przez mądrość twoją uszliśmy szczęśliwie
Okrutnej kary; za twoje zabiegi
Zechciej uprzejmie z naszej przyjąć ręki
Te trzy tysiące dukatów Szajloka.

Antonio. A oprócz tego, na zawsze bądź pewny
Naszej wdzięczności i miłości naszej.

Porcyą. Sumienie nasze najlepiej nas płaci.
Szczęśliwy, że was mogłem uratować,
W mojem sumieniu jestem zapłacony.
Moją nauką nigdy nie frymarczył.
Przyjaźń mi waszą zachowajcie, proszę,
A teraz bądźcie zdrowi i szczęśliwi!

Bassanio. Kochany sędzio, jedno jeszcze słowo.
Przyjmij co od nas, już nie jak zapłatę,
Lecz jak pamiątkę. Dozwól mi dwie łaski:
Śmiałość mi przebac, daru nie odmawiaj.

Porcyą. Trudno odmówić tylu naleganiom.
Dla twej miłości przyjmę na pamiątkę
Twe rękawiczki i pierścień ten z palca.
Nie cofaj ręki, na tem poprzestanę,
A ty zapewne nie zechcesz odmówić.

Bassanio. Ten pierścień, sędzio, zbyt małej jest wagi,
I wstyd mnie taką dawać ci drobnostkę.

Porcyą. Ja znowu nie chcę nic innego przyjąć,
A szczerze pragnę dostać, o co proszę.

Bassanio. Ten pierścień droższy dla mnie nad swą cenę.
Najdroższy brylant, który w całym mieście

¹⁾ Ben Jonson w jednej ze swoich komedji nazywa dwunastu przy-
sięgłych w sprawach kryminalnych chrzestnymi ojcami wedle prawa.

Przez obwieszczenia znaleźć mi się uda,
Dam ci w podarku, ten zostaw mi tylko.

Porcyą. Szczodry, jak widzę, jesteś w obietnicach.
Tyś mnie nauczył żebrać, teraz uczysz,
Jak żebrakowi trzeba odpowiadać.

Bassanio. Słuchaj, ten pierścień dostałem od żony,
Której przysiągłem, kładąc go na palec,
Że go nie sprzedam, nie dam, ani stracę.

Porcyą. Dobra wymówka, aby dar zatrzymać.
Jeśli twa żona przy zdrowych jest zmysłach,
Wie, za co pierścień dostałem w nagrodę,
Niedługo w sercu zachowa urazę.

Lecz dosyć na tem; bywajcie mi zdrowi!
(*Wychodzą Porcyą i Neryssa*).

Antonio. Dobry Bassanio, daj mu ten pierścionek.
Niech miłość moja i jego zasługi,
Ten raz, rozkazy żony twej przeważą.

Bassanio. Śpiesz się, Gracyano! ponieś mu pierścionek,
A jeśli możesz, przyprowadź go z sobą,
W Antonia domu będziemy czekali. (*Wychodzą*).

SCENA II.

Wenecya. — Ulica.

(*Wchodzi Porcyą i Neryssa*).

Porcyą. Wyszukaj Żyda; niechaj akt podpisze,
A wracaj śpiesznie. Wyjeżdżamy w nocy,
I powrót mężów dniem wyprzedzim całym.
Miły gościniec niesiem dla Lorenca.

(*Wchodzi Gracyano*).

Gracyano. Piękny doktorze, szczęście, żem cię znalazł.
Pan mój, Bassanio, po lepszym namyśle,
Daje ci pierścień i na obiad prosi.

Porcyą. Pierścień z wdzięcznością przyjmuję, obiadu
Przyjąć nie mogę; przeproś go ode mnie.
Proszę cię także, pokaż, jeśli możesz,
Sekretarzowi memu dom Szajloka.

Gracyano. Chętnie.

Neryssa (*do Porcy*). Wprzód z panem chwilę chcę pomówić.
Spróbuję pierścień wyłudzić od męża,
Który na palcu wiecznie nosić przysiągł.

Porcyą. Dostaniesz, ręczę. Będą po staremu
Kląć się, że dali mężczyznom pierścionki,
Lecz my bezczelność splacim bezczelnością,
A klęciem klęcie. Wiesz, gdzie się zejść mamy.
Neryssa. Prowadź mnie teraz do Szajloka domu.
(*Wychodzą*).

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Belmont. — Aleja, prowadząca do domu Porcy.
(*Lorenzo i Jessyka*).

Lorenzo. Jak jasny księżyc! W takiej, jak ta, nocy,
Kiedy wiatr słodki drzew całował szczyty,
One całunków nie zdradzały szumem,
Troilus stapał po trojańskich murach,
I słał westchnienia ku greckim obozom
Do swej Kressydy.

Jessyka. W takiej, jak ta, nocy
Tysbe, z traw rosę lęklawie strząsając,
Lwa groźnym cieniem nagle przerażona,
Z trwogą pierzchnęła.

Lorenzo. W takiej, jak ta, nocy
Dydona, w rękę z gałązką wierzbową,
Na pustym brzegu, wzywała kochanka,
Ażeby wrócił.

Jessyka. W takiej, jak ta, nocy
Medea zioła czarowne zbierała,
Którymi ciału starego Ezona
Wróciła młodość.

Lorenzo. W takiej, jak ta, nocy
Dom opuściła ojcowski Jessyka,
I biegła z swoim rozrzutnym kochankiem
W Belmont się schronić.

Jessyka. W takiej, jak ta, nocy
Młody Lorenzo miłość jej przysięgał,
Wykradł jej duszę tysiącami przysięg,
Przysięg fałszywych.

Lorenzo. W takiej jak ta, nocy

Piękna Jessyka, malutka złośnica,
Kochanka swego ciężko spotwarzyła;
On jej przebaczył.

Jessyka. Przenocowałamby
Wszystkie twe noce, ale ktoś nadchodzi.
(*Wchodzi Stefano*).

Lorenzo. Któż się tak śpieszy wśród milczenia nocy?

Stefano. Swój, wasz przyjaciel.

Lorenzo. Imię, przyjacielu.

Stefano. Jestem Stefano, przynoszę wiadomość,
Że pani moja, jeszcze przed świtaniem,
Do Belmont wróci. Teraz, u stóp krzyża,
Kłęczy w pokorze i zanosi modły
O dnie szczęśliwe swojego zamęźcia.

Lorenzo. Kto z nią przybywa?

Stefano. Nikt, oprócz Neryssy
I pustelnika. Czy pan już powrócił?

Lorenzo. Nie, dotąd żadnej o nim wiadomości.

Teraz, Jessyko, wracajmy do domu,
Pomyślmy, jakby piękną panią naszą
W chwili powrotu witać uroczycie.
(*Wchodzi Lancelot*).

Lancelot. Hola ho! hola ho! hola ho!

Lorenzo. Kto tam woła?

Lancelot. Hola ho! Czy nie widziałeś przypadkiem pana
Lorenzo i pani Lorenzo? Hola ho!

Lorenzo. Przestań wrzeszczeć, człowieku, tu jestem.

Lancelot. Hola ho! a gdzie?

Lorenzo. Tu.

Lancelot. Więc mu powiedz, że przyszła poczta od mo-
jego pana z pełnym rogiem dobrych nowin. Pan mój
wraca przed świtaniem. (*Wychodzi*).

Lorenzo. Idźmy, o droga, w domu na nich czekać.

Ale nie, po co w murach się zamykać?
Dobry Stefano, zapowiedz służącym,
Że lada chwila pani się pokaże.
Kaź wyjść kapeli na wolne powietrze.
(*Wychodzi Stefano*).

Jak słodko drzemie światło na pagórku!
Tu siądźmy, tutaj niech muzyki fale
W uszy nam płyną; nocy miętka cichość
Słodkiej harmonii przystoi najlepiej.
Usiądź, Jessyko; spojrzaj, jak sklep nieba

Jasno wybity złotemi gwiazdami;
Najmniejsza kula wśród gwiazd tych tysiąca
W biegu swym śpiewa, jak anioł niebieski,
Wtórując chórom młodych Cherubinów.
Taka harmonia w nieśmiertelnych duszach:
Ale dopóki w tem błocie znikomem
Duch nasz zamknięty, nie możemy jej słyszeć.
(*Wchodzi muzyka*).

Zacznijcie, hymnem rozbudźcie Dyanę,
Najsłodsze tony ślijcie w pani uszy,
Niech ją muzyka przyciągnie do domu.
(*Muzyka*).

Jessyka. Słodka muzyka wesele mi kradnie.

Lorenzo. Bo twoje myśli pod władzę swą bierze.

Rzuć tylko oczy na rozpustne stado
Nieujeżdżonych, dzikich, młodych żrebiąt,
Jak rża, jak skaczą po łąkach szalone,
Posłuszne tylko krwi gorącej w żyłach;
Lecz niech przypadkiem usłyszają głos trąby,
Lub jakikolwiek dźwięk uszami schwyca,
Ujrzysz, jak całe wstrzymuje się stado,
Z dzikiej żrenicy łagodność wygląda,
Słodkiej muzyki zbudzona potęgą.
Stąd to poeci mówią, że Orfeusz
Ciągnął za sobą lasy, wody, skały,
Bo niema duszy tak wściekłej, tak twardej,
By jej na chwilę nie zmiękczyły pieśni.
Człowiek, co nie ma w swych piersiach muzyki,
Którego rzewne nie wzruszają tony,
Do zrad, podstępów, grabieży jest skłonny,
Duch jego ciężki, jak ciemności nocne,
A myśli jego tak, jak Ereb, czarne.
Takiemu nigdy nie ufaj. Słuchajmy!

(*Porcyca i Neryssa pokazują się w odległości*).

Porcyca. To światło w mojem goreje przedsięniu.

Uboga lampa jak daleko błyszczy!

Pośród złych ludzi tak czyn dobry świeci.

Neryssa. Gdy księżyc jaśniał, nie znać było lampy.

Porcyca. Tak większa chwała mniejszą chwałę gasi.

Namiestnik króla króla blaskiem świeci,

Nim król przybędzie; wtedy jego światłość

Znika, jak strugi wędrujące fale

Wśród oceanu. Lecz słuchaj, muzyka!

Neryssa. To zwykła domu twojego kapela.
Porcya. Wszystko, jak widzę, względnie tylko dobre.
 Muzyka w nocy słodsza mi się zdaje.
Neryssa. Bo głucha cichość wdzienku jej przyczynia.
Porcya. Dla obojętnych, roz targnionych uszu
 Wrona tak słodko, jak skowronek śpiewa,
 I słowik nawet, gdyby we dnie nucił,
 Wśród gęsi gęgu, może od królika
 Lepszym nie wydałby się muzykantem.
 Rzecz każda, tylko gdy w porę się jawi,
 Doskonałości otrzymuje palmę.
 Cichość! Jak księżyc śpi z Endymionem,
 I nie chce, żeby zbudziła go wrzawa.

(Ustaje muzyka).

Lorenzo. Głos to jest Porcyi, albo słuch mnie zwodzi.

Porcya. Poznał mię, widzę, jak ślepy kukułkę —
 Po szpetnym głosie.

Lorenzo. O, witaj nam, pani!

Porcya. Za mężów zdrowie błagałyśmy Boga,
 Może te modły powrót ich przyśpieszą.
 Czy już wrócili?

Lorenzo. Nie wrócili jeszcze,
 Lecz ich posłaniec przed chwilą oznajmił,
 Że są już blisko.

Porcya. Śpiesz się więc, Nerysso,
 Nakaż służącym, niech nie robią wzmianki,
 Żeśmy na chwilę dom ten opuścili;
 A i wam także milczenie zalecam.

(Słychać odgłos trąbki).

Lorenzo. To mąż twój, pani. Słyszę jego trąbkę,
 O nas się nie bój, nie mruknijemy słowa.

Porcya. Noc ta się zdaje tylko dniem w chorobie,
 Bledszym z cierpienia; dzień tak się wydaje,
 Kiedy się słońce utuli za chmury.

(Wchodzi: Antonio, Bassanio, Gracyano i ich służba).

Bassanio. Z antypodami dzieńbyśmy nasz mieli,
 Gdybyś za słońce wschodzić tylko chciała.

Porcya. Niech będę słońcem, lecz tylko dla ciebie:

Żona, co wszystkim zarówno chce świecić,
 Nad mężem tylko noc zawiesi czarną.
 Lecz niech się wszystko z bożą dzieje wolą!

Witaj, o mężu, witaj w twoim domu!

Bassanio. Dzięki ci. Witaj mego przyjaciela;

To jest Antonio, drogi mój Antonio,
 Któremu tyłem jest obowiązany.

Porcya. O, bardzo wiele! bo on, jak słyszałam,
 Ciężkie za ciebie wziął zobowiązanie.

Antonio. Już mi za wszystko sownie zapłacił.

Porcya. Jak są nam miłe twoje odwiedziny,
 Nie czczym wyrazem dowiodę ci, panie,
 Dlatego grzecznych oświadczeń ci skąpię.

(Gracyano i Neryssa rozmawiają na stronie).

Gracyano. Krzywdzisz mnie, świadkiem ten księżyc na
 [niebie,

Sekretarzowi sędzi go oddałem.

Chciałbym w rzezańca zmienić pisarczyka,
 Gdy cię ta sprawa tak mocno dotyka.

Porcya. Jakto? już wojna? co ją zapaliło?

Gracyano. Złota obrączka, ubogi pierścienek,
 Który mi dała, którego dewiza

Nie większą miała poetyczną wartość
 Od nożownika dewizy na trzonku:

»Kochaj mnie szczerze, a nie zgub mnie, proszę«.

Neryssa. Co o poezji pleciesz, o wartości?

Czy nie przysiągłeś, kiedy ci go dałam,
 Że go nie zdejmiesz z palca aż do śmierci,
 Że go po śmierci do grobu zabierzesz?

Jeśli nie dla mnie, to dla przysiąg własnych
 Trzeba ci było wiernie go zachować.

Sekretarzowi dał go! ten sekretarz

Nie będzie nigdy włosa miał na brodzie.

Gracyano. Będzie, byleby wyrósł na mężczyznę.

Neryssa. To jest, dziewczyna wyrosła na męża.

Gracyano. Klnę się na duszę, pierścieni ten oddałem

Biednemu dziecku, małemu chłopięciu,

Twojego wzrostu, sędzi wyrostkowi;

Nie chciał innego poczystego przyjąć.

Powiedz, sumiennie mógłżem mu odmówić?

Porcya. Otwarcie powiem, niedobrze zrobiłeś,

Żeś dał tak łatwo pierwszy prezent żony,

Rzecz, którąś włożył na palec śród przysiąg,

Wiernością przybił do twojego ciała.

Ja także dałam pierścieni kochankowi,

On także przysiągł zachować go wiernie,

I jestem przysiądz gotowa za niego,

Żeby go z palca nie zdjął, nie odstąpił

Za świata skarby. Wierzaj mi, Gracyano,
Daleś twej żonie słuszny powód żalu.
Ja, na jej miejscu, straciłabym rozum.

Bassanio (*na str.*). Ach, czemuż sobie nie uciąłem ręki,
Abym mógł przysiądz, że ją utraciłem,
Pierścienia broniąc!

Gracyano. Bassanio dał także
Pierścień sędziemu, który nań zasłużył,
O który prosił; a jego sekretarz,
Co się umęczył, akta redagując,
O mój się uparł; ni jeden ni drugi
Nie chciał innego przyjąć honorarium.

Porcyca. Jakież to pierścień dałeś mu, Bassanio?
Nie ten przynajmniej, który ja ci dałam?

Bassanio. Gdybym chciał kłamstwo do błędu przyrzucić,
Przeczyłbym temu. Lecz widzisz mój palec,
Palec jest nagi, zniknął z niego pierścień.

Porcyca. Jak z twego serca i prawda i wiara.
Niebo mi świadkiem, że do twego łoża
Nie wstąpię, póki nie ujrzę pierścionka.

Bassanio. Gdybyś wiedziała, komu dałem pierścień,
Gdybyś wiedziała, za kogoś dał pierścień,
Gdybyś wiedziała, za co dałem pierścień,
Z jaką niechęcią odstąpiłem pierścień,
Gdy nie chciał przyjąć nic, ten tylko pierścień,
Wiem, żeby zaraz gniewy twe ostygły.

Porcyca. Gdybyś znał cnoty, które miał ten pierścień,
Gdybyś znał wartość tej, co dała pierścień,
Honor, co wzywał, byś zachował pierścień,
Nie takbyś łatwo z palca zsunął pierścień;
Bo gdzie jest człowiek tyle bezrozumny,
Aby upornie stał przy swem żądaniu,
Gdybyś był bronił szczerze i gorliwie,
Jak świętej rzeczy, mego podarunku?
Tak, jak Neryssa, i ja też przysięgam,
Że mój dziś pierścień jakaś ma kobieta.

Bassanio. Nie, na mój honor, nie, na moją duszę,
Nie, nie kobieta, ale doktor prawa,
Który z pogardą złoto me odrzucił,
O pierścień prosił; odmówiłem naprzód;
Widziałem, z jaką urazą odchodził
Ten, który drogie mego przyjaciela
Ocalił życie. I cóż miałem robić?

Kochana, pierścień musiałem mu postać,
Zmuszony wstydem i sumienia głosem.
Miałem oszpecić niewdzięczności płamą
Czysty mój honor? Przebacz mi, o droga!
Ale przysięgam na te jasne gwiazdy,
Że, gdybyś była przytomną, ty sama
Zdjęłabyś pierścień i dała go sędzi.

Porcyca. Niechże ten doktor w strony te nie zjeżdża.
Gdy dostał klejnot, którym tak kochała,
Któryś miał chować dla mojej miłości,
I ja też będę równie szczodrobliwą,
Dla niego będzie wszystko, co jest moje,
Nawet me ciało i mężowskie łożo.
Poznać go, wierzaj, nie trudno mi będzie.
Strzeż mnie, jak Argus, nie opuszczaj domu,
Bo ile razy zostawisz mnie samą,
Przysięgam na mój honor dotąd czysty,
Że bez doktora spać się nie położę.

Neryssa. I ja nie myślę spać bez sekretarza.
Wiesz, co cię czeka, jeśli się oddalisz.

Gracyano. Niechże sekretarz nie wpadnie mi w ręce:
Jeśli go złapię, pióro mu uknęję.

Antonio. Ja nieszczęśliwą sporów tych przyczyną.

Porcyca. Pomimo tego, witam cię z radością.

Bassanio. Daruj mi, Porcyco, błąd ten przymuszony,
A w przytomności tych wszystkich przyjaciół
Przysięgam, droga, na jasne twe oczy,
W których się widzę...

Porcyca. Słyszycie, co mówi?
We dwu mych oczach podwójnie się widzi,
Raz w każdym oku; mam wierzyć przysiędze,
Którą wykonał na swe dwie postacie!

Bassanio. Błąd mi ten przebac! Przysięgam na duszę,
Że ci raz drugi nie złamię przysięgi.

Antonio. Dla jego szczęścia życie naraziłem,
A od mąk strasznych ten mnie uratował,
Który dziś pierścień Bassania posiada.
Teraz powtórnie głową moją ręczę,
Że mąż twój więcej nie złamię ci wiary.

Porcyca. Bądź mu rękojmnią; daj mu ten pierścionek,
I zaleć, żeby lepiej go pilnował.

Antonio. Weź i przysięgnij zachować go wiernie.

Bassanio. Ach! to pierścionek, który sędzi dałem!

Porcya. Mnie go dał sędzia. Daruj mi, Bassanio,
Lecz doktor ze mną spał za ten pierścionek.

Neryssa. Przebacz mi także, dobry mój Gracyano,
Lecz ów wyrostek, sekretarz doktora,
Za ten pierścionek noc przepędził ze mną.

Gracyano. To coś wygląda, jakby szarwark w lecie,
Gdy dobrą drogę lud naprawiać śpieszy.
Mamyż mieć rogi, nim na nie zasłużym?

Porcya. Mów trochę skromniej. Sprawa ta was dziwi;
Oto list, który rzecz wyjaśni całą;
Jest to list z Padwy, pisze go Bellaryo.
Tam wyczytacie, że Porcya doktorem,
Neryssa była jego sekretarzem.
Że wkrótce po was dom ten opuściłam,
Wróciłam tylko na chwilę przed wami,
To wam potwierdzi Lorenca zeznanie.
Raz jeszcze witaj, Antonio! Dla ciebie
Mam stokroć lepsze nowiny w zapasie,
Niż się spodziewasz; list ten otwórz tylko,
A w nim wyczytasz, że trzy tve okręty
Wbiegły do portu z bogatym ładunkiem.
Jakim przypadkiem list ten wpadł mi w ręce,
Nie pytaj teraz.

Antonio. Z dziwu oniemiałem.

Bassanio. Byłaś doktorem, a jam cię nie poznał!

Gracyano. Tenli sekretarz rogi mi przyprawi?

Neryssa. On sam, a wtedy dotrzyma ci słowa,
Kiedy na męża wyrośnie.

Bassanio. Doktorze,
Będziesz mi słodkim nocy towarzyszem,
A gdy odjadę, śpijże z moją żoną.

Antonio. Dałaś mi życie, i z czego żyć dajesz,
Bo tu niemylnie wyczytuję wieści,
Że me okręty wróciły szczęśliwie.

Porcya. Słuchaj, Lorenzo, młody mój sekretarz
Ma i dla ciebie dobre wiadomości.

Neryssa. Za które żadnych kosztów nie wymaga.
Masz akt zapisu, którym Żyd bogaty
Wszystkie wam skarby leguje po śmierci.

Lorenzo. O piękne panie, wy spuszczaście mannę
Na pustą drogę zgłodniałego ludu.

Porcya. Już świta prawie; widać z waszych oczu,
Że wszystko jeszcze nie dosyć wam jasne;

Idźmy do domu; tam z nas wywód słowny
Możecie ciągnąć i wszystko wyświecić.

Gracyano. Niech i tak będzie. Pierwszy wywód słowny,
Który z mej pięknej wyciągam Neryssy,
Jest, czy chce czekać przyszłego wieczora,
Czy też spać woli, choć już świtu pora;
A gdy dzień przyjdzie, nocy będę wzywać,
Bym z sekretarzem akta mógł spisywać;
Odtąd zaś, póki stanie mi istnienia,
Jak własnych źrenic będę strzegł pierścienia.



57269

SPIS RZECZY.

	Str.
Stracone zachody miłosne	1
Sen nocy letniej	87
Kupiec wenecki	159

1875 FEB 27

Received of the
Hon. Secy of War
Twenty Dollars

1875

